

# Blasco Ibanez Vicente

## BODEGA

### ROZDZIAŁ I

Firmin Montenegro, podobnie jak w czasach kiedy będąc uczniem spóźniał się do szkoły, wszedł szybko do biura domu handlowego Braci Dupont, pierwszej wytwórni win w Jerez), znanej w całej Hiszpanii. Posiadała bowiem sławne winnice Marchamalo i fabrykę znakomitego koniaku, którego jakość przyczyniła się do sławy firmy.

Było to w poniedziałek. Młodzieniec spóźnił się do biura o całą godzinę. Nigdy jeszcze nie był aż tak niepunktualny. Jego koledzy ledwo zechcieli podnieść na niego wzrok, jakby obawiając się, żeby który z przełożonych nie wyczytał z przelotnego bodaj drgnięcia ich twarzy lub wyrazu oczu sympatii dla lekkomyślnego urzędnika. Montenegro niespokojnym spojrzeniem obiegił olbrzymią salę, potem zatrzymał wzrok na drzwiach gabinetu szefa. Władza najwyższa była jeszcze nieobecna. Uspokojony na chwilę, usiadł przy stole i zaczął porządkować papiery, przygotowując dla siebie całodzienną robotę.

Dnia tego nastroj w biurze wydał mu się jakiś dziwny. Zdawało mu się, że widzi wszystko po raz pierwszy, jakkolwiek rozpoczął tu swą karierę służbową przed piętnastu laty. Było to jeszcze za życia Don Pabla, drugiego z kolei potomka dynastii Dupontów, twórcy niezrównanego koniaku, z jakiego słynął dom handlowy. Był on również ojcem braci Dupontów, którzy na skutek szczęśliwych transakcji handlowych i dzięki zycziwemu im losowi królowali wśród przedstawicieli świata przemysłowego,

A jednak nic się nie zmieniło w tej białej, olbrzymiej sali, w której marmurowe płyty posadzki, ściany ozdobione gipsowymi stiukami, wysokie okna z matowymi szybami tworzyły przygnębiającą całość podobną do wnętrza zimnego, smutnego grobowca. Na ścianach widniały kalendarze z wymalowanymi na dużych tekturach ram wyobrażeniami Świętych Pańskich. Niektórzy spośród urzędników, nieumiarkowani lizusi, chcąc przypodobać się szefowi przybili nad swymi stołami święte ryciny z umieszczonymi u spodu modlitwami wraz z wymienieniem przywiązanych do nich odpustów. Nawet duży, złożony zegar miał kształt wysokiej gotyckiej katedry najeżonej wieżycami.

Ta na pół religijna dekoracja biura domu handlowego wytwarzającego wina i koniaki, jakkolwiek dobrze znana naszemu młodzieńcowi od szeregu lat, wydała mu się nagle dziwna jakaś i obca, tak żywe w nim jeszcze były wrażenia z ubiegłego dnia. Do późnej nocy nie rozłączał się z Don Fernandem Salvatierrą, który wrócił do Jerez po ośmiu latach ciężkich robót aż hen w północnej Hiszpanii. Znany rewolucjonista wrócił do ojczystej prowincji bez rozgłosu, nie rozpowiadając o ciężkich chwilach, jakie musiał tam przeżyć, wrócił z takim spokojem jak z podróży odbytej dla przyjemności.

Montenegro znalazł go prawie niezmiennym, prawie takim, jakim go znał za lat młodzieńczych. Zachował

dawny ojcowskołagodny ton głosu, zachował dawny wój dobrotliwy uśmiech, miał te same zażawione nieco oczy spoglądające jasno i spokojnie spoza lekko błękitnawych szkieł.

Ciężkie chwile przeżyte na zesłaniu przyprószyły na skroniach siwizną jego blond włosy oraz puszystą brodę, twarz jednak promieniała po dawnemu odbłaskiem młodości.

Nawet przeciwnicy nazywali go „świętym laikiem”. Urodzony o dwa wieki wcześniej, zostałby na pewno mnichemjałmużnikiem ciągle myślącym o cierpieniach bliźnich i możliwe, że wyobrażenie jego zostałoby w końcu umieszczone na ołtarzu. Wobec tego, że przyszedł na świat w okresie walk klasowych, został rewolucjonistą. Wrażliwy na łzy dziecka, zupełnie pozbawiony egoizmu, gotów był każdej chwili przyjść z pomocą nieszczęśliwym, mimo to nazwisko jego budziło lęk w sercach bogaczy i dość było, żeby spędził kilka tygodni w Andaluzji, aby władze wszczęły alarm i zgrupowały wojsko na pograniczu prowincji. Wiecznie zbuntowany, wieczny Żydułacz, nienawidzący gwałtu, zachęcał doń nędzarzy, widząc w nim jedyną drogę zbawienia.

Montenegro przypomniał sobie jego ostatnią przygodę. Salvatierra zjawił się w okolicach Jerez w chwili ogłoszenia przez robotników strajku. Jedyne obecność jego wśród strajkujących przemawiała przeciw niemu. Gdy go aresztowano, stanąwszy przed sądem wojennym odmówił złożenia przysięgi na krzyż. Taka oburzająca bezbożność człowieka, którego oskarżono o współdziałanie ze strajkującymi, stała się dostateczną podstawą do zesłania go na ciężkie roboty. Przerazone społeczeństwo mściło się. Sędzia posunął się nawet do wymierzenia mu podczas śledztwa policzka, Salvatierra zaś, który za młodu jeszcze

w) i) latach bił się w szeregach rebeliantów, z ewangeliczną powagą ograniczył się teraz do złożenia wniosku o poddanie niepowściągliwego przedstawiciela sprawiedliwości obserwacji lekarskiej, gwałtowny bowiem jego wybuch można było tłumaczyć jedynie chorobą umysłową.

Na zesłaniu zdumiewał wszystkich. Zapalony do nauk medycznych, został pielęgniarzem innych więźniów. Oddawał im swą żywność, swoje ubranie, zadowolając się łachmanami, które ledwie okrywały jego ciało.

Wszystko, co tylko przysłali mu jego przyjaciele z Andaluzji, przechodziło niezwłocznie do rąk największych nędzarzy. Dozorcy widzieli w nim byłego posła i głośnego agitatora, który w okresie rewolucji zrzekł się godności ministra, mówili mu: Don Fernando i traktowali z mimowolnym szacunkiem.

— Nazywajcie mnie po prostu Fernandem — mówił do nich z wielką prostotą. — Mówcie mi: ty, podobnie jak ja zwracam się do was. Wszyscy jesteście tylko ludźmi.

Przybył do Jerez spędziwszy kilka dni w Madrycie w gronie dziennikarzy, swoich dawnych przyjaciół politycznych, którym zawdzięczał swe ułaskawienie, mimo iż z obrzydzeniem sprzeciwiał się temu. A potem zaczął poszukiwać ludzi, dla których żywił po dawnemu gorące uczucie przyjaźni i którzy pozostali mu wierni. Spędził całą niedzielę w pobliżu Jerez, w małej winnicy będącej własnością pewnego pośrednika przy transakcjach handlo

wych winem. Był to jego dawny towarzysz broni z walk rewolucyjnych. Wieść o jego powrocie ściągnęła wszystkich jego wielbicieli. W młodzięcym wieku chadzali oni pod jego dowództwem wąskimi górskimi ścieżynami i z bronią palną w rękę bronili federacyjnej republiki. Byli wśród nich również robotnicy rolni, którzy uwielbiali po prostu Salvatierrę, idealistę dowodzącego czarno na białym, jak oburzającym absurdem była własność prywatna, i głoszącego wszem wobec i każdemu z osobna o konieczności podziału gruntów.

Montenegro udał się również do winnicy, aby się z nim przywitać. Pamiętał doskonale niejednokrotne, długotrwałe pobyty w domu rodziców tego człowieka, tak bardzo cenionego przez Firminajca. Pamiętał pełen skupienia respekt, z jakim słuchał w dzieciństwie jego przemówień. Wspominał z uczuciem wdzięczności, z jak niezachwianą cierpliwością Salvatierra uczył go czytania i pisania oraz początków angielskiego. To on zbudził w duszy Montenegra szlachetne aspiracje i miłość do ludzi, uczucia, które, zdawało się, płonęły w sercu mistrza.

Witając młodzieńca po tak długim niewidzeniu, Salvatierra uścisnął dłoń jego bez śladu wzruszenia, zupełnie tak, jakby wczoraj zaledwie rozstali się z sobą. Po przywitaniu zaś głosem spokojnym zaczął wypytywać go o ojca i siostrę. A więc pozostał tym samym, Mm był dotychczas: człowiekiem niewrażliwym na własne cierpienia, lecz czującym na cudze bóle.

Przez całe popołudnie oraz większą część nocy przyjaciele Salvatierry pozostawali z nim w małym domku w winnicy. Właściciel tegoż, hojny z natury a przy tym rozentuzjasmowany powrotem wielkiego człowieka, nie wiedział, jak ma zabiegać dokoła swych gości. Stoły ugi

oaly się od potraw, wino płynęło złotą rzeką, mącąc w głowie większości biesiadników, mimo iż każdy z nich był tradycyjnie już wytrawnym opojem. Jedyne Salvierra zachował umiar: pił tylko wodę, a całym jego posiłkiem była kromka chleba i plasterk sera. Od chwili gdy odzyskał wolność, nie jadał nic innego i przyjaciele musieli uszanować również i pod tym względem jego wolę. Jego budżet dzienny nie przekraczał trzydziestu centymów, postanowił sobie bowiem, iż do czasu kiedy miliony takich jak on istot żyjących skazane są na głód, gdy tymczasem inni umierają z przejedzenia, nie wolno mu wydawać więcej na siebie.

Och! Ta nierówność klasowa! Myśl o tej niesprawiedliwości burzyła krew w żyłach Salvierry i wyprowadzała go z równowagi! No, bo czy mogło być inaczej? Setki tysięcy istot ludzkich umierało co roku z głodu, a społeczeństwo, zda się, nie chciało nic o tym wiedzieć, a to jedynie dlatego, że ci nędzarze nie padali nagle na ulicy jak bezdomne psy, lecz oddawali Bogu duszę po szpitalach lub w swych nędznych norach, zachowując pozory ludzi padających ofiarą przeróżnych chorób... A przecież ziemia nasza potrafiłaby wyżywić bez żadnego wysiłku wszystkich żyjących na jej powierzchni. Cóż to za przekłete stosunki, tolerujące takie zbrodnie!

Marząc o wielkiej przyszłości Salvierra zaczynał śpiewać hymny pochwalne na cześć ustroju komunistycznego, w którym czekało jego obywateli szczęście materialne połączone ze spokojem ducha: — „Nie będzie tam ani gnębieli, ani przewrotnych wyzyskiwaczy — wołał — wszystkie dolegliwości doby obecnej, wszystkie skutki nierówności klasowej znikną. W nowym, odrodzonym społeczeństwie, na skutek unormowanego podziału koniecznych do życia środków materialnych, zostanie nareszcie

przywrócona równowaga ekonomiczna, wobec czego nawet choroby nagminne przestaną mieć rację bytu”.

W głosie rewolucjonisty wygłaszającego swe utopijne doktryny było tyle wiary i pewności siebie, że słuchacze nie przeszkadzali mu ani jednym słowem opozycji, jakkolwiek dziwne było to, co mówił. Pełni byli bezwiednej czci dla mówcy, a uczucie to zbliżone było do uwielbienia, z jakim w wiekach średnich proste i niewinne dusze wierzących tłumów słuchały natchnionego apostoła wiary, głoszącego im rychłe panowanie Boga na ziemi.

Towarzysze broni Don Fernanda zachwycali się wspomnieniami z bohaterskiego okresu ich życia, chętnie zagajali rozmowę o wystąpieniach zbrojnych, o utarczkach w górskich zakątkach, o mozołach i trudach rewolucyjnego życia, wreszcie o karze, jaką za swe wystąpienie ponieść musieli. Ich południowa, bujna wyobraźnia wyjaskrawiała bezwiednie barwy, nadając wspomnieniom tym charakter bohaterskiej epopei. Ich przywódca słuchał fantastycznych opowieści z pobłażliwym uśmiechem, z jakim się słucha paplaniny dzieci opowiadających z zapałem o ulubionej przez nie zabawie. Walka o formy rządu! Istniały przecież o wiele donioślejsze zagadnienia! Zaczynał rozwodzić się nad zawodem, jaki przeżył po rewolucji roku, która w skutkach swych okazała się dziwnie nieudolna i niepotrzebna. Jego koledzy partyjni umyślili uczynić zeń ministra. On w roli ministra?! Przystał na tę godność jedynie chwilowo, aby ułagodzić w Madrycie stosunki i przeszkodzić publicznemu skandalowi, który go oburzał do głębi duszy. Nie mógł patrzeć na tłum bezdomnych mężczyzn, kobiet i dzieci spędzających zimowe noce pod gołym niebem, gdy tymczasem pałace bogaczy — wrogów rewolucji — stały pustką. Właściciele ich bowiem siedzieli w Paryżu, dopomagając Burbonom do odzyskania władzy.

Przyjaciele Salvierry przenieśli się następnie wspomnieniem aż do czasów kiedy wraz z nim pracowali w Kadyksie nad rewoltą wśród marynarzy... W rozmowie padło imię matki przywódcy... Matka! Uśmiech błądzący po wargach Salvierry znikł nagle, a twarz jego wykrzywiła się boleśnie. Nie miał nikogo bliższego prócz matki... I ta matka umarła, gdy odbywał karę. Wszyscy towarzysze przyzwyczaili się do tego, że mówił o matce, poczciwej staruszce, z

tkliwością i prostotą małego dziecka. Nigdy w życiu nie słyszał z jej ust ani jednego słowa wyrzutu za swe wybryki rewolucyjne, nigdy nie wymawiała mu jego filantropijnych dziwactw ani jego rozrzutności, nie powiedziała mu złego słowa, gdy wracał do domu półnagi po oddaniu wszystkiego, co miał, swym obdartym towarzyszom. Podobna była do ewangelicznych matek, z łagodnym uśmiechem przytakujących wszystkim niesamowitym poczynaniom swych synów, którzy w przyszłości powiększyli zastępy Świętych Pańskich.

— Zaczekajcie chwilę, muszę uprzedzić mamę, potem możecie rozporządzać mną — zwykł był mawiać Salvatierra przed każdym zamachem rewolucyjnym. Zdawało się, że żadnych innych środków ostrożności nie uznawał. Staruszka nie protestowała przeciw temu, że roztrwonił na cele partyjne ich skromną fortunę. Towarzyszyła mu do Ceuty, gdy sąd po skazaniu go na śmierć zamienił łaskawie tę karę na dożywotnie więzienie. Zawsze mężna i dzielna, rozumiała, że syn jej nie potrafi żyć innym życiem, powstrzymywała się więc od wszelkich rad i nagan. Może nawet szczyliła się tym, że jej Fernando pociągał za sobą ludzi, porywając ich wielkością swych ideałów i wprawiając swych wrogów w zdumienie widokiem niezłomności swej cnoty i bezinteresownych poświęceń.

Matkę swą ukochał całym sercem, które nie miało czasu na zaznanie innej miłości, ideał społeczny bowiem

był jedynym jego ukochaniem. I oto przyszedł kres. Nigdy już nie ujrzy swej drogiej mateczki, która pieściła go tak, jakby był ciągle jeszcze małym dzieckiem.

Postanowił pojechać do Kadyksu na jej grób: Chciał spojrzeć na ten pogórek ziemi, który ukrył ją na zawsze przed jego wzrokiem. W jego spojrzeniu i w głosie wyczuło się nagle rozpacz. Znać było, iż dręczył się, że nie posiada złudnej wiary w inne życie, że zbyt pewny jest, iż po śmierci nie ma nic — tylko wieczny mrok i... nicość.

Osamotnienie jednak, jakiego doznawał po śmierci matki, podsycało jeszcze bardziej jego zapał rewolucyjny. Teraz całe już swe życie złożył na ołtarzu ideału. Po raz drugi obdarzono go wolnością, nie dbał o nią jednak i dla dobra sprawy mógł wyrzec się jej każdej chwili. Do końca życia jednak będzie walczył z niesprawiedliwością społeczną. Montenegro siedząc przy swym biurku w kantorze domu handlowego Braci Dupont słyszał, zda się, jeszcze pełne zapału przemówienie Salvatierry wypowiadającego wojnę własności prywatnej i Kościołowi, które to dwa pojęcia, zdaniem jego, skuły dusze ludzkie ciężkimi więzami przesądów społecznych i religijnych.

Montenegro nie mógł opędzić się myśli, jak wielka była różnica między zastępami skromnych urzędników siedzących nad papierami firmy w olbrzymiej, niemal klasztornej zimnej i ponurej sali, a pełnym entuzjazmu gronem weteranów romantycznej rewolucji. Tamci bowiem oraz ich towarzysze z młodszej generacji, pełni entuzjazmu śpieszyli do szeregów, skupiając się dokoła ukochanego i powszechnie wielbionego wodza.

Montenegro znał doskonale swych kolegów biurowych. Wiedział, z jaką układnością ulegali władczyim rozkazom Don Pabla Duponta, głowy domu handlowego. Wiedział,

że każdy z nich mniej dbał o dokładne wypełnienie swych obowiązków, niż o branie udziału we wszystkich uroczystościach organizowanych przez ich szefa w kościele ojców jezuitów. Wiedział dokładnie, z jaką gorliwością oddawali się szpiegostwu, aby zaskarbić sobie wzglądy szefa, drżał Da myśl, czy Don Pablo nie dowiedział się już o tym, gdzie jego podwładny spędził całą niedzielę.

Już kilka razy zauważył pełen zdziwienia wzrok naczelnika biura, Don Ramona, który wpatrywał się w niego tak, jakby wiedział o tym, co się stało dnia wczorajszego. Don Ramona jednak nie obawiał się wcale. Don Ramon był jednostką zwyciężoną przez los. W latach młodzieńczych bojownik wolności na terenie organizacji madryckich, co nie zdołało mu zapewnić chleba na stare lata, w wieku, późniejszym dręczony niedostatkiem a nawet głodem, zdemoralizowany niepowodzeniem, uległ. Zrezygnował ze swych ideałów i znalazł cichą przystań w biurze domu handlowego Braci Dupont, gdzie pełnił funkcję kierownika reklamy, układając oryginalne ogłoszenia, pompatyczne prospekty popularyzujące wytwórczość firmy. Za swe wyczucie psychologii tłumów i za umiejętność, z jaką prowadził

swój dział, został z czasem zaszczycony zaufaniem Don Pabla. W głębi duszy jednak pozostał dawnym człowiekiem. Montenegro wiedział o tym i dlatego też nie obawiał się bynajmniej niedyskrecji z jego strony. Przeszło pół godziny stracił młodzieniec na przeglądaniu papierów służbowych; rzucając od czasu do czasu, spojrzenia na drzwi gabinetu szefa, gdzie wciąż jeszcze nie było nikogo. Jakby chcąc odwlec chwilę ujrzenia go, zaczął szukać pozoru, pod którym mógłby wydalic się z biura. Nagle wziął ze stołu list, który nadszedł z Anglii. Po chwili podniósł się z miejsca.

— Dokąd idziesz? — zapytał go Don Ramon widząc, że zmierza ku wyjściu.

— Do wydziału próbek. Muszę udzielić tam wyjaśnień, dotyczących pewnego obstalunku.

Ruszył do części fabryki tworzącej jak gdyby małe miasteczko, w którym robotnicy pracowali na otwartym powietrzu lub też w galeriach pod dachem, uwijając się między długimi rzędami beczek i beczulek. Warsztaty i poszczególne oddziały domu handlowego Braci Dupont tworzyły specjalną dzielnicę miasta Jerez. Dachy niezliczonych budynków, rozrzuconych na powierzchni szerokiej doliny, wyzierały spomiędzy drzew olbrzymiego parku. Na razie były to tylko skromne warsztaty, lecz trzy generacje rodu Dupontów przyczyniły się do rozszerzenia budowli i nadania im coraz większego splendoru. I oto stopniowo wyrosło całe miasto czyste i ciche, uśmiechające się do słonecznego nieba. Przemysłowe miasto z oślepiająco białymi murami domów, z olbrzymimi placami, na których zamiast kwiatów widniały tysiące w prawidłowe szeregi ustawionych beczek.

W pobliżu budynku, w którym mieścił się główny zarząd, wznosił się owalny pawilon ze szklanym dachem, w którym przechowywano młode, fermentujące jeszcze wina, przeznaczone do butelkowania. Długie rzędy starych dębowych beczek stały w uroczystym skupieniu, zalane wdzierającym się przez grube szyby okienne światłem słonecznym. Montenegro zajrzał do wnętrza pawilonu, nie zauważył tam jednak nikogo i ruszył dalej.

Przechodząc z placu na plac pomiędzy rzędami beczek wystawionych na operację słoneczną, aby przyspieszyć wytrawność wina, a tym samym ułatwić szybszy jego zbył i pobić konkurentów, Montenegro stanął w hali Olbrzymów. Przeszedł przez cały ten olbrzymi budynek, gdzie

w specjalnych drewnianych wieżach przypominających starożytne machiny oblężnicze i podobnych do niesamowitych potworów fermentowało przeszło siedemset hektolitrów moszczu nie posiadającego jeszcze ani oryginalnego smaku, ani nazwy. W cieczy tej umieszczone były gumowe rury, które pod działaniem parowych pomp wchłaniały płyn jak chwytlive chłonne macki polipa. Robotnicy pozdrawiali zyczliwym ukłonem przechodzącego przez salę Montenegro, który wyszedł wreszcie głównymi drzwiami i skierował się do innej hali. Tam znajdowały się moszcze podlegszego gatunku, przeznaczone do fabrykowania imitacji szlachetnych gatunków win.

Była to olbrzymia nawa, której sklepienie wspierało się na dwóch rzędach filarów, u ich podnóża stały w trzech szeregach cztery tysiące kadzi zawierających przyszłe falsyfikaty win.

Potrzeby nowożytnego rynku zmuszały Braci Dupont; chcących uczynić zadość zapotrzebowaniom eksportowym, do przemiany jednego z najlepszych gatunków win na Porto, Maderę, Marsalę.

W głębi budynku znajdowała się sala próbek i formułek, „biblioteka domu handlowego”, jak zwykł mawiać Montenegro. Tysiące małych flaszeczek starannie zakorkowanych stały na półkach oszklonej szafy. Flaszeczki te zawierały próbki win wyprodukowanych w różnych czasach. Na każdej flaszeczce widniała etykieta z wypisaną na niej datą. Klient zamawiający wino musiał jedynie wymienić datę otrzymania pierwszego transportu.

Odpowiedni funkcjonariusz wyszukiwał właściwą formułek i wydawał piwniczym potrzebne instrukcje, w myśl których posługując się kunsztownymi kombinacjami przygotowywano nowe wino, dokładnie odpowiadające przechowywanej próbce.

Technik wtajemniczony w owe arkana wiedzy tajemnej był to stary pracownik i przyjaciel domu handlowego,, pomarszczony i obrzmiały, rzekłbyś, spuchnięty od wyziewów wina, którym nasiąkł. Skazany był na długie godziny samotności w czterech ścianach czarnego pokoju. Tam, w jaskrawym blasku światła sączącego się przez małe kwadratowe okienko z czerwonymi szybami, badał winą przeznaczone do przeróżnych mieszanek. Podczas swej pracy czuł gwałtowną potrzebę rozmowy, zwłaszcza gdy któryś z urzędników odwiedzał go w jego pustkowiu. Potrzebę tę odczuwał jeszcze silniej, gdy owym gościem był Montenegro, którego znał od dziecka.

— A twój ojciec? — zagajał z nim rozmowę — ciągle siedzi w winnicy? Nieprawdaż? Lepiej mu tam bezwzględnie niż tu, w wilgotnym budynku. Na pewno będzie żył dłużej ode mnie.

Spoglądając na papier, który mu podawał Montenegro, wykrzywił się z niezadowoleniem.

— Wiecznie to samo! — wykrzykiwał. — Znowu fałszowanie wina na eksport! Ongi firma nasza była pierwszą w świecie,, a teraz wyrabiamy z naszych win mikstury podszywając się pod wina zagraniczne. To niecna zdrada, Chciałbym, żeby filoksera zniszczyła nasze winnice, aby raz skończyć z tym kłamstwem.

— Ależ to są wymagania nowoczesnego handlu, należy nagiąć się do gustu klientów.

— A więc niech nie piją więcej, do pioruna! — odpowiadał starzec zirytowany słowami Montenegro. — Niech dadzą nam spokój i nie zmuszają nas do psucia naszych win. Zachowamy je w naszych magazynach, pozwolimy starzeć im się powoli, a wcześniej czy później świat oceni je należycie i ha kłęczkach będzie nas błagał o nie! Teraz

nikt się na tym nie zna. Anglicy nie więcej od innych Zresztą Anglia to w ogóle kraj stracony. Całe tysiące ludzi pije tam tylko wodę. Zdaje mi się, że nie jest teraz w dobrym tonie leżeć pod stołem. Ci zaś, którzy upijają się jeszcze hołdując dawnej tradycji, czynią to żłopiać soda and whisky lub inne świństwo w tym rodzaju. I to ma być handel! Nawet Pitt, Nelson i Wellington nie byli takimi idiotami jak obecni ludzie: sprowadzali nasze wina beczkami — w oryginalnej postaci.

Montenegro nie mógł powstrzymać się od śmiechu, tak zabawne było oburzenie poczciwego kipra.

— Śmieję się, mój chłopcze, śmieję, lecz przyjrzyj się, jakie są tego wszystkiego skutki. Dawniejsze czasy były złotym okresem dla naszego kraju. Właściciele winnic czerpali mile brzęczącą monetę pełnymi garściami z pękających worów, zupełnie tak jakby to były worki z kartoflami. Najemnicy zarabiali trzydzieści do czterdziestu realów na dzień — każdy z nich miał lakierki, jeździł bryczką na roboty, tańczył i śpiewał przy dźwiękach gitary. Gdyby Salvatierra w owym okresie zechciał rozwodzić się przed nimi o biednych i bogaczach, o podziale ziemi i o rewolucji, zaproponowałiby mu na pewno szklanekę wina i rzekli: „Chodź, kamracie, do naszego towarzystwa, pij, śpiewaj i tańcz z młodymi dziewczętami, jeśli ci to przypada do gustu, i nie martw się o nas. Nie powodzi nam się najgorzej!” Dziś znikły pieniądze. Ceny wina spadły w przerażający sposób. Wyrobnicy zarabiają w najlepszym razie po dziesięć realów dziennie, noś im się wydłużył i twarz zapadła. Unoszą się o byle głupstwo, kłócą się z sobą, niejednokrotnie dochodzi między nimi do bójek, strajk następuje po strajku, wszyscy chętnie słuchają płomiennych oracji przyjaciół Salvatierry, większość należy do tajnych organizacji, jak np. związek „Czarnej Ręki”

i kończą na stryczku. Ich panowie nie żyją już z nimi w przyjaźni, lecz traktują ich wrogo i surowo. Żandarmi myszkuje po gościńcach, zupełnie tak jakby grasowały po nich bandy rozbójników. A wynik tych nowych stosunków: nędza i wstyd!

Starzec przerwał swą mowę, odwołany przez jednego a piwnicznych.

— Odchodzę, mój chłopcze — zakończył zwracając się do Montenegro. — Zostaw mi twą kartę i nie przychodź tu więcej z podobnymi interesami. Mierzi mnie ohydny zawód pokątnego drogisty fabrykującego nędzne falsyfikaty. Montenegro również opuścił halę i nie śpiesząc się do biura, wszedł do warsztatów bednarskich. W olbrzymich szopach osłoniętych dachem i otaczających zwartym kotem duże podwórze, setki bednarzy nabijały na gotowe już beczki żelazne obręcze. Inni znowu pracowali przy beczkach zaledwie na pół gotowych. Robota wrzała: był to dział, w którym nigdy nie było znać zastoju. Warsztaty co tydzień musiały dostarczać partię beczek, w których wina Braci Dupont transportowano drogą przez Kadyks na cały świat.

Dyrektor warsztatów podszedł do Montenegro.

— Jak się ma Don Fernando? — zapytał.

Dyrektor był dawniej zwykłym robotnikiem, który swemu sprytowi zawdzięczał karierę, potrafił bowiem zdobyć sympatię pana fabrykanta. Służalstwu i lizusostwu zawdzięczał stanowisko dyrektora warsztatów.. W głębi duszy jednak żywił cichy kult dla swych dawnych towarzyszy niedoli, a zwłaszcza dla Salvatierry. Zaczął wypytywać młodzieńca o szczegóły powrotu rewolucjonisty i o zamiary, jakie żywił on na przyszłość.

— Muszę zobaczyć się z nim — dodał półgłosem — trzeba będzie tylko wymknąć się ukradkiem, tak aby „stary” nie dowiedział się o niczym... Opowiedziano mi w warsztatach, że spędziliście przyjemnie całą niedzielą w jego towarzystwie. — Zakończył upomnieniem: — Uważaj na siebie, Firminie. W fabryce aż roi się od szpiclów. Skoro ja wiem już o twej wizycie u Salvatierry, nie zdziwiłbym się wcale, słysząc, że „stary” wie o tym również. Obawiając się, aby nie powiedzieć za dużo, a zarazem nie paść ofiarą podsłuchu, pożegnał pośpiesznie Montenegro i ruszył do robotników.

Montenegro wszedł teraz do głównej hali, w której stały wyborowe wytrawne wina „dochodzące” powoli w beczkach. Pięć naw oddzielonych od siebie trzema rzędami kolumn, wysokie sklepienia hali, szerokie jej okna ozdobione witrażami, przez które płynęły potoki słonecznego światła, wszystko to upodobało halę do wnętrza katedry białej i promiennej. W słonecznych promieniach tańczyły tęczo migotliwe pyłki kurzu, a pod wysokim sklepieniem rozlegało się echo kroków i głosów ludzkich.

Pod kolumnami stały w długich rzędach najcenniejsze gatunki, a na dnie każdej beczki widniała data zbiorów. Niektóre gatunki liczyły sobie pokaźną już ilość lat, okrywała je pajęczyna i kurz. Nad datą umieszczono herby królewskie lub korony na pamiątkę tego, że monarchowie angielscy lub też hiszpańscy zwiedzając fabrykę próbowali win. Takie beczki nosiły imiona królewskich gości Resztę hali zapelniała kadzie, w których fermentowały wina z każdorocznego zbioru, na uboczu zaś stała olbrzymia beczka napelniona starym octem, liczącym z górą paręset lat. Ostry jego zapach łączył się z wnikliwą wonią win słodkich, ze specyficznym zapachem win wytrawnych, przypominających zapach perfumowanej skóry.

Firmin był już przy wyjściu, gdy usłyszał wołanie, Zadrzał mimo woli, poznał bowiem głos „starego”. Don Pablo Dupont znajdował się w hali win w towarzystwie dwojga cudzoziemców i swego kuzyna Ludwika, młodszego odeń o parę zaledwie lat. Kuzyn ten, jakkolwiek darzył głowę rodu należnym mu szacunkiem, mimo to jednak zachowaniem swym sprawiał mu niejednokrotnie wiele przykrości. Obaj Dupontowie oprowadzali po swym królestwie jakąś młodą parę małżeńską, przybyłą do Jerez z Madrytu. Ludwik Dupont, który ubiegłego wieczoru był z młodym małżonkiem na hulance, rzekł do niego z wesołym uśmiechem:

— No, no, upij się pan, tak być musi! Wstyd byłby to dla nas nie lada, gdyby jeden z przyjaciół naszej firmy wyszedł stąd tak samo trzeźwy na umyśle jak wchodząc.

Młoda para wzdragała się jeszcze przez chwilę dla formy raczej niż z przekonania, w końcu jąła pić wszystko, co im proponowano. Wspaniałe wina godne stołu królewskiego, ich niezrównany aromat i smak zachwiały do reszty wolę gości, zachęcanych wciąż przez Ludwika do picia.

— Jak się masz, mój chłopcze?— wykrzyknął kuzyn „starego” na widok Montenegro. — Co słyhać w domu? W najbliższych dniach będę u was w winnicy. Muszę wypróbować konia, którego wczoraj kupilem.

Uściskawszy dłoń Firmina, poklepał go energicznie po plecach, zadowolony, że może poszczycić się przed gośćmi swą siłą fizyczną, potem odwrócił się od niego.

Obu młodych ludzi łączyły bardzo przyjacielskie stosunki. Chowali się razem w winnicy Marchamalo, byli i sobą na „ty”, wszyscy Dupontowie bowiem nie przywiązywali wagi do hieratycznej etykiety. Rzecz miała się nieco inaczej jedynie z Don Pablem. Był on starszy od Firmina zaledwie o sześć lat i widywał go stale bawiącego się na terenie winnicy, ale zostawszy po śmierci ojca gło

wą znakomitego domu handlowego, zmienił się w stosunku do dawnego towarzysza zabaw do niepoznania.

Montenegro był teraz dla niego tylko urzędnikiem, który musiał być mu posłuszny zawsze i we wszystkim.

— Zostań, muszę z tobą pomówić — rzekł krótko do swego podwładnego, po czym również odwrócił się zachwalając przed młodą parą swe słynne wina.

Montenegro ruszył za szefem w milczeniu jak służący, który z pokorą czeka na to, aż pan raczy doń przemówić.

Don Pablo nie miał jeszcze czterdziestki. A chociaż lubował się w konnej jeździe i wiele trenował, figura jego jednak na skutek otyłości zatraciła linię. Okrągła twarz z mięsistymi, grubymi wargami, z lekka tylko ocieniona zarostem, wyglądała jednak młodo. Wijące się włosy tworzyły nad czołem gęstą grzywę, którą szarpał często miękką jak poduszka ręką. Uprzejmy i łagodny, gdy go nic nie podrażniło, przy najmniejszym wykroczeniu podwładnych łatwo się unosił, czerwienił się z gniewu i darł się piskliwym głosem, niczym zaperzona dziewczyna. Nawykły od wczesnej młodości do rozkazywania, teraz jako głowa domu traktował wszystkich, nie wyłączając członków rodziny, z niezwykle despotyzmem. Żądał dla siebie szacunku nawet od tych ze swych podwładnych, których zwolnił z posady. Spotykając byłego robotnika swej fabryki, który nie pozdrowił go ukłonem, zatrzymywał go i zaczynał upominać:

— Jakkolwiek już u mnie nie pracujesz, obowiązkiem twoim jest kłaniać mi się, ponieważ byłem twoim chlebobdawcą. W interesach pieniężnych był hojny, choć nierówny i kapryśny, umiał jednak dobrze wynagradzać wyświadczone sobie usługi.

Montenegro bał się go, lecz nie żywił do niego nienawiści. Widział w nim człowieka chorego, degenerata, którego egzaltacja na tle religijnym równała się prawie obłądowi. Dupont wierzył święcie, że jego władza pochodziła od Boga, jak władza królów z epoki starożytności. Był przeświadczony, że hierarchia społeczna była również dziełem Boga i że biedacy winni są bogaczom bezwzględne posłuszeństwo. Chociaż potężny i porywczego usposobienia, potentat przemysłu schylał pokornie czoło przed tymi, których uważał za przedstawicieli możnowładztwa, duchowieństwa świeckiego lub zakonnego. Gdy któraś z tych osobistości zjawiała się w jego biurze, miał chęć paść przed nią na kolana i ucałować jej rękę. A jeśli tego nie uczynił, to jedynie z tej racji, iż owa czcigodna osobistość, uśmiechając się uprzejmie, przeszkodziła mu w wykonaniu tego zamiaru. Rzecz oczywista, iż w swej dziecięcej naiwności wtajemniczał Jezusa i Najświętszą Pannę w swoje spekulacje handlowe. To oni mieli pieczę nad jego interesami, a on — biedny grzesznik — ograniczał się do czynienia tego, co mu nakazywali. To oni — jego niebiańscy protektorzy podszeptli jego ojcu myśl założenia destylarni koniaku, co podniosło splendor ich firmy: marka fabryczna domu handlowego Braci Dupont stała się bowiem bezkonkurencyjna w Hiszpanii, a nawet w całej Europie. Aby im podziękować za tyle łask, a zarazem odkupić winy swego ojca i dziada, którzy nie odznaczeni byli nadmiarem gorliwości



religijnej, Don Pablo przeznaczał część swych zarobków na rzecz nowych zakonów, które zainstalowały się w Jerez, oraz na wspomaganie dzieł dobroczynnych swej matki, Dony Elwiry. Pochodząc ze szlacheckiej rodziny i hołdując, rzecz można, tradycjom rodowym — już to zajęta była restaurowaniem jakiejś opuszczonej kaplicy, już to fundowała dla jednego z posągów N. Panny Marii wspinały płaszcz królewski.

Mania religijna Don Pabla zdumiewała nieraz wszystkich.

Pewnego dnia jeden z brytanów, pilnujących warsztatów, pokąsał kilku robotników. Don Pablo przybył pośpiesznie na miejsce wypadku. W obawie, czy aby zwierzę nie było wściekłe i chcąc uchronić poszkodowanych od zgubnych skutków pokąsania, kazał im przede wszystkim połykać zwinięte w kulki obrazki świętych, chroniących wiernych od wściekliczy. Co prawda Don Pablo nie szczędził potem pieniędzy na przewiezienie poszkodowanych do kliniki, gdzie poddał ich kuracji pod kierunkiem sławnego lekarza. Tym, którzy uważali postępowanie jego za dziwactwo, odpowiadał z rozbijającą naiwnością: „Przede wszystkim Wiara, a potem dopiero Nauka. Ta ostatnia czyni co prawda, niejednokrotnie cuda, ale dla tego jedynie, że tak chce Bóg”.

Po zwiedzeniu hali kiperskiej Don Pablo polecił Don Ludwikowi oprowadzić gości po destylarni koniaków i po warsztatach. Sam musiał pożegnać towarzystwo, miał bowiem kilka ważnych spraw w biurze. Pozdrowił gości uprzejmym, lecz pełnym majestatu skinieniem głowy (ten Wielkopański ton odziedziczył po matce), potem skinął na Montenegra, aby szedł za nim.

Znalazłszy się na placu zatrzymał się. Firmin zrozumiał, że nie uniknie już niemiłej rozmowy, której ,się tak obawiał. — Nie widziałem cię wcale wczoraj — zabrał głos „stary” marszcząc brwi, twarz jego przy tym zaczerwieniła się gniewnie.

— Nie mogłem przyjść... Spóźniłem się bardzo... Spotkałem się z przyjaciółmi...

— Pomówimy o tym za chwilę. Czy wiesz, jakie było wczoraj święto? Gdybyś był obecny na nabożeństwie, na pewno nie oparłbyś się wzruszeniu.

W porwywie nagłego entuzjazmu, który kazał mu zapomnieć o gniewie, jał opisywać cały ceremoniał uroczystości religijnej.

— Uroczystość była istotnie wspaniała! Kościół wypełniony po brzegi. Prawie wszyscy urzędnicy i robotnicy fabryczni byli tam obecni. Słyszysz, Firminie? Prawie wszyscy! Kazanie wygłoszone przez ojca Urizabala, wielkiego kaznodzieję i uczonego. Kazanie to wycisnęło łzy z oczu każdego z obecnych — wreszcie najbardziej wzruszająca chwila: komunია. Jako głowa domu, jako dowódca całej armii wiernych przystąpiłem pierwszy do Stołu Pańskiego, a wraz ze mną moja matka, żona i dwóch braci przybyłych z Londynu. Za naszym przykładem poszli ci wszyscy, którzy jedzą nasz chleb oraz ich rodziny. Z chórów kościelnych podczas tej uroczystości płynęły słodkie tony organów. Scena ta przypominała mi podobne sceny z dawnych dobrych czasów, kiedy to pan zwykł był komunikować się wraz ze swymi sługami. Ach! Jak zbawienna dla duszy jest podobna uroczystość! Mogę rzec śmiało, że dzień wczorajszy był jednym z najlepszych dni mego życia!

Don Pablo zapalił się wspominając piękne święto. Wilgotne od łez oczy rozbłysły mu wzruszeniem, zdało się, i czuł jeszcze w nozdrzach zapach wosku i kadzidła, pomieszany z zapachem kwiatów, którymi jego ogrodnik przystroił ołtarz. Nagle przechodząc z roztkliwienia w gniew, wbił ostre spojrzenie w twarz Montenegra.

— A ciebie tam nie było! — wykrzyknął, pąsowy ze świętego oburzenia. — Dlaczego nie było ciebie? Nie odpowiadaj mi! Nie kłam!... Uprzedzam cię, że wiem wszystko... Twoja obojętność religijna jest podwójnie naganna. Uciekłeś z domu bożego, aby spędzić dzień cały z nieszczęsnym Salvatierrą, którego wypuszczono na wolność zamiast trzymać na zesłaniu aż do końca dni jego żywota.

Montenegro zbladł z gniewu, słysząc wzgardliwy Jakim „stary” mówił o Salvatierrze. Drgnął jakby smagnięty batem i spojrział dumnie w twarz Don Pabla.

— Don Fernando Salvatierra — odpowiedział spokojnie, starając się opanować swe wzruszenie — to mój nauczyciel, któremu wiele zawdzięczam. Przy tym to najserdeczniejszy przyjaciel mego ojca. Byłbym niewdzięcznikiem bez serca, gdybym nie poszedł powitać go w dniu powrotu do rodzinnych stron po tylu przejściach.

— Twój ojciec! Głupiec, który dopomógł mi, że się tak wyrażę, do przejścia przez góry i do paradowania ulicami Kadyksu z bronią w rękę w walce o „federacyjną republikę"! Gdyby nie mój stary, który ceniał jego skromność i uczciwość, twój ojciec umarłby z głodu, a ty zamiast zostać panem, jakim jesteś obecnie, musiałbyś okopywać winną latorośl jak prosty wyrobnik.

— Lecz pański ojciec był również przyjacielem Don Fernanda Salvatierry i nieraz udawał się pod jego opiekę w okresie wojny domowej.

— Mój ojciec! — odpowiedział Don Pablo nieco zmieszany — mój ojciec był tym, czym był: dziecięciem wieku owianego podmuchem rewolucyjnej wichury... A poza tym, nie posiadał religijnych cnót, które są największym dobrem każdego człowieka. Zresztą i ludzie, i rzeczy zmieniają się przecie. Wśród ówczesnych republikanów było dużo dzielnych jednostek posiadających szalone głowy, lecz niezrównane serca. Znałem pośród nich takich, którzy nie opuściliby za skarby świata mszy św., nienawidzili królów ziemskich, lecz szanowali przedstawicieli władzy boskiej. Czy ty sądzisz, Firminie, że widmo republiki przeraża mnie? Bynajmniej! W głębi ducha sam jestem większym republikaninem niż ty. Nie żywię najlżejszej bodaj sympatii dla obecnego rządu, w którego gronie są przeważnie złodzieje i hipokryci podtrzymujący

katolicyzm jedynie po to, aby zapewnić sobie oparcie i siłę. Ja pragnę gorąco — wykrzyknął nagle wymachując gwałtownie rękami i bijąc się w piersi — ja pragnę rządów Chrystusa, marzę o tym, by przedstawiciele władzy byli uległymi synami Ojca Świętego. Nie mówcie mi tylko nic o rewolucjonistach doby dzisiejszej, o takich Salvatierrach ani o młodzikach jak ty, którzy ich słuchają niby wyroczeni! Nie mówcie mi o szaleńcach głoszących równość, rozprawiających o podziale dóbr doczesnych i twierdzących, że religia dobra jest tylko dla starych bab! Nie myśl — dodał następnie — że boję się tego, co Salvatierra i jego przyjaciele ochrzcili nazwą rewindykacji socjalnych. Wiesz, że w kwestiach materialnych nie jestem twardy. Gdy robotnicy zażądają niedużej podwyżki lub też o parę minut dłuższego odpoczynku, jeśli tylko jest to w mojej mocy, wypełniam ich żądanie — dzięki Bogu nie czuję braku gotówki. Nie jestem podobny do tych zwierzchników, cc to w wiecznej pogoni za pieniędzmi handlują krwią i potem nędzarzy. Trzeba mieć litość, dużo litości. Należy dać do zrozumienia, że kto chce żyć po chrześcijańsku, temu los sprzyja... Co mnie jednak w tym wszystkim najbardziej oburza, to ich bezsensowna gadanina, że wszyscy ludzie są sobie równi — a przecież nawet w niebie widzimy hierarchię. Albo znowu inny nonsens: nędzarze we wszystkich swych żądaniach mówią o sprawiedliwości, podczas gdy ja na przykład czyniąc akt miłosierdzia, idę dalej, niż każe mi obowiązek. Najbardziej tedy oburza mnie w akcji przekłętą liberalizmu to, że Jego wyznawcy występują przeciw Bogu i starają się „wyleczyć” lud z uczuć religijnych czyniąc kościół odpowiedzialnym za wszelkie zło społeczne. Don Pablo szedł teraz wolnym krokiem w towarzystwie swego urzędnika zmierzając w stronę biura głównego zarządu.

— Wiesz dobrze, Firminie, czego chcę — oświadczył zatrzymując się przed wejściem do gmachu zarządu. — Żywię dla ciebie dużo sympatii, lubię wszystkich twoich, jesteśmy sobie prawie kamratami, łączą nas bowiem wspólnie przeżyte lata dziecięce. Nie zapominam również i o tym, że kuzyn mój, Ludwik, traktuje cię jak brata! Ale ty mnie znasz: Bóg przede wszystkim! Dla niego gotów byłbym wyrzec się rodziny. Jeśli ci czego brakuje, mów! Jeśli uważasz, że za mało zarabiasz, powiedz mi to, Z tobą nie będę się targował, żywię bowiem dla ciebie sympatię mimo wszystkich głupstw, jakie się siebie trzymają. Nie opuszczaj jednak niedzielnej mszy, unikaj tego pomyłeńca Salvatierry i jego bandy nicponiów. Jeśli nie wypełnisz w tym względzie mej woli, wiedz, że wypowiem ci walkę, a walka ze mną nie wyjdzie ci na dobre.

Z tymi słowy wszedł do swego gabinetu, po czym Don Ramon, dyrektor reklamy, nadbiegł pośpiesznie i z uśmiechem starego dworaka położył przed szefem plik druków i papierów. Montenegro mógł obserwować ze swego miejsca przemianę, jaka nastąpiła nagle w usposobieniu „starego”. Fanatyk i despota religijny znikł ustępując miejsca wytrawnemu spekulantowi. Głowa słynnego domu handlowego jął przeglądać papiery, spierać się z Don Ramonem i zasypywać go szeregiem pytań z bystrością i rutyną człowieka, który skupił wszystkie swe władze intelektualne na zagadnieniach z dziedziny przemysłu.

Mniej więcej w godzinę po przyjściu do biura Don Pablo kazał przywołać do siebie Firmina: należało załatwić rachunek z innym pokrewnym domem handlowym. Była to sprawa przewlekła, której nie dałoby się załatwić przez telefon, Montenegro więc musiał udać się tam osobiście jako mąż zaufania. Uspokojony już zupełnie i opanowany, chciał mu pokazać, że nie pamięta wcale rozmowy ani ostrych słów, jakie padły z jego ust.

Firmin opuścił biuro bez zbytniego pośpiechu. Miał przed sobą na uregulowanie sprawy cały dzień. Szef przestawał być wymagający, z chwilą gdy woli jego uczyniono zadość.

Ulica płonęła w potokach łagodnego wrześnieowego słońca, rzekłbyś, wiosna obejmuje już panowanie nad światem. Białe mury domów z zielonymi balkonami odcinały się ostrymi plamami na tle ciemnoszafirowego nieba, a widok ten stwarzał złudzenie panoramy któregoś z afrykańskich miast z białymi domami o płaskich dachach.

Montenegro ujrzał zbliżającego się doń młodego, barczystego mężczyznę, którego dziwny nieco ubiór przypominał strój kontrabandyzisty lub pełnego rycerskich cnót bandyty, bohatera fantastycznych legend krążących wśród ludu. Siedział na swym wierzchowcu z wdziękiem Araba, jak centaur tworząc, zda się, z koniem jedną całość.

— Brawo! Brawo! — wykrzyknął Montenegro poznając jeźdźca. — Jak się masz, Rafaelu?

Jeździec ściągnął tak gwałtownie cugle koniowi, że ten przysiadł na zadzie, stając dęba.

— Piękne zwierzę — rzekł Firmin poklepując rumaka po szyi.

Widok dobrego konia wysokiej rasy budził w nim zawsze zachwyt mimo spokojnego trybu życia, jaki wiódł od szeregu lat. Żyły w nim instynkty koczownika, syna Afryki, który przenosi konia nad wszystko i kocha go jak prawdziwego, jedyne przyjaciela. Z całego majątku Don Pabla zazdrościł mu jedynie stajni.

Rafael był administratorem fermy Matanzuela, największej z tych, jakie jeszcze pozostały Ludwikowi Dupontowi, rozrzutnemu hulacy, kuzynowi Don Pabla.

— Przyjeżdżam w kilku sprawach służbowych — odpowiedział Don Rafael. — Spiesz mi się ogromnie, lecz

przed powrotem do domu wpadnę, co koń wyskoczy, do winnicy twego ojca... Brak mi zawsze czegoś, gdy nie widzę dłużej swego chrzestnego.

— A z siostrą moją nie zobaczysz się wcale? — zapytał Firmin z filuternym uśmiechem. — Czy niczego ci nie brak, gdy nie widzisz Marii?

— Ee... naturalnie, że jest nijako — bąknął Rafael rumieniąc się lekko.

Nagle, jakby zdjęty wstydem, spiął konia ostrogą i wykrzyknął:

— Niech cię Bóg ma w swej opiece, przyjacielu! Postaraj się odwiedzić mnie któregoś dnia.

Popędził szybko jak strzała, kierując się za miasto.

Firmin znalazł się wkrótce na ulicy Larga, stanowiącej główną arterię ruchu miejskiego. Po obu jej stronach wznosiły się osłepiającej białości domy z olbrzymimi wrotami w stylu siedemnastego wieku. Na wrotach tych znajdowały się kunsztownie wyrobione herby najmożniejszych wielkopańskich rodów, aczkolwiek gruba warstwa wapna zakrywała prawie całkowicie piękne staroświeckie ozdoby. Na zielonych balkonach ukazywały się tu i tam główki smagłych kobiet, błyszczały piękne, czarne oczy, w ciemnych kędziorach włosów jarzyły się jaskrawe kwiaty.

Nagle Montenegro ujrzał młodą kobietę, która żywością gestów, zuchwałą brawurą, prowokacyjnym ruchem bioder ściągnęła na siebie uwagę całej ulicy. Mężczyźni zatrzymywali się w przejściu, wiodąc za nią wzrokiem. Kobiety odwracały się od niej z przesadną wzdargliwością, a gdy już ją minęły, zaczynały szeptać sobie coś na ucho, pokazując w jej stronę palcami. Młode dziewczęta, siedzące na balkonach, głośnymi okrzykami zaczęły wywoływać z wnętrza mieszkań swe przyjaciółki, które z pośpiechem wychylały się z okien.

Ową kobietą, która wywołała taką sensację, była starsza córka nieboszczyka markiza San Dionisio, bratanica pani Elwiry, matki Don Pabla. Szła ulicą ze wzdargliwym spokojem nie troszcząc się wcale o to, że obecność jej wywołała sensację. Zza pajęczyny koronkowej mantyli okrywającej jej głowę błyskało złoto włosów. Czarne oczy pięknej kobiety płonęły, lekko drgające nozdrza zgrabnego noska zdały się wyrażać w ten sposób swą pogardę dla całego świata. Zuchwalstwo, z jakim unosząc lekko spódnicę ukazywała nogi, budziło w sercach kobiet oburzenie połączone z gniewem.

— Dzień dobry, uroczą markizo — rzekł Montenegro bardzo uprzejmym tonem, zastępując jej drogę.

— Nie jestem już markizą, mój przyjacielu — odpowiedziała mu. — Hoduję teraz świnię... Dziękuję ci jednak za pamięć o mej dawnej wielkości.

Uśmiechnęli się do siebie nie oglądając się dokoła. Bawiła ich myśl, jak gorączkowo ciekawe oczy śledziły w tej chwili każdy ich ruch. Piękna kobieta gestykulowała z żywością, grożąc młodemu mężczyźnie różowym paluszkiem, ilekroć z ust jego padło jakies „ryzykowniejsze” słowo. Śmiała się wtedy jak dziecko, zwłaszcza gdy jej towarzysz zwrócił się do niej z komplementem.

— Niepoprawny pochlebca! Ale wyglądasz jak magnat, mój przyjacielu! Odwiedź mnie kiedy! Wiesz przecie, że cię kocham... jak siostra... jak siostra! Pomyśl tylko, że ten idiota — mój mąż — był zazdrosny o: ciebie? Czy przyjdziesz do mnie? Co? ,

— Pomyślę jeszcze, co mam uczynić. Nie chciałbym zwady ze świniobójcą.

Młoda kobieta wybuchnęła śmiechem.

— Przecież on jest zupełnie dobrze wychowany. Jakkolwiek nosi wiejski strój, wart jest o całe niebo więcej od wszystkich tych pięknych panów „z towarzystwa”.

Ja kocham wieśniaków. W głębi duszy jestem prawdziwą g i t a n ą.)

Musnęła lekko drobną, dziecięcą nieledwie dłonią policzek Firmina, po czym oddaliła się pośpiesznie. Parokrotnie jednak odwróciła głowę w jego stronę, uśmiechając się.

— Biedna dziewczyna! — rzekł do siebie Montenegro odprowadzając ją spojrzeniem. — Mimo wszystkich swych wad jest ona najwięcej warta z całej rodziny. I pomyśleć tylko, że Don Pablo tak się pyszni szlachectwem swej matki! Przykład jednakże tej szalonej głowy i jej siostry świadczy niezbitcie, jak kończą wszystkie te dumne szlacheckie rody. Ruszył w dalszą drogę, niemi zaś świadkowie jego rozmowy z małą markizą oglądali się za nim długo, uśmiechając się przebiegle i złośliwie.

Na placu Nowym ujrzał urzędujących tam zazwyczaj pośredników z branży winnej lub też handlarzy bydła i zboża. Znajdowali się tam również wychudli i spaleni od słońca robotnicy pracujący na dniówkę. Stali z założonymi na piersiach rękami, czekając, aż ktoś zaproponuje im pracę.

W jednej z tych grup rozległ się okrzyk:

— Don Firminie! Don Firminie!

Wołającym był jeden z piwnicznych domu handlowego Braci Dupont.

— Czy wiesz pan, że nie pracuję już u Don Pabla? Wydalono mnie dziś rano. Kierownik oświadczył mi, w imieniu szefa, że nie jestem potrzebny. Pomyśl tylko — po czterech latach uczciwej pracy takie podziękowanie. Gdzie tu jest sprawiedliwość?

Widząc pytające spojrzenie Montenegro, który był ciekaw powodów wydalenia piwnicznego, zaczął mówić ze wzrastającym przejęciem.

— Wszystko jest wynikiem ich wstrętnej bigoterii. Wiesz, Don Firminie, jaką popełniłem zbrodnię? Oto nie zwróciłem kierownikowi papierka, który wręczono mi w sobotę wraz z moją wypłatą.

Papierek ten był zaproszeniem na mszę, odprawianą co niedziela w kościele św. Ignacego na rachunek rodziny Dupontów. Należało bezwzględnie być na tej mszy, zwłaszcza jeżeli po niej następowała powszechna komunია. Każdy robotnik był obowiązany wręczyć swemu kierownikowi, który stał przy wejściu do kościoła, otrzymane onegdaj zaproszenie. Tym sposobem łatwo było sprawdzić, który z pracowników ważył się wyłamać spod powszechnego przymusu.

— Opuściłem wczorajszą mszę, jak opuszczałem już nieraz poprzednie. Sprzykrzyło już mi się to wczesne wstawanie co niedziela, sobotnie wieczory bowiem lubię przegawędzić w towarzystwie kolegów. Po co się pracuje, jeśli od czasu do czasu nie można mieć za to ani jednej chwili tylko dla siebie? A przy tym jestem przecież panem swych niedziel. Dlaczego i z jakiej racji mają mi narzucać rozkład dnia wolnego od zajęć obowiązkowych? Jak to? A więc dlatego tylko, że nie chcę grać komedii jak, banda lizusów łąjących na mszę z całą rodziną, po nocy spędzonej na hulance, powtarzam, dlatego że nie chcę powiększać zastępów tych wszystkich pochlebców — „stary” wyrzuca mnie na ulicę! Bądźmy szczerzy, można pracować dla przełożonych jak biały murzyn, a w końcu jest się tylko nędzarzem. Nieprawdaż, moi panowie?

Z tymi słowy zwrócił się do grona przyjaciół stojących w pobliżu i słuchających oraz komentujących jego

słowa, czemu towarzyszyły złorzeczenia skierowane w stronę Duponta.

Montenegro pośpieszył w dalszą drogę. Czuł instynktownie, że dalszy pobyt w gronie tych ludzi wyklinających, chlebobawcę może być dla niego niebezpieczny. Idąc do biura, gdzie miano uregulować sporny rachunek, rozmyślał o fanatyzmie Don Pabla, który czynił z pocziwego skądinąd człowieka, jakim był on w gruncie rzeczy, istotę pozbawioną litości.

— A jednak, ostatecznie, nie jest to zły człowiek — szeptał pod nosem.

Kiedy Don Pablo chciał spędzić dzień w sławnej winnicy Marchamalo, zabierał z sobą oprócz rodziny jeszcze kilku oo. jezuitów lub dominikanów uważając, że bez nich zabawa nie byłaby udana. Jedną z jego największych rozrywek na wilegiaturze było zaznajamianie gości z czynnościami starego Firmina Montenegro, który pełnił w winnicy obowiązki nadzorca nad wszystkimi robotnikami.

— No, mistrzu Firminie — mówił ciągnąc go na przestronny plac przed zabudowaniami gospodarskimi —, wydaj im jakiś rozkaz, pamiętaj tylko uczynić to tak donośnym i stanowczym głosem, jaki miałeś dowodząc oddziałami powstańców przedzierających się przez góry.

Stary Firmin uśmiechał się widząc ciekawość Don Pabla i jego towarzyszy w sutannach i habitach. Nie podobna było jednak orzec, czy uśmiech tego przebiegłego wieśniaka był drwiący, czy też wesoły. Zadowolony, że może przy tej sposobności dać swym robotnikom chwilę wypoczynku, podchodził aż do samego ogrodzenia oddzielającego plac od winnicy i głosem dźwięcznym jak grom rzucał rozkaz:

— Do tytoniu!

W tej chwili radia i motyki padały na ziemię, robotnicy zaczęli zacierać zgrabiałe ręce, a potem powolnym ruchem sięgali za pas, dobywając stamtąd tytoń i fajki lub bibułkę do papierosa.

Starzec, wciąż uśmiechając się zagadkowo, słuchał w milczeniu pochwał, jakich przyjaciele Don Pabla nie szczędzili mu dla jego donośnego głosu. Jednocześnie zaś sam również skręcał papierosa i zapalał go bez zbytniego pośpiechu, wciąż z myślą o odpoczynku swych podwładnych, którzy tym sposobem mogli mieć jeszcze kilka chwil wolnych od pracy.

Wreszcie wypaliwszy papierosa starał się dogodzić dziwactwu „starego” i jego gości, ruszał więc z miejsca wołając z przesadną surowością:

— Do... praaa... cy!

Posłuszne zastępy robotników pochylały się ku ziemi, ostrza radeł i motyk błyskały w powietrzu zataczając nad głowami pracujących prawidłowe łuki.

Stary Firmin był jedną z osobliwości Marchamalo nie tylko z powodu swego donośnego głosu. Gości śmieszyły jego przysłowia, wyszukane i niepospolite określenia, rady udzielane podniosłym tonem. Przyjmował ich pochwały z prostotą andaluzyjskiego wieśniaka, który potrafił ciągle jeszcze, jak za dawnych czasów feudalnych, padać plackiem przed posiadaczem wielkiej własności, który potrafił być niewolnikiem swego pana, czcząc go za to, że posiadał ziemię.

Stary Firmin wiele przeżył w swym życiu. W młodości był robotnikiem w winnicy, był to złoty wiek w dziejach firmy Braci Dupont. W owej epoce robotnicy, nie zgnębieni jeszcze i nie przytłoczeni nędzą, zaczęli przesiąkać nowymi, wielkimi ideami społecznymi. Były one dla nich niezupełnie jeszcze zrozumiałe, lecz doniosłość ich imponowała im podświadomie. Zresztą cały naród

zaczynał się buntować. W niewielkiej odległości od Jerez, na niewidocznym morzu, którego ożywcze tchnienie ogarniało jednakże winnice, statki rządowe wystrzałami armatnimi obwieściły królowej Izabeli, że musi ustąpić z tronu. Cała Hiszpania zbudziła się ze snu: ród bastardów\*) zbiegł. Wszyscy cieszyli się wyobrażając sobie, że każdy z obywateli dzierży w swym ręku bodaj minimalną część tej władzy, ó którą tyle zabiegano. Wszyscy pełni byli wiary, że lud jest teraz wszystkim, jak to powszechnie głoszono, łudząc się zwodniczą marą pochlebstw i pięknych słów. Stary Firmin nie mógł myśleć bez wzruszenia o owych czasach, kiedy to pojął za żonę „biedną męczennicę”, jak zwykł był nazywać swą nieboszczkę. Proklamując głośniejszymi okrzykami Republikę, robotnicy gromadzili się co wieczór w szynkach, aby przy szklance i kielichu słuchać odczytywanych na głos artykułów dziennikarskich i proklamacji. Słuchano również przemówień, w których Castelar wyklinał przeszłość, wynosił pod niebiosa rolę matki, ogniska domowego i wszystkie tkliwe uczucia. Odczytywano tam również listy obywatela Roque'a Barcia, który zwracał się do

ludu w patetycznych słowach: „Pójdźcie do mnie, biedacy, a ja podzielę z wami chłód i głód!” Dla rozerwania umysłu po lirycznych dywagacjach powtarzano sobie dowcipy markiza d'Albaidy, który mimo swego tytułu był, ku ogólnemu zadowoleniu, ich stronnikiem.

Największą dumę „obywateli” stanowiło to, że żaden z ich przywódców nie należał do klasy robotniczej, żaden z nich nie był najemnikiem. Najznakomitszymi obrońcami „idei” w całej Andaluzji byli przeważnie bogacze z Kadyksu lub Jerez, przyzwyczajeni do życia łatwego i we

ołego. Książa nawet brali udział w ruchu zapewniając, że Jezus był pierwszym republikaninem i że konając na krzyżu rzekł coś w rodzaju: „Wolność, Równość, Braterstwo”.

Stary Firmin nie zawahał się, gdy prosto z zebrania zmuszony był wyruszyć w góry ze strzelbą w rękę, aby walczyć za Republikę przeciw generałom, którzy wygnali co prawda królową, ale ani słyszeć nie chcieli o zniesieniu królestwa.

Wtedy to poznał Salvatierrę i powziął dla głośnego agitatora nigdy już nie wygasły afekt. Ucieczka i długie lata wygnania spędzone w Tangerze były jedynym owocem jego rewolucyjnego entuzjazmu. Kiedy mógł wreszcie wrócić do kraju, zastał tam małego Firmina, pierwsze dziecko, jakim obdarzyła go „biedna męczennica” w parę miesięcy po opuszczeniu przezeń domu.

Wrócił do pracy w winnicy. Niepowodzenie, jakiego doznało powstanie, i duma ojcowska uczyniły zeń egoistę. Myślał teraz więcej o swej rodzinie niż o władzy ludu, który mógł ostatecznie obyć się bez jego pomocy. Gdy jednak została proklamowana Republika, entuzjazm odżył w nim na nowo. Nareszcie przyszło szczęście powszechne! W kilka miesięcy potem zjawił się Salvatierra wzywając go jak również wielu innych do czynnej walki: „Mieszkańcy Madrytu — oświadczył — okazali się zdrajcami. Ich Republika była jedynie pułapką na łatwowiernych. Republika musi być federacyjna albo nie powinna istnieć w ogóle”. I znowu stary Firmin wyruszył do walki.

Walczył w Sewilli, w Kadyksie, w górach, walczył o idee, których wcale nie rozumiał, które musiały jednak być tak promienne jak słońce, jeśli głosił je Salvatierra.

Na drugiej swej przygodzie wyszedł jeszcze gorzej. Dostawszy się do niewoli spędził kilka miesięcy na ciężkich.

robotach w Ceucie, wraz z karlistami) i zbuntowanymi Kubańczykami, których tam również zesłano, a wiódł żywot tak nędzny, że wspomnienia z tego okresu wyryły się na zawsze w jego pamięci.

Ale po odzyskaniu wolności życie w Jerez wydało mu się jeszcze smutniejsze i rozpaczliwsze. Nie zastał już przy życiu „biednej męczennicy”, która zmarła w czasie jego nieobecności pozostawiając na opiece krewnych, ludzi bardzo niezamożnych, swych dwoje dzieci: Firmina i Marię. Biedny wygnaniec zaczął szukać pracy, lecz nadaremnie.

Robotników było więcej niż potrzeba., przy tym bogacze wspominając z gniewem wybryki rewolucjonistów obawiali się wprowadzić do swego domu ludzi, których tak niedawno jeszcze temu widywali z bronią w rękę i groźną twarzą, walczących o równość i wolność.

Stary Firmin chcąc ulżyć krewnym przy wychowaniu dzieci, wraz ze swym towarzyszem broni Paco Algarem, który miał już rutynę w tym kierunku, jęli się kontrabandy. Paco Algar i Firmina łączyły jeszcze świętsze związki, niż pokrewieństwo: Firmin był chrzestnym ojcem małego Rafaela, jedynego syna Algara, którego żona zmarła również w okresie walk rewolucyjnych.

Obaj przyjaciele zaczęli razem borykać się z trudnościami zawodu przemytnika. Uginając się pod ciężarem ładunku tytoniowego nabytego w Gibraltarze, musieli powracać do siebie pieszo najbardziej stromymi górskimi ścieżynami, narażając się na tysiące niebezpieczeństw. Niewątpliwie chcąc przekroczyć granicę angielsko hiszpańską musieli na razie przekupić jedynie wyższych urzędników komory celnej, potem jednak zaczynały, piętzyć się przed nimi trudności i niebezpieczeństwa. Idąc w nocy

a kryjąc się w dzień musieli poświęcić na przebycie drogi do Kadyksu całe dwie noce. Maszerowali bez odpoczynku uginając się pod ciężarem swych worów, zlni potem nawet w głęboką zimę, a w uszach im szumiało. Musieli stawiać czoło przeróżnym zasadzkom, szczelinom górskim po drodze, nawałnicom i wiatrom oraz walczyć z nocnym mrokiem. Człowiek jednak był ich największym wrogiem. Niżsi celnicy, do których nie dotarła już łapówka, usiłowali korzystając z nocnego mroku zagrozić przemytnikom drogę i skonfiskować im towar, pragnąc tym sposobem powetować sobie ryzyko nieudanych nieraz wypraw przeciw konnym kontrabandzistom, którzy występowali prawie zawsze z bronią w ręku. Nieszczęśliwi przemytnicy musieli również unikać brygad konnych, zaczajonych w górskich szczelinach. Niejednokrotnie podczas nocnej wędrówki błyskało nagle światło, rozlegał się huk wystrzału i świst kuli niosącej niejednemu biedakowi śmierć.

Nie to jednak było najgorszą ich zmorą, lecz obawa utraty całego transportu tytoniu. Równałoby się to całkowitej ruinie. Musieliby zaczynać wszystko na nowo,

znowu opłacać się urzędnikom, znowu pożyczać na wysoki procent. Aby uniknąć podobnej klęski, kryli się przy łada szmerze w najgłuchszych górskich zakątkach, czołgali się na czworakach zdzierając sobie do krwi skórę na rękach i czepiając się ostrych złomów skalnych, gdzie na dnie przepaści spoczywał już niejeden trup dawnych ich towarzyszy. Nieraz rozmyślali nad tym, czy sami nie skończą tak marnie jak i tamci, lecz myśl o zgłodniałych dzieciach dodawała im energii do ciężkiej walki o byt.

Nie uniknęli jednak cięgow losu. Trzykrotnie przyłapali ich strażnicy tuż pod murami miasta, w dolinie Cauli

ny, w chwili gdy byli pewni, że nic im już nie groziło. Na plecy biedaków posypały się razy, potem zagrożona im kulą w razie powtórnego przychwycenia na gorącym uczynku, w końcu zabrano im cenny ładunek. A więc klęska nastąpiła! Należało pożegnać się z oszczędnościami! Byli teraz jeszcze biedniejsi niż w chwili rozpoczynania niebezpiecznego zajęcia. Gorzej jeszcze — posiadali bowiem długi, które wydały im się bezgranicznie wielkie. Teraz należało już poniechać walki z losem.

Paco zabrał z sobą syna Rafaela, który już był sporym chłopcem, i wrócił do Algaru, swej rodzinnej górskiej wsi. Zamierzał tam pracować jako najemnik na jednej z ferm, jeśli w ogóle zechciano by jeszcze przyjąć go do pracy ze względu na podeszły wiek i słabe zdrowie. Stary Firmin nie miał innego schroniska tylko Jerez. Co dzień wyruszał na plac Nowy, aby włączyć się do grona najemników poszukujących pracy, jednakże zarządcy ferm, pomni na jego rewolucyjną przeszłość i na kilkodniowy pobyt w więzieniu za przemytnictwo, spoglądali na niego z pogardą. Ileż to śmiertelnie smutnych poranków spędził na placu dygocąc z zimna, dręczony głodem, mając jako jedyny posiłek mały naporstek wódki, którą go poczęstował któryś z dawnych przyjaciół. A potem jeszcze smętniejszy powrót do domu, widok wybladłych twarzyczek dziecięcych i gniewny wrzask szwagierki, łającej Firmina, że wraca do domu, kiedy wszyscy inni pracują jeszcze.

— Znowu nic? Co?

— Nic, lecz nie rozpaczaj, kobieto. Myśl tylko o sobie i postaraj się zapomnieć o mej egzystencji.

Wtedy to Firmin. zawarł znajomość z człowiekiem, którego nazwał potem „swym aniołem opiekuńczym”, z człowiekiem, który po Salvatierrze miał na niego największy wpływ. Człowiekiem tym był stary Don Pablo Dupont. Pewnego dnia bogacz ten widząc biedaka przypomniał so



bie o jakiejś drobnej przysłudze, jaką Firmin wyświadczył jego firmie w okresie zbrojnej rewolucji. Kaprys milionera sprawił, że nieszczęsny Montenegro został najemnikiem Duponta, który wysłał go do swej winnicy Marchamalo. Z biegiem czasu Firmin zdobył zaufanie swego chlebobdawcy i został awansowany na stanowisko nadzorca nad robotnikami.

W owych czasach zapatrywania byłego rewolucjonisty uległy dużej zmianie. Uważał się teraz do pewnego stopnia za jeden z filarów domu handlowego Braci Dupont: pysznił się znaczeniem, jakie zdobyła firma, powoli nawet zaczął dochodzić do wniosku, że panowie bywają więcej warci, niż to się biedakom wydaje. Zapominając częściowo o należnym Salvatierrze szacunku (przywódca rewolucji był podówczas nieobecny w Hiszpanii) Firmin ośmielił się przyznać w obecności jednego z przyjaciół, iż od chwili ruiny wszystkich jego nadziei politycznych wcale mu się nie powodzi źle. Był wciąż jeszcze zwolennikiem Republiki federacyjnej, tak — przede wszystkim federalnej. Hiszpania nie będzie szczęśliwa, dopóki nie przyswoi sobie jego pojęć. Na razie jednak, jakkolwiek fatalne są jej rządy, jakkolwiek naród ciągle jest uciskany, stosunki mimo wszystko uległy zmianie na korzyść. Jego córeczka i szwagierka zamieszkały w winnicy, w starym budynku, przestronnym jak koszary, syn jego uczył się w Jerez, Don Pablo polubił go bowiem za jego inteligencję, toteż obiecał staremu Firminowi wykierować chłopca na człowieka. Sam Firmin zarabiał trzy pesety) dziennie, a obowiązkiem jego było notować dnie pracy, zbierać wyrobników i pilnować ich nie pozwalając przed przepisową godziną wypoczynku tracić czasu na palenie papierosów.

Prostota ducha Firmina, jego wesołe i miłe usposobienie zaskarbiły mu względy chlebobdawcy i całej jego rodziny, tak że wkrótce obie rodziny zaczęły stanowić jakby jedną całość. Firmin umiał zawsze rozśmieszyć starego Don Pabla opowiadając mu swe przygody z dni minionych, które przepędził w górach. Bawił się z synami Duponta, którzy woleli jego rubaszne żarty niż lodowaty chłód angielski ich guwernantki. Firmin podobał się nawet pani Elwirze, siostrze markiza San Dionisio, zawsze niezadowolonej z losu, który skrzywdził ją, czyniąc małżonką jakiegoś tam Duponta. Słuchała jego opowieści z miną wielkiej damy, która raczy łaskawie rozmawiać ze starym koniuszym, swym powiernikiem.

Stary Montenegro przyglądał się z zadowoleniem zabawom swego syna z dwoma młodszymi synalkami Duponta. Tymczasem najstarszy z chłopców, przyszła głowa rodu, jakkolwiek bardzo jeszcze młody, przebywał tylko prawie ciągle z matką, naśladując już z lekka jej wielkopańskie tony. Bywały dnie, kiedy powóz Duponta zaprzężony w czwórkę ognistych koni zajeżdżał przed ganek letniej rezydencji, wzbijając tumany kurzu i wyrzucając na taras willi Marchamalo cały transport smarkaczy. Był tam wraz z synami Duponta Ludwik, bratanek Don Pabla, który administrował całą fortuną sieroty od chwili zgonu jego rodziców. Były tam i córki markiza de San Dionisio, dwa niespokojne podlotki o niewinnie szelmowskim spojrzeniu, śmiały jak ich ojciec. Potrafiły bić się na zabój z chłopakami i grozić im kamieniami.

Mały Firmin i Maria bawili się tedy z przyszłymi dziedzicami wielkich fortun i cała gromadka żyła z sobą w doskonałej komitywie. Firmin patrzył na to z zachwytem i dumą. Nie myślał w takich chwilach o żadnych zmianach losu, widząc w tym zaranie przyszłej równości.

Czasem markiz San Dionisio zaszczyczał winnicę swymi odwiedzinami i mimo swych pięćdziesięciu lat potrafił rozruszać wszystkich, tyle miał jeszcze werwy i humoru. Słyszał ze swych awanturek miłosnych i szerokiego gestu, jak jego przodkowie Torrerroellowie słynęli ongi ze swej dzielności. Był to najstarszy ród w całym Jerez. Mauretański sztandar, zdobyty w bitwie pod Las Navas de Tolosa, owo trofeum wojenne wydobywane ze skarbcza jedynie w dnie uroczystych świąt, był właśnie łupem jednego z przodków markiza. Ten jednak bez namysłu zamieniłby sławę swego imienia na fortunę Duponta, swego szwagra, jednakże pod warunkiem, żeby nie potrzebował pracować tak jak on. Faktycznie był prawie całkowicie zrujnowany i małżeństwo jego siostry Elwiry było jednym ze skutków tej ruiny. Pan

markiz pragnął zapewnić sobie tą drogą kąć na starość, w razie gdyby już mu nic nie pozostało z przebrzmiałej świetności jego rodu. W prawie pustych już salonach jego wielkopańskiego pałacu nie zostało ani śladu z dawnych wspaniałości, rozdrapywanych przez kupców i antykwariuszy sewilskich, do których kieszeni pukał w krytycznych chwilach. Wszystko, cc tylko miało jakąkolwiek wartość, znikło, utonęło w bezdennej paszczy demona gry lub poszło na kosztą hałaśliwych orgii, w których szukał zapomnienia po poniesionych stratach.

Osierocony bardzo wcześnie przez swą małżonkę, powierzył opiekę nad dwiema córkami młodemu słuzącemu, które ściszał bez ceremonii, nie licząc się z tym, że dziewczynki niejednokrotnie przychwyciły go na gorącym uczynku. Pani Elwira oburzona postępowaniem brata zabrała w końcu obie jego córki do siebie nie chcąc narażać ich na oglądanie gorszących scen, jakie się działy w domu ojca. Dziewczynki jednak — nieodrodne córki swego ojca — zaczęły z rozpaczliwą energią protestować przeciwko temu zarządzeniu, tarzały się przy tym na podłodze płacząc

aa całe gardło, aż wreszcie ciotka była zmuszona odesłać je do domu, gdzie korzystały z całkowitej niezależności, żyjąc jak Bóg da.

Cały dom markiza był prawdziwym obozowiskiem Cyganów. Kobiety o oliwkowej cerze i płomiennych oczach opanowały go całkowicie. Ubierał piękne gitany we wspaniałe szale, obdarowywał je skupując dla nich kosztowności. Wszystkie te faworyty rozwydrzonego arystokraty — w przeddzień swego wywyższenia do roli konkubin możnego pana — były najzwyczajniejszymi pod słońcem najemnicami, pracującymi w winnicach i spędzającymi noce we wspólnych pomieszczeniach z robotnikami. Każda z tych faworyt posiadała cały legion krewnych, nigdy nienasyconych żebraków, którzy opadli go ze wszystkich stron szlochając i jęcząc z niezrównanym kunsztem, właściwym swej rasie. Markiz zaś pozwalał obdzierać się ze skóry, śmiejąc się i drwiąc z przebiegłych nicponi pochlebiających mu twierdzeniem, że jest on czystej krwi Cyganem, o wiele rasowszym niż wszyscy oni razem wzięci. Znakomici toreadorzy przyjeżdżali do Jerez jedynie w tym celu, aby wziąć udział w hałaśliwych uroczystościach wyprawianych przez markiza na ich cześć. Bardzo często brząkanie gitar, dw wieki tęsknych piosenek andaluzyjskich, stuk obcasów tancerek i tancerzy budziły ze snu córki markiza. Przez okna swego pokoju spozstrzegały pięknie iluminowane okna pałacowe lub też tłumy mężczyzn w białych koszulach snujące się po p a t i o) z flaszkami wina i szklanicami w rękach. Dotrzymywały im towarzystwa kobiety ze zwichrzonymi włosami, przeginały się wyzywająco w biodrach, udając, że uciekają przed prześladowcami, i powiewały barwnymi szalami jak toreadorzy i matadorzy podczas walki z bykiem. Z nastą

niem dnia małe markizy znajdowały nieraz jakichś nieznajomych mężczyzn śpiących na kanapach. Wszyscy mieli ubrania zmięte, wszyscy chrapali głośno, a cały ich wygląd budził po prostu głębokie obrzydzenie.

Byli tacy, co uważali orgie markiza za dowód demokratyczności jego gustów. Stary Firmin podzielał również to zdanie. Człowiek, który mógł wybierać pomiędzy córami pierwszych w kraju rodów, a uganiał się za dziewczętami z ludu i Cygankami, arystokrata z krwi i kości wybierający sobie przyjaciół spośród toreadorów, ujeżdżaczy i hodowców bydła, on, który nie wzdragał się przed wypiciem szklanki wina z pierwszym lepszym biedakiem proszącym go o wsparcie — nie mógł nie być demokratą! Rzekłbyś, postępowaniem swoim chciał okupić wszystkie arystokratyczne winy swych przodków wobec plebejuszów.

Stary Firmin, jak każdy wieśniak, żywił kult dla siły fizycznej markiza. Stary arystokrata był istotnie prawdziwym atletą: ten, na kogo podniósł swą pięść, padał jak kłoda na ziemię. Był on również najlepszym jeźdźcem. Trzeba go było widzieć, jak w stroju górala z piłką w ręku hasał po polach i lasach, jak poskramiał najdziksze byki albo brał w żelazny uścisk swych lędźwi młodego ogiera, który stawał dęba, pienił się z gniewu, usiłując zrzucić z siebie zuchwałego jeźdźcę, aż w końcu tracąc siły, zziąjany ulegał przemocy.

Ten niezwykle człowiek zmarł w samą porę, wtedy gdy z całego majątku pozostały mu tylko długie, szwagier zaś nie chciał mu już pożyczyć ani grosza więcej. Zmarł ku uciesze pani Elwiry tak jak żył. Śmierć zaskoczyła go podczas

orgii w towarzystwie pięknych przyjaciółek, które pierwsze pośpieszyły mu z pomocą, usiłując ślicznie haftowanymi szalami stłumić krew buchającą mu z gardła. Czując, że śmierć stoi u wezglowia, usłuchał molestowań

swej siostry, która zdecydowała się przekroczyć próg jego domu, aby oddać bratu ostatnią posługę. Umierający biedak zgodził się umrzeć „po chrześcijańsku”. Całe tłumy duchowieństwa znalazły się u jego wezglowia, usuwając z krzeseł porozrzucane tam w nieładzie gitary, damskie szale albo nawet spódnice. Siadali przy konającym i zaczęli mówić mu o niebie i zasługach jego przodków, którzy utorowali mu w pewnym stopniu drogę do zbawienia. Gdy wreszcie wyzionął ducha, ubrano go w habit zakonny, po czym pani Elwira przystroiła pierś jego w całe stopy medalików, których obecność miała dopomóc grzesznikowi w drodze do raju.

Po śmierci markiza obie jego córki, zwracające już na siebie uwagę swą niezwykłą urodą i swobodnym zachowaniem się, opuściły pałac rodzicielski, o który wiodli spór wierzyciele nieboszczyka, i udały się pod opiekuńcze skrzydła pobożnej ciotki, pani Elwiry. Obecność pod jej dachem dwóch uroczych diablic była przyczyną szeregu burzliwych scen rodzinnych, które zamroziły horyzont ostatnich lat życia starego Duponta. Pani Elwira, mająca w najstarszym synu wiernego sojusznika, oburzała się na „bezwstydne dziewczęta”. Wprawdzie towarzyszyły jej co dzień na mszę i na nowenny, przybierając przy tym poważne miny, z czym było im bardzo do twarzy. Ale skoro tylko znalazły się w towarzystwie młodych mężczyzn, zaczynały spoglądać tak wyzywająco, rozmawiać z taką swobodą, że biedna ciotka wpadała w rozpacz. Stary Dupont znudzony wiecznym utyskiwaniem małżonki zapytywał ją nieraz:

— Na co narzekasz? Alboż nie jesteś ich ciotką? Alboż w żyłach waszych nie płynie jedna krew?

Szlachetnie urodzona dama irytowała się w ogóle na wszystko, co zakłócało majestatyczną harmonię jej co

dziennego żywota. Stary Dupont wyprowadzał ją z równowagi swym zmęczeniem, jakie go ogarniało po pracowicie spędzonym dniu, irytowały ją jego dziwaczne nieco maniery, które zapożyczył od znajomych Anglików. Dla męża swego żywiła bardzo niewiele przywiązania. Widziała w nim jedynie współnika, który pracował na ich dzieci, była pełna uznania dla jego zdolności powiększania fortuny, lecz na tym kończyło się wszystko. Całą tkliwość, na jaką mogło się zdobyć jej oschłe serce, przelała na najstarszego, ukochanego syna.

— To prawdziwy Torroeroel — mawiała często — to naprawdę moja krew, nie ma w nim nic z Dupontów.

Mówiąc to cieszyła się w głębi matczynego serca jakby w przeświadczeniu, że zmywa z syna jakąś dla niej tylko widoczną plamę. Rumieniła się zwykle przywołując na pamięć historię rodu Dupontów i skandaliczną drogę, jaką doszli do majątku. Ot, po prostu pierwszy z dynastii był ni mniej, ni więcej — złodziejem. Bez grosza przy duszy przyjął służbę u pewnego Francuza, swego rodaka, który, założył w Jerez fabrykę win. Tu oszukiwał wciąż swego pana. Podczas walk niepodległościowych fabrykant zmuszony był uciekać zostawiając pod opieką Duponta cały swój majątek i fabrykę. Sprytny administrator poprowadził sprawy tak zręcznie, że gdy po skończonej wojnie prawdziwy właściciel powrócił, niewierny sługa podał się urzędowo za prawomocnego posiadacza tego, co zostało ongi powierzone jego opiece. Nieszczęsny fabrykant znikł z miasta, ustępując pola przebiegłemu łotrowi, któremu przez dalszy szereg lat los nie przestał sprzyjać. Teraz już ród Dupontów stać było na uczciwość.

Szlachetnie urodzona pani Elwira, głosząca ciągle cnoty swych przodków, doznawała dotkliwych wyrzutów sumienia na myśl o tym, że korzysta ze zdobytego tak ciem

nymi sposobami majątku. Uspokajała się jednak prędko w przeświadczeniu, że hojne ofiary składane na kościół, okupywały przynajmniej częściowo tę winę.

Śmierć starego Don Pabla była dla niej szczęśliwym rozwiązaniem szeregu sytuacji. Najstarszy syn, który dopiero co się ożenił, stał się głową domu. Teraz cały majątek przeszedł jak gdyby z Dupontów na Torrerroellów, syn bowiem był przecież nieodrodnym „dziecięciem znakomitego rodu. Splamiona występkiem pierwszego z dynastii Duponta, oczyści się teraz dzięki osobie Don Pabla juniora.

Z całej rodziny Don Pabla seniora nikt nie oplakiwał tak bardzo jego zgonu jak biedny Firmin. Nie wylewał wprawdzie łez, lecz całe godziny spędzał na tarasie wsparłszy twarz na dłoniach, błędząc wzrokiem w przestrzeni, smutny i przybity jak pies, który utracił pana. Próżno Maria, już prawie dorosła dziewczyna, usiłowała pocieszyć ojca.

— Co?! Ja miałbym zapomnieć o moim protektorze, o człowieku, który uratował mnie od nędzy?! Nie! Nie! To niemożliwe!

Aby mu dodać nieco ducha, córka wydobywała z szafy flaszkę przedniego wina, pozostałą po ostatnich odwiedzinach winnicy przez „panów”. Stary Firmin wpatrywał się wtedy w złocisty płyn pełnymi łez oczami, po wychyleniu jednak trzeciej albo i czwartej lampki zaczynał uśmiechać się, pełen rezygnacji.

— Jak małym jesteśmy pyłkiem! Dziś ty... a jutro ja z kolei!

Kończył swój ponury monolog popijając wino drobnymi łykami, jak to zwykle czynili wieśniacy andaluzyjscy, którzy wiedząc, że wino jest najcenniejszym ze skarbów, przyglądają mu się, wachają je, pijąc i rozkoszując się nim powoli.

— Tak, tak, gdyby nie Don Pablo, mój syn Firmin nie byłby został panem!

Istotnie miał rację. Stary Dupont bowiem zadowolony a ojca postanowił zapewnić synowi przyszłość. Duży wpływ na rozwój młodzieńca wywarła również obecność w domu Firmina Montenegro jego przyjaciela Salvatierry, który po powrocie z Londynu, dokąd musiał wyemigrować, osiadł w winnicy Marchamalo. Pocziwy Firmin zaproponował mu u siebie gościnę nie przypuszczając nawet, aby obecność tak znakomitej osobistości mogła być niemile widziana przez chlebobawcę. Don Pablo nie powziął o to doń urazy. Żywił dla Salvatierry szacunek za jego uczciwość i szlachetność uczuć, dbając przy tym o swe interesy uważał, że taką osobistość warto było traktować uprzejmie. Któż to mógł przewidzieć, czy nie nastąpi chwila, kiedy on i jemu podobni staną się panami sytuacji!

Spotykając na swej drodze wodza nędzarzy, milioner, który nie widział się z nim już od szeregu lat, ścisnął spokojnie jego dłoń, jakby wczoraj dopiero rozstali się z sobą w najlepszej przyjaźni.

— Jak się masz, Salvatierra? — zapytywał. — Jak się sprawuje twój uczeń, Firmin?

Uczeń czynił zdumiewające postępy. Nieraz wychodził z Jerez wieczorem, aby po długim i uciążliwym spacerze udać się na lekcję do Don Fernanda. Całe niedziele spędzał w jego towarzystwie i uwielbiał go prawie równie głęboko jak ojciec. Nie wiadomo, czy przyłożył do tego rękę Salvatierra, jednakże stary Don Pablo oświadczył pewnego dnia Firminowi Montenegro, że wysła syna jego do Anglii na dłuższą praktykę, którą odbędzie w filii londyńskiej.

Młodzieniec udał się tedy do Londynu. Z listów jego można było wnioskować, że jest zadowolony ze swego nowego życia. Ojciec jego był pewien, że po powrocie do

kraju będzie zeń najmądrzejszy ze wszystkich pisarków, psujących papier w biurze głównego zarządu domu handlowego Braci Dupont. A przy tym Salvatierra zaopatrzył odjeżdżającego w listy polecające do swych londyńskich przyjaciół. Byli to co prawda tylko emigranci polityczni: Polacy, Rosjanie lub Włosi, ale pełen naiwnego zachwytu dla mistrza, Firmin Montenegro uważał ich wszystkich za jakieś niezwykle wpływowe osobistości, których protekcja dopomoże synowi w karierze.

Biedny stary po wyjeździe syna nie mógł sobie znaleźć miejsca. Nudził się, a nie miał z kim rozmawiać. Jedynym jego towarzystwem byli robotnicy, którzy jednak w stosunku do swego zwierzchnika zachowywali się z pewną rezerwą. Z córką też miał mało wspólnego. Dziewczyna zajęta była sobą i podziwianiem swej budzącej się do życia urody. Stroiła się przez cały dzień, a wieczorem zasypiała, gdy ojciec zabierał się przy świetle lampki do odczytywania jednej z broszur, które za dawnych czasów budziły w jego sercu entuzjazm. Od czasu do czasu tylko zaglądał do Marchamalo Don Pablo junior, który po śmierci ojca stanął na czele domu handlowego, umieściwszy braci swoich w Londynie na stanowiskach dyrektorów filii. Czasem zjeżdżała tu pani Elwira ze swymi bratanicami, których miłosne awanturki pozbawiały spokoju całą młodzież w Jerez.

Winnica, zda się, zmieniła się nagle, przycichła. Dziecię które biegały dawniej po przecinających ją ścieżkach, miały teraz inne kłopoty. Cały dom nawet szeptem jakoś i zszarzał: liczył już blisko sto lat i starzał się szybko z każdym rokiem. Ruchliwy Don Pablo junior w swym zapale innowacyjnym mówił nieraz o tym, że należałoby właściwie zburzyć go, a na jego miejscu wzniesić olbrzymi, wielkopański budynek, który byłby właściwie pałacem rodu Dupontów, książąt przemysłu!

Jak smutne było teraz życie starego Firmina! Jego protektor odszedł bezpowrotnie. Salvatierra błąkał się gdzieś po świecie, ostatnio na domiar wszystkich przykrości zmarł ojciec jego chrzestnego syna, Paco Algar. Staremu zmarło się hen, w górach, z przeziębienia. Paco Algarowi, chociaż pozbawionemu możnego protektora., powodziło się w ostatnich latach nieźle. Włócząc się z początku wraz z synem od fermy do fermy za zarobkiem, otrzymał w końcu posadę rządcy na jakiejś małej kolonii mleczarskiej. Odtąd nie potrzebował już pochylać się nad pługiem. Zmęczyło go życie, toteż najchętniej odpocząłby raz już spokojnie po wszystkich trudach.

Gdy stary Paco zgasł, syn jego, osiemnastoletni podówczas chłopiec, przybył do swego chrzestnego ze smutną wieścią. Co teraz poczniesz, mój chłopcze? — zapytał stary Firmin z zaciekawieniem. — Czy zgodzisz się do jakiejś fermy? — Ja miałbym pracować w polu? — odrzekł Rafael z pogardliwym uśmiechem. — Nigdy w życiu! Jedynie konia i strzelbę kocham do szaleństwa! A przy tym czuję chorobliwe pragnienie przygód, chcę pokazać, co to znaczy, być synem Algara. Zresztą, gdy się ma to, co mam ja — oświadczył dumnie prężąc pierś i wyciągając przed siebie ramiona, jakby chciał się pochwalić mocą swych mięśni — jeśli ma się to wszystko, nigdy nie umrze się z głodu.

Złożył zresztą tego dowody. Jego chrzestny zachwycał się nim nieraz, widząc, jak pięknie wyglądał na koniu. Strój majątnego górala, jedwabne chustki tkwiące w kieszeniach kurtki, wspaniała strzelba, wszystko to dopeśniało niezwyklej po prostu całości. Dawny kontrabandzista aż drżał z zadowolenia słuchając opowiadań młodzieńca, jakich to dokonywał cudów zuchwalstwa i walecz

ności. Tak, tak, wszystkie cierpienia i męki ojca chrzestnego zostaną pomszczone przez Rafaela!

Rafael wstąpił do bandy konnych przemytników i nie ograniczał się wyłącznie do kontrabandy tytoniu. Żydzi z Gibraltaru kredytowali mu chętnie, toteż najbezpieczniej w świecie przewoził całe beły jedwabnych materii lub drogocenne szable z Manilli. Pysznił się przed Firminem swymi przygodami. Maria słuchając jego opowiadań bladła i płonęła rumieńcem, wpatrując się w opowiadającego jak w tęczę. Wreszcie kończąc już swoją epopeję sięgał do trzosa i dobywał z niego garść złotych, nieraz same funty szterlingi, pobrzękując gotówką ze wzgardliwym uśmiechem. Na zakończenie wręczał zachwyconemu dziewczęciu już to cudnie haftowaną fularową chusteczkę, już, też szal koronkowy, misternie wyrobiony i podobny raczej do pajęczyny niż do dzieła rąk ludzkich.

Młodzik i dziewczyna spoglądali na siebie z zachwytem, nie mieli jednak odwagi wyznać swego uczucia. Przy spotkaniu byli teraz tak onieśmieleni i pozornie obcy, jak gdyby nie bawili się z sobą jeszcze jako dzieci.

Stary Firmin, zerkając na ich niepewne miny, uśmiechał się filuternie.

— Można by przysiąc, że widzicie się po raz pierwszy w życiu. Ejże, rozruszajcie się do licha! Ty, mój chłopcze, chciałbyś zostać czymś więcej niż moim chrześniakiem... Całe nieszczęście, że wiesz taki rozrzutny tryb życia!

Powinieneś być odłożyć już sobie sporo grosiwa, szczęście bowiem sprzyja ci bezsprzecznie. Oszczędzaj! Gdy uzbierasz mały kapitalik, pomówimy z sobą o sprawie, której nigdy jeszcze nie poruszaliśmy, chociaż interesuje nas wszystkich troje.  
Oszczędzać! Rafael uśmiechał się słuchając tej rady. Jak każdy człowiek czynu, zawsze pewny siebie, wierzył

w przyszłość i hojnie ciskał na prawo i na lewo złoto nie mające w jego oczach żadnej wartości: wszędzie i zawsze częstował swych towarzyszy. W Jerez wydawał huczne przyjęcia upokarzając „panów” swoją hojnością. Chciał żyć, używać, szaleć, lecz gdy w chwilach zmęczenia lub niepewności przymykał na chwilę powieki, stawała wtedy przed nim jak żywa słodka twarzyczka Marii, a w uszach brzmiał mu jej melodyjny głos, którym często upominała go łagodnie:

— Rafaelu, ciągle mówią mi o tym, jak ty się prowadzisz, a zawsze jest w tym więcej złego niż dobrego... Dzielny z ciebie, mimo wszystko, chłopiec... wiem o tym, a więc poprawisz się? Co?

W takich chwilach Rafael przysięgał w duchu zmianę trybu życia, pragnąc, by smutne oczy „wcielonego anioła” ożywiły się radością. Powziąwszy trwale postanowienie rzucał wszystko i jak wariat pędził na przełaj do Marchamalo. Pewnej nocy brytany strzegące winnicy jęły szczekać jak wściekłe. Świtało. Stary Firmin porwał za strzelbę i wyrzwał oknem. Po środku tarasu ujrzał jeźdźca, który siedział skurczony w siodle trzymając oburącz swego konia za szyję. Rumak również ledwo stał na nogach.

— Otwórz, chrestny — rozległ się słaby głos jeźdźcy. — To ja, Rafael. Jestem ranny. Kula przebiła mnie na wylot. Wszedł z trudem do domu, a Maria, która wyrzała z za perkalowej firanki osłaniającej jej łóżko, wydała na jego widok głośny, rozpaczliwy okrzyk. Zapominając o dziewczęcym wstydzie, wpadła do izby w samej koszuli, aby dopomóc ojcu, który z wielkim trudem podtrzymywał rannego. Rafael był błądy jak śmierć. Suknie jego nasiąkły krwią zakrzepłą już w niejednym miejscu, jaskra

wo czerwoną w innym. Na podłogę spadały w miarowych odstępach purpurowe krople, tworząc wąski krwawy ślad. Wyczerpany nadmiernym wysiłkiem Rafael padł bezwładnie na łóżko, w paru słowach opowiedział swą przygodę, potem zemdlął. Opowiadanie jego było urywane i chaotyczne.

— To strażnicy komory!... W górach... z nastaniem nocy... Dałem do nich strzał, chcąc utorować sobie drogę... Podczas niej ucieczki jakaś przekłeta kula trafiła mnie w plecy tuż pod ramieniem... Dano mi pierwszą pomoc w jakiejś nędznej oberży... Nie cackano się ze mną, opatrzone ranę tak, jak się opatruje skaleczone zwierzę... Nagle usłyszałem w dali tętent kopyt końskich... Była to pogoń za mną. Dosiadłem konia, nie chciałem wpaść w ich ręce, galopowałem przez kilka godzin... Była to rozpaczliwa jazda. Czyniłem nadludzkie wysiłki, aby nie wypuścić z rąk cugli i nie zgubić strzemion... Ścisnąłem brzuch konia kolanami, charczałem tracąc resztę sił... Czułem zawrót głowy, oczy zasnuwała mi czerwona mgła... Po piersi i po plecach spływały krople czegoś lepkiego, ciepłego, drażniąc mnie i sprawiając wrażenie, że życie uchodzi ze mnie wraz z tymi kroplami... Chcę się ukryć, nie powinni mnie ująć... Tylko w Marchamalo mogę być bezpieczny... W tym czasie nie ma w winnicy nikogo obcego, nie rozgłosi się... A jeśli już mam umrzeć, to chcę zamknąć oczy pośród tych, którzy nade wszystko są mili memu sercu...

Mówił z trudem, oczy jego pełne były łez, mimo to jednak spoglądał na Marię z miłością, wzrok jego łagodniał wtedy i mówił dziewczynie o swym uczuciu.

— Rafaelu, Rafaelu — jęczała Maria pochylając się nad rannym.

Niewiele brakowało, aby nie licząc się zupełnie z obecnością ojca złożyła na ustach rannego pocałunek miłosny.

Nazajutrz rano padł koń Rafaela, wyczerpany zmęczeniem. Jeździec uszedł śmierci, walczył z nią jednak w ciągu całego tygodnia. Firmin sprowadził z Jerez doświadczonego lekarza, który jako dawny bojownik wolności i przyjaciel Salvatierry brał czynny udział w walkach wolnościowych i znał się na pielęgnowaniu rannych. Wywiązała się silna gorączka połączona z maligną i koszmarnymi wizjami. A gdy ranny otwierał przytomnie oczy, widział niezmiennie pochyloną nad wezglowiem Marię — jak gdyby chciała z wyrazu twarzy chorego i z jego oddechu czerpać radosną dla siebie nadzieję polepszenia. Rekonwalescencja nie trwała długo. Gdy już minęło niebezpieczeństwo, rana zabiłła się w oka mgnieniu. — Pies nawet nie wylizalby się szybciej — oświadczył z dumą Firmin. — Inny na jego miejscu dawno by już gryzł ziemię, ale Rafael to najdzielniejszy chłopiec z całej okolicy. Drwi sobie z jeszcze jednej dziury w skórze — i tyle! Gdy chory mógł już wstawać z łóżka, Maria była jego przewodniczką w pierwszych przechadzkach po winnicy i najbliższym sąsiedztwie. Młodzi kochali się coraz bardziej, wyznanie jednak nie przeszło im nigdy przez usta. Tylko oczy mówiły o wielkiej miłości, jaka żyła w ich sercach. Z nastaniem wieczoru nadchodził Firmin, zasiadał na ławce pod arkadami i zaczynał brząkać na gitarze. — Pójdź tu do nas, Marietto, musimy rozweselić naszego chorego. Dziewczyna zaczynała śpiewać przybierając uroczysty wyraz twarzy i przymykając lekko oczy, jak ksiądz celebrujący przy ołtarzu. Uśmiechała się tylko wtedy, kiedy wzrok jej spotykał się ze spojrzeniem Rafaela, który słuchając śpiewu pogrążał się w ekstazie i lekko wybijał dłonią takt melancholijnej piosenki.

Głos Marii, szlachetny i poważny, miał akcenty smętne i marzycielskie. Przypominał głos. Maurytanki, wiecznie zamkniętej w czterech ścianach haremu i śpiewającej tęsknie za spuszczoneymi żaluzjami dla niewidocznych słuchaczy. Smętne tony pieśni nagle potężniały, wzbijały się pod niebiosa i kończyły kilku ostrymi dźwiękami podobnymi do krzyku dziwnie niesamowitego i dzikiego.

Firmin i Rafael, słuchając jej śpiewu, doznawali głębokiego wzruszenia — tyle tam było poezji. Stary Firmin zapominając jak gdyby o tym, że śpiewaczka jest jego córką, wypuszczał z rąk gitarę i rzucał do stóp dziewczyny swój kapelusz.

— Brawo, moje dziecko! Niech żyje złote gardziółko! Wiwat matka, która wydała na świat taki cud! Niech żyje ojciec, który...

Urywał nagle i odzyskując poczucie rzeczywistości, zaczynał mówić mentorskim tonem:

— To jest prawdziwy andaluzyjski śpiew! Jeśli zechce ci ktoś mówić, że Sewilla lub Malaga przodują w śpiewie, możesz odpowiedzieć, że nie chcesz słuchać głupstw. Tylko w Jerez posiadają tajemnicę śpiewu — najwięksi uczeni świata mogą to potwierdzić.

Gdy Rafael nabrał już sił, zrozumiał, że musi rozstać się z ciepłem domowego ogniska. Pewnego wieczoru odbył ze swym chrzestnym ojcem poważną rozmowę.

— Nie mogę tu dłużej pozostawać — rzekł do starego. — Przybędą goście i Marchamolo ożywi się nabierając pozorów osady. Zresztą Don Pablo oświadczył, że chce zburzyć stary dom, w którym mieszkacie. Ma wybudować pałac, który byłby widomym znakiem sławy jego rodu. Jak objaśnię swój długi pobyt w winnicy? Takie ukrywanie się to wstyd dla energicznego człowieka, jakim jestem; Mierzi mnie myśl, że siedzę tu jak truteń i jestem na twoim utrzymaniu, drogi mój chrzestny. Przy tym cała

owa historia nocna ze strażnikami jest, zdaje się, zapomniana, nie boję się już niczego z ich strony. Jednakże po stanowiąc zmienić zawód. Masz słuszość, kontrabanda nie jest uczciwym zarobkiem, porządna kobieta nigdy nie zgodzi się poślubić mężczyzny, który pod pozorem zarobku na utrzymanie domu ryzykuje każdej chwili życie. Ułożyłem już plan na przyszłość. Chcę, jak mój ojciec i ty, mój chrzestny, pojąć żonę i mieć dzieci, i nie marnować młodości i sił w walce ze strażnikami komory celnej. Poszukam dla siebie zajęcia uczciwego, chociażbym musiał na razie znosić biedę i głód.

Wtedy, zawdzięczając protekcji starego Firmina, został zarządcą fermy Matanzuela będącej własnością Don Ludwika, bratanka starego Don Pabla.

Ludwik powrócił do Jerez po kilkuletniej włóczędze z uniwersytetu na uniwersytet w całej Hiszpanii, w poszukiwaniu pobłażliwych egzaminatorów, którzy by nie stawiali przeszkód przy kwalifikowaniu kandydatów na przyszłych prawników. Wuj zobowiązał go do obrania sobie jakiegoś zawodu, wobec czego wiódł na razie skromny żywot studenta. Powiększał swe dochody zaciąganiem pożyczek na wysokie procenty podpisując zobowiązania na ślepo. Gdy jednak Don Pablo junior został głową rodu Dupontów, Ludwik bardzo bliski już pełnoletności odmówił dalszego udawania i przerwał swe długie studia. Był przecież dostatecznie bogaty, aby nie tracić czasu na robienie tego, co go wcale nie interesowało. Po objęciu w swe posiadanie całego swego majątku zaczął żyć jak ptak jedynie dla swej przyjemności, tak jak to sobie wymarzył jeszcze wtedy, gdy był skromnym studentem.

Znowu jął włóczyć się po całej Hiszpanii, lecz już nie po to, aby złożyć z powodzeniem egzamin. Pretendował do tytułu znawcy w dziedzinie walki byków, jeździł z miasta do miasta, aby oklaskiwać sławnych toreadorów. W zimie,

kiedy bohaterowie aren wycoczywali, przebywał w Jerez niby po to, aby dopilnować swych interesów, w gruncie rzeczy jednak, aby spędzać wieczory w Klubie Hippicznym, gdzie wiódł spory o swego ulubionego toreadora, unosząc się przy tym tak dalece, że spór taki omal nie kończył się spotkaniem na rewolwery lub sztylety.

Był również wielkim amatorem koni. Skoro tylko dowiedział się o wystawieniu na sprzedaż jakiegoś znanego, pełnej krwi konia, nabywał go bez namysłu, odbijając nieraz o wiele bogatszemu od niego kuzynowi. Lubiał również awantury w nocnych lokalach. Jego zabawy kończyły się zwykle tłuczeniem talerzy i butelek oraz ciskaniem stołkami. Czynił zaś to jedynie w tym celu, aby złożyć dowody swej siły, aby pokazać, że stać go na zapłacenie w trójnasób za wyrządzone szkody.

Lecz najbardziej ukochał kobiety i dzielnych chłopców. W stosunku do pierwszych nie był hojny, chciał bowiem, by go kochały dla niego samego, za jego walory osobiste. Za to całą bandę świszczypałów, którymi lubił się otaczać, traktował z królewską rozrzutnością. Rzecz oczywista, że tłumy zwariowanych młodzików śpieszyły pod jego sztandary, a każdego z tych zuchów bez różnicy pochodzenia i zawodu przyjmował gościnnie, obdarzając pieniędzmi i podziwiając odwagę przybysza i zuchwalstwo. Gdy przy końcu nocnej orgii winne opary zaczynały mu mącić w głowie, odwracał się od swych pięknych przyjaciółek darząc swymi względami jedynie bandę przyjaciół. Kazał im wtedy odsłaniać swe blizny i opowiadać szczegółowo, w jakiej potrzebie zostały zadane te rany. Nieraz siedząc w Klubie Hippicznym wskazywał swoim przyjaciołom podejrzanego osobnika, który czekał na niego w drzwiach klubu. — To Chivo — mówił z dumą księcia wymawiającego imię jednego ze swych najzdolniejszych generałów — to

mistrz w walce na noże, na ciele jego znajdziecie co najmniej pięćdziesiąt blizn.

To mówiąc obrzucał swych słuchaczy tak zuchwałym, i wzgardliwym spojrzeniem, jak gdyby blizny Chiva były namacalnym dowodem jego własnej odwagi.

Pędził tedy szczęśliwy i beztronski żywot, głęboko przeświadczony, że nikt w całym mieście nie jest odważniejszy od niego wobec mężczyzn i nikt nie ma większego powodzenia u kobiet. Najbardziej dbał o to, aby uchodzić w oczach wszystkich za żywy obraz San Dionisia, jednakże członkowie Klubu Hippicznego twierdzili, że jest on jedynie jego karykaturą.



— Brakuje mu przede wszystkim wielkopańskiego gestu, którym odznaczał się świętej pamięci markiz — mawiał stary Firmin słuchając opowiadań o wybrykach Don Ludwika.

Wobec tego, że znał go od dziecka, bez chwili wahania polecił mu Rafaela. Ludwik przyjął go do swej służby bezzwłocznie.

— Słyszałem o nim dużo dobrego — powiedział. — Przypominam sobie szereg opowieści o jego odwadze i strachu, jakim napelniał serca straży celnej. Lubię ludzi tego pokroju. Powierzę ci zarząd mojej fermy Matanzueli — dodał poklepując Rafaela przyjacielsko po ramieniu. — Mam tam za rządzcę staruszka, obdarzonego tak krótkim wzrokiem, że jest on pośmiewiskiem wszystkich robotników. A wiemy dobrze, do czego potrafią ci ludzie być zdolni. Do nich trzeba podchodzić z chlebem w jednej ręce, a z kijem w drugiej. Potrzebuję człowieka takiego jak ty, który by ich wziął mocno w karby i potrafił bronić moich interesów.

Rafaël przeniósł się do Matanzueli i zaczął bywać w winnicy tylko raz w tygodniu, korzystając z tego, że musiał w takich odstępach czasu przyjeżdżać do Jerez

celem porozumienia się ze swym chlebodawcą w interesach fermi. Nieraz musiał go szukać u którejś z jego pięknych przyjaciółek. Ludwik przyjmował wtedy swego administratora w łóżku, unosił się lekko z poduszek, na których spoczywała również głowa pięknej kochanki. Narada gospodarcza polegała na tym, że chlebodawca kładł w uszy administratorowi, aby nie popuszczał cugli robotnikom, notorycznym próżniakom, których niedbalstwo i opieszałość były jedyną przyczyną słabych zbiorów. Podobne głupstwa wygłaszał on również w Klubie Hippyicznym.

Wysłuchiwano mówcy z pobłażliwym uśmiechem. Jedyne bigoci i ludzie starego reżymu traktowali poważnie jego przemówienia, zwłaszcza że dodawał do tego jeszcze parę westchnień na temat zubożenia ciemnych mas na zagadnienia religijne. Wzdychał również nad okrucieństwem klasy robotniczej, która pod pozorem, że jest głodna, jak stado wilków ostrzyła sobie zęby na tych, którzy stali u góry.

Jakkolwiek maksymy te jednały Ludwikowi sympatię Don Pabla Duponta, niemniej jednak skandaliczny tryb życia oburzał pobożnego fabrykanta, postępowanie bowiem kuzyna uważał za ujmę dla honoru ich rodziny słynącej ze swej pobożności i cnót chrześcijańskich.

Jeszcze większy wstyd przynosiło zachowanie się Loli i Mercedes, córek markiza de San Dionisio. Ileż to razy ich ciotka Dona Elwira dławiała się gniewem przyłapując je przy kracie okiennej z wielbicielami, których zastępy zmieniały się niemal co tydzień. Nie gardziły nikim: byli porucznicy, byli członkowie Klubu Hippyicznego, byli młodzi Anglicy, urzędnicy. Wszyscy oni śpieszyli pod okno pięknych dziewcząt, które śmiały się ze swych adoratorów do łez, zwłaszcza jeśli byli to cudzoziemcy kaleczący niemilosiernie piękną mowę hiszpańską. Wystarczyło, by ktoś

przechodził pod ich oknami, aby został przez nie zaczepiony. A jeśli znalazł się wśród przechodniów jakiś nieczuły na ich wdzięki, żegnały go przez okno ironicznym uśmiechem. Daremnie zrozpaczona ciotka i Don Pablo upominali lekkomyślne dziewczęta, one nic sobie z tego nie robiły, lecz z każdym dniem rozzuchwalały się coraz bardziej,, twierdząc, że nie są stworzone na zakonnice.

Wreszcie jeden z członków Klubu Hippyicznego, syn bogatego posiadacza winnic i terenów rolnych, serdecznego przyjaciela Duponta, zakochał się poważnie w Loli i jakby w obawie, żeby mu nie uciekła, pośpieszył prosić ją o rękę. Pani Elwira i jej syn dali natychmiast odpowiedź przychylną, a ślub odbył się tak szybko jak z bicia strzelił.

Małżeństwo to uwolniło nie tylko Lolę od ciężkiego jarzma opieki rodzinnej. Siostra jej, uszczęśliwiona, że może opuścić dom pobożnej ciotki, przeniosła się do młodej małżonki na stały pobyt. Już po paru miesiącach rozpoczęły obie swój dawny tryb życia. Mercedes spędzała noce całe przy okiennej kracie paplając bez chwili wytchnienia ze swymi wielbicielami, Lola zaś, która niby jej; matkowała, nie chcąc tracić czasu rozmawiała z innymi. Młody małżonek gniewał się protestował, próbował buntować się, lecz żona i szwagierka odpowiadały mu z gniewem, że była to tylko niewinna rozrywka. Ujmując sprawę ze złej strony, obrażał obie w ich kobiecej godności.

Pani Elwira wpadała w rozpacz słuchając opowieści o tym, co wyprawiały dwie „margrabinki”, jak je nazywano powszechnie. Z biegiem czasu sytuacja jeszcze się pogorszyła. Mercedes uciekła po prostu z pewnym bogatym Anglikiem. Od czasu do czasu dochodziły do Jerez głuche wieści o dalszych losach lekkomyślnej dziewczyny. Pani Elwira bladła z gniewu, dowiadując się o tym, że jej bratanica wiezie żywot zwykłej kokoty już to w Paryżu,

już to w Madrycie. Kochanków jej można by liczyć natuziny — tak ponętne były jej wdzięki i pochodzenie arystokratyczne. Używała tytułu margrabiowskiego, jej nocne koszule i prześcieradła, na których sypiali mężczyźni z całego świata, ozdobione były bogato haftowanymi koronkami. Mimo wszystko pani Elwira żywiła mniejszą urazę do niej niż do Loli, która rozbijała się bezwstydnie w rodzinnym mieście, wybierając sobie kochanków nawet spomiędzy mężczyzn najniższej kondycji.

Istotnie żywot, jaki pędziła piękna Lola, nie był budujący. Lubowała się jednak w. myśli, że czyni na złość swoim krewnym. Jej życie domowe było istnym piekłem. Mąż wiecznie był zazdrosny o kogoś, jakkolwiek sam dobrze nie wiedział, kogo ma podejrzewać, Lola bowiem była jednakowo zalotna w stosunku do wszystkich. Sceny małżeńskie następowały jedna po drugiej, dochodziło nawet do bójek. Słuchając rady serdecznych przyjaciół, małżonek usiłował poskramiać „wariatkę” za pomocą pięści lub kija, „wariatka” jednak broniła się tak energicznie, że mąż prawie zawsze musiał ulec. Nieraz zjawiał się w Klubie Hippyicznym z podrapaną twarzą albo z siniakami, co widząc koledzy zaczęli zeń drwić niemiłosiernie. Wkrótce przebrała się miarka jego cierpliwości. Postanowił wrócić do rodzicielskiego domu, a „mała margrabinka” mogła nareszcie rozpocząć wolny żywot.

— Nieszczęsna — rzekł do niej pewnego dnia Don Pablo. — Ty i twoja siostra okrywacie hańbą nasze imię! Wyjeźdź z naszego miasta jak najprędzej. Gdziekolwiek będziesz, otrzymasz ode mnie stałą pensję,

Lola zachwycona jednak, że może popsuć nieco krwi swemu pobożnemu kuzynowi, odpowiedziała mu arogancko, że nie ma wcale zamiaru wyjeżdżać z Jerez: kocha ro

dzinne miasto i jego mieszkańców i wyjazd równałby się dla niej śmierci.

Pozostała nadal w Jerez, nie licząc krótkiego pobytu w Madrycie, dokąd jeździła, aby odwiedzić swoją siostrę. Nic sobie nie robiąc ze świętego oburzenia rodziny i z plotek oraz obmów, bywała stale w restauracjach i nędznych oberżach, stykając się tam ze śpiewaczkami niższej kondycji i z prostytutkami. Była ze wszystkimi na „ty”, śmiała się nerwowo, gdy podczas nocnych orgii półpijani mężczyźni dobywali sztyletów chcąc bić się o nią, a przerażone dziewczęta zaszywały się w najciemniejsze kąty. Wreszcie podniecona trunkami, gwarem i krwawymi scenami walki, czepiała się ramienia pierwszego lepszego brutala, który potrafił umiejętnie wyzyskać jej przelotną sympatię. Rozmyślnie rzucała opinii wyzwanie. Na zaczepki mężczyzn odpowiadała nieraz takimi słowami, że nawet oni zmuszeni byli rumienić się. Z miną współwinowajczynie tajemnego grzechu uśmiechała się do spotykanych na ulicy panów, którzy szli w towarzystwie pań ze swej rodziny. Potem śmiała się jak wariatka na myśl o scenach pomiędzy parą małżeńską, którą poróżnić zdołała jednym prowokacyjnym uśmiechem. Pewnego dnia posunęła nawet swą bezczelność do tego stopnia, że na środku chodnika rzuciła się publicznie na szyję jednemu ze swych przyjaciół, a uczyniła to z rozmyślną przesadą i ku wielkiemu oburzeniu świadków tej sceny.

Ostatnią jej miłością był młody handlarz świń, z płaskim nosem i gęstymi brwiami. Zamieszkała z nim w nędznym domku na przedmieściu. Ten silny samiec miał nad nią jakąś tajemniczą władzę: mówiła o nim z dumą, zwłaszcza imponował jej kontrast, jaki istniał między jej wysokim rodem a niską kondycją kochanka. Od czasu do czasu miewała napady lekkomyślności, porzucała go wtedy

na kilka dni. Brutal nie szukał jej, był pewny, że wróci „do niego.”

Gdy wreszcie wędrowny ptak powracał do swego gniazda, następowała gwałtowna scena, której towarzyszyły przeraźliwe krzyki i echa bójki. „Mała margrabinka” wybiegała na balkon z rozwianym włosom, wzywając pomocy. Wkrótce jednak ciężka ręka odrywała ją od balustrady i wciągała do wnętrza mieszkania, gdzie bójka trwała dalej. Gdy któryś z jej przyjaciół zaczynał podrwiwać na ten temat, odpowiadała mu dumnie:

— Jeżeli mnie bije, jest to dowodem, że mu na mnie zależy, ja zaś kocham go, bo on jeden mnie rozumie.

Jej skandaliczne prowadzenie się irytowało jednych a bawiło innych. Biedakom wydawała się raczej sympatyczna, poniżenie jej bowiem schlebiali ich plebejskim instynktom. Bogacze spokrewnieni z margrabiówskim rodem mówili z westchnieniem:

— Z pewnością szalona, to nie jest normalne. Bóg uzdrowi jednak w końcu jej serce i obudzi skrucę.

Nie mogli zdobyć się na rezygnację jedynie Dupontowie. Don Pablo i jego matka wracali do domu wściekli, ilekroć dostrzegali na ulicy zręczną sylwetkę Loli, jej złote włosy i bezwstydy uśmiech. Zdawało im się, że od czasu gdy ta wariatka zaczęła wyprawiać swe szaleństwa, znajomi okazywali im mniej szacunku, a służba pozwalała sobie na ironiczne uśmieszki. Coraz rzadziej pokazywali się teraz na ulicy i coraz częściej i dłużej przebywali w swej posiadłości Marchamalo.

Dupont skorzystał z tej okoliczności, aby wcielić w życie swe marzenia. Kazał zburzyć stary budynek pozostawiając jedynie dom, w którym mieszkali dozorczy winnicy. Potem nie licząc się z kosztami, wybudował piękny pałac dla całej swej rodziny, okazałą kaplicę przypominającą raczej kościół i wreszcie koronę wszystkiego — wysoką,

kwadratową wieżę ozdobioną wieżyczkami. Całość górowała teraz nad tarasowało rozrzuconymi winnicami. Firmin Montenegro, udając się w dni świąteczne w odwiedziny do swoich, spotykał się zwykle ze swym chlebobawcą. Z biegiem czasu pan i sługa żyli się z sobą bardzo, zwłaszcza że życie wiejskie wpływało łagodząco na nieco gwałtowny charakter fabrykanta.

Nawet pani Elwira zmieniła się na korzyść od chwili częstego przebywania na wsi. Nie podnosząc członków rodziny Montenegro do godności powierników, przemawiała jednak do nich bardzo uprzejmie, co budziło powszechne zdziwienie. Wypytywała się Firmina o kościół w Jerez, do którego chadzał w niedzielę ze swą córką. Widząc, że Maria jest zawsze zadumana i smutna, myśli jej bowiem krążyły stale dokoła Rafaela, dobra pani zwróciła się do dziewczyny z propozycją wstąpienia do klasztoru. Przypuszczała bowiem, że smutek jej wy płynął z powołania do stanu zakonnego.

— Myli się pani — odrzekła Maria z uśmiechem — nie myślę o klasztorze. Życie ma dla mnie zbyt dużo powabów. Pani Elwira posuwała swą pobożność do przesady Dręczyła się myślą, że syn jej w stosunkach handlowych musiał obcować z ludźmi wszelkich kategorii, nawet z heretykami i niedowiarkami, przyjmował ich w swoim domu, kiedy przyjeżdżali do Jerez, a nawet zabiegał o ich względy, jeśli byli dobrymi klientami.

Pewnego razu jeden z najlepszych wojażerów szwedzkich, reprezentujących firmę Dupont na wszystkie kraje skandynawskie, przybył umyślnie do Jerez, aby poznać osobiście Don Pabla. Ten zmuszony był zaprosić gościa do siebie na obiad. Pani Elwira znosiła niewysłowione tortury widząc przy swym stole tego cudzoziemca, rudowłosego olbrzyma z Północy, podnieconego słońcem i szlachetnym trunkiem. Musiała słuchać jego nieskończenie

długiej paplaniny w podłej hiszpańszczyźnie oraz wykrzykników, jakimi urozmaicał swe opowiadania o tym, co widział w Hiszpanii, pięknym lecz jeszcze bardzo pierwotnym kraju. Dupont kręcił się na krześle i pokaszliwał udając, że nie słyszy tych wszystkich herezji, matka jego Jednak przyglądała się cudzoziemcowi z pełnym oburzenia Edumieniem, zwłaszcza że nie wolno jej było okazać mu nic z nurtujących ją uczuć. Przeciwnie. Musiała się uśmiechać doń uprzejmie jako do najlepszego klienta.

Gdy Don Pablo oddalił się po obiedzie w towarzystwie swego gościa, pani Elwira poleciła służbie w oka mgnieniu zabrać wszystko, czym tylko posługiwał się wstrętny gość: szklanki, talerze itd. Nie chciała dotknąć niczego nawet czubkami palców, nie chciała nigdy więcej widzieć sądnego z tych przedmiotów na swoim stole. Gdy służba wróciła do jadalni, ujrzała swoją panią, jak kropidłem umocowanym w wodzie święconej potrząsała nad krzesłem, asa którym siedział rudy, obmierzły cudzoziemiec.

### ROZDZIAŁ III

Gdy psy matanzuelskie: charty, jamniki i wyżły, których było tam około tuzina, usłyszały tętent kopyt Rafaelowego wierzchowca, natychmiast z dzikim wyciem i skowytem zaczynały szarpać się na swych łańcuchach, a stary Zarandilla ruszał na jego spotkanie do bramy.

Staruszek był przez długie lata administratorem Matanzueli, lecz wesoły pan Ludwik, który otrzymał fermę w spadku, lubił tylko młodych. Uważając, że tamten jest za stary i zbyt krótkowzroczny, powierzył zarząd fermy Rafaelowi.

„Całe szczęście — mówił stary z rezygnacją iście chłopską — że nie wyгнаł mnie na gościniec żebrac”.

Ludwik pozwolił mu pozostać na fermie wraz z żoną pod warunkiem, że stara zajmie się ptactwem domowym i dopomoże świniarzowi przy trzodzie. Nędzne wynagrodzenie za lata ciężkiej i uczciwej pracy!

Jedyną pociechą w ich nędzy i utrapieniu była dobroć Rafaela. Stary Zarandilla spędzał dni całe na ławce, wpatrując się tępo krótkowzrocznymi oczami w panoramę pól rozciągających się dokoła, Rafael zaś nigdy nie czynił mu wyrzutów z powodu jego bezczynności i apatii.

Stara kochała młodzieńca jak rodzone dziecko i mówiła, że był ogromnie podobny do syna, którego straciła.

Zajmowała się więc tym chętniej gospodarstwem, dbała o to, by ubranie jego było w porządku, on z kolei hojnie wynagradzał ją za te usługi. Pocziwa kobieta klóciła się teraz ustawicznie z mężem wymawiając mu, że nie dość gorliwie śpieszy z pomocą tak miłemu chłopcu, jakim był młody administrator. Słyszając zwykle wcześniej nawet niż psy tętent kopyt końskich, zaczynała wołać na starego:

— Czy nie słyszysz, że Rafael wraca do domu? Idź, potrzyмай mu konia, ty leniuchu!

Zarandilla wychodził na spotkanie młodzieńca, wpatrując się w niewyraźne kontury postaci jeźdźca, rozplywające się w jakiejś dziwnej mgle. Ręce i głowa trzęsły mu się miarowo i nieustannie: starość pastwiła się nielitościwie nad jego wyczerpanym przez życie organizmem.

Zsiadłszy z ognistego rumaka, który bił nerwowo kopytami o bruk podwórza, jakby gotując się do nowej drogi, Rafael zostawił go opiece starego Zarandilli, sam zaś wszedł z wesołym uśmiechem do kuchni.

— No, matko Jadwigo, co mamy dzisiaj?

— Twoją ulubioną potrawę, nicponiu: wyborną zupkę z przysmażonym czosnkiem.

Ich nozdrza zaczęły wciągać z rozkoszą ostry zapach bijący z rondelka, w którym smażyły się kromki chleba gęsto posypane czosnkiem. Stara nakrywała do stołu, a Rafael rozwdził się szeroko nad jej talentem kulinarnym.

— Bo — odpowiadała uśmiechając się — możesz sobie drwić ze mnie, ale w czasach mojej młodości panowie odwiedzający fermę w towarzystwie naszego nieboszczyka pana nie żalowali mi komplementów.

Gdy Zarandilla, wróciwszy ze stajni, zasiadał przy stole, pierwsze jego spojrzenie padało na butelkę wina, do którego wyciągał swe drżące dłonie. Wino był to zbytek, na który Rafael, przywykły za młodych lat do lepszego życia, pozwalał sobie codziennie.. Zdziecinniały starzec, obojętny

na kunszt kulinarny matki Jadwigi, pożerał oczami butelkę przysuwając się jak najbliżej. Obliczał już w myśli ile wypije Rafael, z góry postanawiając nie zostawić ani kropli dla żony, Przebiegła staruszka śledziła jednak czujnie każdy jego ruch i korzystając z jednej chwili nieuwagi porywała za butelkę, odstawiając ją na stronę. Rafael znał dobrze wszystkie wady i słabe strony staruszków, toteż przechowywał swe wino pod kluczem wiedząc, że nie należy wodzić ich na pokuszenie.

Spożyli obiad we troje w uroczystym milczeniu, jak gdyby wdzierającym się z pól do izby przez szeroko otwarte okna. Jedynie świergot wróbli bijących się na dachu zakłócał wielką ciszę. Niekiedy rozlegało się również gdakanie kur grzebiących na podwórku, z przestronnej stajni dobiegało rżenie koni i porykiwanie osłów. Od strony zabudowań folwarcznych dochodziło dzikie chrząkanie wieprzy, walczących ze sobą o strawę w korycie. Gdy dźwięki te milkły nagle, znowu majestatyczna cisza rozciągała się nad polami. Wsączały się w nią jedynie ciche jak podmuch wietrzyka zwiewne tony gołębiego gruchania lub chybotliwy dźwięk dzwonek na szyi mułów, kroczących powoli tonącym w tumanach kurzu gościńcem.

Pławiąc się w rozkosznej beczynności, obaj mężczyźni zapalili papierosy, wszczynając rozmowę o przewidywanych robotach w polu. Rozmowa toczyła się leniwie, jak to jest we zwyczaju wszystkich wieśniaków. Powoli zmieniano temat, rozmowa się ożywiła, Rafael wywoływał wspomnienia z okresu swej pierwszej młodości, potem zaczął utyskiwać nad nędzą, w jakiej żyć muszą pasterze' górscy, mimo że praca ich jest wyjątkowo ciężka i niejednokrotnie niebezpieczna.

— Tak jest — zapalał się — żał mi ich serdecznie, a jednocześnie pełen jestem uznania i podziwu dla ich,

uczciwości! Przymierają często głodem, lecz żaden z nich ani pomyśli o tym, że mógłby na przykład zabić jedno a powierzonych swej pieczy bydła, aby posilić się smacowym mięsiwem. Gdzie znajdziesz ludzi uczciwszych i skromniejszych w swych wymaganiach?

— Masz słuszność, mój synu — odpowiedział mu Zarandilla — tylko biedacy potrafią być prawdziwie uczciwymi ludźmi. I tym biedakom bogacze nie ufają i jak się ich boją! A tymczasem żaden z tych pięknych mieszkańców niewart małego palca tych biedaków. Czy można poczytać Don Pablowi Dupont za zasługę to, że mając miliony nie chce okradać ludzi? Nieprawdaż, że nie ma w tym żadnej zasługi? Tak, tak, tylko my biedacy jesteśmy naprawdę uczciwi.

— Nie wystarczy jednak być biedakiem, aby być uczciwym — odpowiedział Inu Rafael. — Należy zachować czystość serca, jak to widzimy u górali, którzy żyjąc z dala od ludzi nie zdążyli nasiąknąć ich wadami i zepsuciem. Ale ludzie z dolin, najemnicy są już zupełnie inni; podejrzliwi, nieufni, w każdym widzą wroga. Mnie, nawet mnie, takiego samego jak oni biedaka podejrzewają.

Sam już nie wiem o co. A przecież traktuję ich jak braci i nieraz na skutek mej pobłażliwości dla nich narażam się na wymówki mego chlebobawcy. Na domiar złego wszyscy oni — to próżniacy, z którymi trzeba postępować tak, jak się postępowało z niewolnikami.

— A dlaczego najemnicy mają być inni? — odpowiedział z gniewem starzec. — Jaką korzyść przynosi im praca? Żadnej! Sam byłem ongi najemnikiem płatnym od dnia i wiem, jak to smakuje. Od rana do wieczora wystawieni na działanie palących promieni słońca lub smagani lodowatym podmuchem wichury zimowej, biedni najemnicy pochyleni nad swą robotą pracują jak bydło pocią

gowe i co za to mają? Dwa reale) na dzień i tylko w okresie żniw jeszcze trzy dodatkowo. Co prawda, chlebowdawca żywi ich, lecz pożywienie to jest gorsze od tego, co dostają psy. Podczas żniw daje im wprawdzie zupę z garbanzo), za to przez resztę miesiący: chleb, chleb — nic, prócz chleba! Bywa on nieraz tak twardy, że można na nim połamać najzdrowsze zęby. Jako dodatek do tego specjału dostają zimną lub ciepłą lurę uchodzącą za zupę, a wreszcie wstrętny ocet ze sfermentowanego, zeszłorocznego wina, trochę zjełczałej Oliwy, parę ząbków czosnku i szczyptę soli; Zupa na zimno jest w ogóle nie. do jedzenia, zupą zaś gorącą przynoszoną z fermy w olbrzymich misach muszą czerpać łyżkami z ogólnego naczynia. Jest ona wstrętna, prędko stygnie i zmieszana z kurzem unoszącym się w powietrzu sprawia wrażenie błota, które budzi u jedzących odrazę. Mięsa nie dają nigdy, chyba gdy jakimś sprytniejszemu parobczakowi uda się zabić kamieniem wronę lub innego niemniej ohydneho ptaka. Albo też gdy który z robotników znajdzie padłe zwierzę i ze wstrętnej padliny wyprawi sobie i innym ucztę. I ty oskarżasz tych ludzi o lenistwo?! W imię czego mają mieć chęć do pracy? Byliby głupi pracując chętnie po to, by nabijać kieszenie tych, co ich morzą głodem.

Podobne rozmowy toczyły się bardzo często w godzinach poobiedniego wypoczynku. Pewnego lutowego popołudnia starzec, którego słuch subtelniał w miarę słabnięcia wzroku, przerwał nagle wywody Rafaela i pochylając się naprzód całym ciałem, jął nasłuchiwać:

— Posłuchaj tylko, zdaje mi się, że słyszę grzmot.

Szerokie plamy słońca pełzające po wybrukowanym podwórku zbladły nagle, kury jęły biegać tu i tam, niespokojnie gdacząc, jakby chcąc uciec przed gwałtownym podmuchem wiatru jeżącego na nich pióra. Rafael nadstawił również ucha.

— Tak jest, grzmi istotnie! Nadciąga burza.

Podnieśli się jednocześnie i ruszyli w stronę wrót. Czarna firanka chmur szarpana podmuchami wiatru nadciągała od strony gór, zasłaniając coraz bardziej Widnokrąg. Niebo jak gdyby zniżyło się zwisając tuż nad ziemią, wierzchołki gór utonęły w pomroce obłoków, stado drapieżnego ptactwa krążyło niespokojnie wydając przeraźliwe okrzyki.

— Towarzyszu, burza wisi nad naszymi głowami — wykrzyknął Zarandilla, który już nic prawie nie widział, nagły mrok bowiem zaległ dokoła.

Teraz wierzchołki wysokich drzew przygięły się los ziemi, jakby lada chwila miały lec na jej powierzchni strzaskane na kawałki. Nad wylekłą fermą powiał silny wiatr dmąc ze wściekłością. Zadrżały drzwi, okna zatrzaskały się gwałtownie, w kominach jęknęło coś złowrogo. Martwa jasność błysnęła nagle na niebie, tuż nad domem huknął z ogłuszającym trzaskiem grzmot i piorun, aż się zatrzęsły fundamenty domu, a bydło stojące w oborach odpowiedziało na odgłos piorunu, rykiem, rżeniem, bekiem. Nagle lunęły potoki deszczu, jakby oberwała się chmura, i obaj mężczyźni musieli uciekać pod dach szopy, w której stały wozy.

Z ziemi smaganej nawałnicą zaczął bić ciepły zapach wilgoci. Przeskakując przez bruzdy zoranej ziemi, które zamieniły się teraz w bystre strumienie, większe i mniejsze gromadki ludzi, ledwie widzialne z oddali, śpieszyły W stronę fermy.

— Jezusie! — wykrzyknął Zarandilla. — Jakżeż wyglądają ci biedacy!

Huragan, zda się, gnał ich przed siebie. Każda nowa błyskawica oświetlając im drogę wskazywała jednocześnie, że schronisko jest coraz bliżej.

Uciekający pędzili jak rozpierzchłe pod wpływem przestachu stado. Wkrótce pierwsza fala uchodźców przemknęła koło szopy i wpadła do ogólnej izby przeznaczonej dla najemników. Mężczyźni byli owinięci w płaszcze, a nisko nasunięte na czoło, przemokłe i powykrzywiane kapelusze osłaniały im twarze ociekając wodą. Kobiety krzyczały przeraźliwie albo piszczaly cienko jak wylękle myszy, zakrywając głowy fałdami zabłoconych i wymiętych spódnic. Na nogach miały męskie spodnie, w których chodziły zazwyczaj do pracy.

Prawie wszyscy najemnicy powrócili już z pola i teraz na progu sali otrząsali ze swych ubrań potoki słonej wody, Nagle Rafael ujrzał dwóch opóźnionych mężczyzn idących bardzo wolnym krokiem. Jeden z nich ciągnął za uzdą małego osiołka tak obciążonego kosztami, że widać mu było tylko ogon i uszy.

Rafael poznał w pierwszym mężczyźnie byłego najemnika, którego nazywano powszechnie Manolo z Trebujeny. Po jednym ze strajków ogłoszono go jako niebezpiecznego agitatora, wobec czego trudno mu było otrzymać jakąkolwiek posesję. Został więc wędrownym handlarzem i włóczył się w okolicach Jerez sprzedając kobietom wstążki, paciorki płótno, mężczyznom zaś wino, wódkę oraz wolnomyślne pisma, dobrze ukryte na dnie jednego z koszy dźwiganych przez osiołka. Jedynie do fermy Matanzuela i paru innych mógł mieć zupełnie wolny wstęp.

Rafael przyglądał się uważnie towarzyszowi przekupnia i zdawało mu się, że go poznaje, nie mógł jednak przy

Tytuł

Bodega

Autor instytucja sprawcza

Blasco Ibanez Vicente

Nawigacja

Wszystkich stron:

[Szukaj w utworze](#)

[Dodaj zakładkę](#)

[z komentarzem](#)

[Strona informacyjna](#)

Stara porzuciła na chwilę rozpalanie ognia, wbijając w przybysza pełen zaciekawienia wzrok, w którym było więcej zdziwienia niż zachwyty.

Tymczasem Rafael rozglądał się za flaszką wina ofiarowaną mu parę miesięcy temu przez, starego Firmina. Znalazł ją wreszcie i napełniwszy szklanki szlachetnym płynem podał Salvatierrze.

— Dziękuję, nie czuję pragnienia.

— Ależ to przednie wino — rzekł Zarandilla. — Pij pan, proszę, pójdzie ci na zdrowie po takiej kąpieli.

— Raz jeszcze dziękuję, nigdy nie pijam wina. Zarandilla spojrzał na mówiącego zdziwiony. Prawdę mówili ludzie, że Don Fernando był niezwykłym człowiekiem.

Rafael chciał nakarmić swego gościa: kazał starej usmażyć jajecznicę i przynieść szynkę, która pozostała po jednej z wizyt pana na fermie. Salvatierra jednak zaproponował:

— Nie trzeba! Mam w kieszeni swoją wieszczkę. Dobył z kurtki paczkę owiniętą w przemokły papier.

Zawierała ona kromkę chleba i kawałek sera. Lodowaty uśmiech, towarzyszący jego odmownym słowom, przeciął dalszą na ten temat dyskusję,

— Może przynajmniej zapalisz, mistrzu Fernando? — zaproponował w końcu Rafael częstując go papierosem.

— Dziękuję, nigdy nie paliłem.

Zarandilla nie posiadając się ze zdumienia, nie mógł już dłużej wytrzymać.

— Jak to? — wykrzyknął. — Nie palisz również? Nie odpowiadając na ten okrzyk, Salvatierra zbliżył się do ognia, który zaczął rozpalać się potrzaskując wesoło. Rafael tymczasem opuścił na chwilę kuchnię, po czym wrócił niosąc przewieszony przez rękę długi podróżny płaszcz.

— Tak czy owak — rzekł da Salvatierry — zrzucić z siebie

bie, mistrzu, ociekające wodą ubranie i pozwól, że włożę ci na ramiona coś ciepłego.

Zanim jeszcze Salvatierra zdążył zaoponować, Rafael i żona Zarandilli ściągnęli z fanatyka kurtkę i kamizelkę i otulili go następnie płaszczem. Zarandilla zaś rozwiesił przed ogniskiem przemoczone ubranie, które po paru minutach zaczęło lekko parować.

Rozgrzany już nieco Salvatierra zaczął przychodzić do siebie i stał się bardziej rozmowny. Przykro mu było, że swym zachowaniem sprawił przykrość ludziom, którzy okazali mu tyle życzliwości.

Rafael wyraził zdziwienie, jakiego doznał na jego widok, słyszał bowiem przed paru dniami od swego chrzestnego, że Don Fernando był w Kadyksie.

— Tak jest, byłem tam, aby odwiedzić grób matki.

I pragnąc się otrząsnąć z tego smutnego wspomnienia, zaczął pośpiesznie opowiadać, jak znalazł się w Matanzueli: udał się w odwiedziny do swego przyjaciela Antonia Matacardillosa, właściciela oberży „Pod Krukiem”. Nieszczęsny eksrewolucjonista był chory na serce i ledwie już się ruszał, toteż dzień cały spędzał, przykuty do, trzcinowego fotela. Dowiedziawszy się o przybyciu do Jerez swego byłego przywódcy, rozchorował się jeszcze silniej na myśl o tym, że nie będzie mógł go ujrzeć. Rzecz oczywista, należało uczynić zadość jego pragnieniom. Przy powitaniu biedak tak płakał ze wzruszenia, że rodzina była pewna, iż przypląci to spotkanie życiem. Salvatierra uspokoił jakoś biedaka obiecując mu odwiedzić go czasem w towarzystwie Manola z Trebujeny, również dawnego towarzysza broni, z którym spotkał się w oberży „Pod Krukiem”. Wraz z nim udał się potem w powrotną drogę do Jerez, a po drodze zaskoczyła ich burza, zmuszając do postoju na fermie.

Zapadło długie milczenie. Rafael i stary Zarandilla z uczuciem dziwnego zmieszania spoglądali na sławnego człowieka. Uczucie to miało w sobie coś z czci religijnej, jaką budził jego uśmiech, jak twierdził Zarandilla, nie z tego świata. Dziwna wydała się, również stanowczość, z jaką uchylał się od poczęstunku i przyjmowania jakichkolwiek dowodów czci dla swej osoby.

Gdy wreszcie ubranie Salvatierry już przeszło, zrzucił z ramion płaszcz Rafaela i przebrał się. Potem nie, zważając na deszcz, chciał udać się do baraków, aby przepędzić noc wraz ze swym współtowarzyszem podróży. Wobec ulewy nie mogło być mowy o powrocie do Jerez.

Rafael wykrzyknął:

— W baraku dla (robotników! Taki człowiek jak wy, Don Fernando! Oddaję do dyspozycji moje łóżko, a jeśli ono wam nie dogadza, zaprowadzę was do pokoju mego pana... Ogólna sala! Co powiedziałby mój chrzestny dowiedziawszy się o tym, że pozwoliłem na coś podobnego?!

Ale uśmiech, jaki ukazał się na ustach Salvatierry, odebrał Rafaelowi wszelką nadzieję.

— Powtarzam ci, Rafaelu, iż chcę spędzić noc z robotnikami. Gdybyś zaprzęgnął sprzeciwić się temu, spałbym pod otwartym niebem. Nie mógłbym usnąć w twoim łóżku, na materacach, gdy pod tym samym dachem moi towarzysze śpią na matach.

Nic nie pomogły prośby Rafaela.

— Wiesz, skąd powracam — mówił spokojnym, lecz stanowczym głosem. — Już od ośmiu lat sypiam w najgorszych norach w towarzystwie największych nędzarzy.

Rafael musiał ustąpić z bólem serca i chciał go odprowadzić do baraków robotniczych, a po drodze pokazać niu stajnię i biuro. Już miał pochwalić się przed nim swą rachunkowością, która była jego dumą, i opowiedzieć mu



o zmianach, jakie poczynił w systemie hodowli koni, gdy nagle we drzwiach ujrzał jakiś cień ludzki.

— Ach, to ty! — wykrzyknął ze śmiechem. — Możesz wejść, Alcaparron, nie obawiaj się!

Nowoprzybyły był niskiego wzrostu, miał błyszczące oczy i wspaniałe zęby. Przekroczył próg nieśmiało, jakby w obawie, że komuś stanie na zawadzie swą obecnością! Gdy znalazł się w kręgu światła padającego od staroświeckiej lampy, Salvatierra zauważył jego miedzianą nieledwie cerę, żółtawe plamy na rogówce oczu, ręce różowe od strony dłoni a z wierzchu czarne.

Rafael potrząsnął przybysza za ramię i pociągnawszy go w stronę Salvatierry, przedstawił go rewolucjonście;

— Oto Alcaparron, o którym na pewno słyszałeś już niejednokrotnie — rzekł z komiczną powagą — największy złodziej w całym Jerez.

Alcaparron chciał wyrwać się z rąk Rafaela, ten jednak trzymał go mocno. Hultaj widząc, że nie da rady bojaźliwym, nieco kobiecym ruchem położył na czole znak krzyża.

— Och, panie Rafaelu, jakże jesteś złośliwy! Jezu, co ten człowiek opowiada!

Rafael mówił dalej, marszcząc brwi:

— Od roku już pracuje w Matanzueli wraz z całą swoją rodziną, lecz złodziej z niego jak każdy zresztą Cygan.

Właściwym jego miejscem byłyby galery. Słuchaj, Alcaparron! Czy wiesz, kim jest ten pan? To Don Fernando Salvatierra. Słyszałeś o nim zapewne?

Cygan szeroko otworzył oczy, zdjęty zdumieniem: — O tak! Od dwóch godzin tam na sali o nim tylko mówią... Obyś żył, panie, jak najdłużej! Jestem zachwycony, że mogę poznać tak dystyngowaną i znakomitą oso

bistość! Widać, że z pana to nie byle jaka osoba: niby sam prefekt.

Unizoność Cygana i jego podłego gatunku pochlebstwo wywołały uśmiech na twarzy Salvatierry.

Biedny włóczęga sądził ludzi z ich opinii i uważając rewolucjonistę za jakąś ustosunkowaną osobistość drżał przed nim, kryjąc swój strach pod maską fałszywej słodyczy i uprzejmości właściwej ludziom prześladowanym i poniżonym.

— Don Fernando — zabrał znowu głos Rafael. — Mając na obczyźnie tylu przyjaciół, mógłbyś zorganizować jakieś tournée artystyczne dla Alcaparrona. Może zdobyłby takie powodzenie jak jego kuzynki.

Opowiedział Salvatierrze o siostrach Alcaparrona, tancerkach, popisujących się w Paryżu i w Rosji. Ich podobizny umieszczano nawet na pudełkach od zapalek, pisma wyśpiewywały na ich cześć ody pochwalne, obsypywano je diamentami. Jedną z nich nawet porwał jakiś wielki książę czy też inny głupiec i teraz w prześlicznym pałacu wiedzie królewski żywot.

Alcaparron dumny był z powodzenia swych kuzynek\*, zaczął jednak uważać się nad losem, jaki prześladował jego i bliskie mu osoby.

Pomyśleć tylko, że on, jego matka, jego mali bracia i biedaczka Maria, wiecznie chora kuzynka — zarabiają tylko dwa reale dziennie! Całe szczęście, że w ogóle dają im jeszcze pracę, utarło się bowiem powszechne mniemanie, że są nieuczciwi! A te rozpanoszone i dumne tancerki, te kuzynki bez serca i sumienia, nawet słówkiem nie dadzą znać o sobie i nic nie przyślą biednym krewnym.

— Albo nasz stryj! Komu mogłoby się pomieścić w głowie, że on, prawdziwy, czystej krwi Cygan, którego mój

ojciec darzył taką miłością, że właśnie on zupełnie zapomni Mimo to jednak Alcaparron jął teraz rozwódzić się nad zaletami niewdzięcznego stryja, człowieka sprytnego i przedsiębiorczego. Mając już dosyć nędzy i perspektywy więzienia w Jerez, wyruszył aż do Paryża z gitarą przewieszoną przez ramię, zabierając ze sobą swój żywy inwentarz, jak zwykł był nazywać swe córki. Widywał potem nieraz w pismach i na ogłoszeniach fotografie czcigodnego stryjaska, który zapuścił sobie faworyty, miał po dawnemu minę wytrawnego złodzieja, kapelusz zwężony u góry, przypominający wierzchołek stożka... Umieszczono w prasie jego fotografie w związku z występami jego córek, znakomitych panien Alcaparron.

Stryj zaś, aby dodać sobie więcej powagi, zaczął tytułować się kapitanem Alcaparronem. Jezu! Taka błaga!

Nagle posmutniał. — Mój Boże! Gdyby mógł to wszystko widzieć mój biedny ojciec, który był niczym w porównaniu ze swym bratem, udającym teraz bogacza!

— Twój ojciec nie żyje?

— Tak, panie. Na cmentarzu opróżniło się miejsce, a ponieważ był to uczciwy człowiek, więc kruk, który strzeże mogił, odwołał go z tego świata.

Rafaël w obawie, aby paplanina Cygana nie znudziła Don Fernanda, pośpieszył wyrzucić natręta.

— Dosyć już tego! Weź sobie papierosa i uciekaj stąd, nicponiu. Twoja matka oczekuje już na pewno twego powrotu. Alcaparron usłuchał z psią pokorą rozkazu. Przed odejściem wyciągnął do Salvatierry dłoń typowego Mulata i raz jeszcze oświadczył, że na ogólnej sali mówią dziś, tylko o znakomitym gościu.

Była już głucha noc. Salvatierra zaczął znowu domagać się, aby go zaprowadzono do baraku robotników.

Administrator wezwał Zarandillę, który usunął się do biura, i rzekł zwracając się do gościa:

— Stary będzie twym przewodnikiem, Don Fernando. Ja nie mogę tego uczynić. Jako ich przełożony muszę dbać o powagę mego stanowiska, w przeciwnym razie robotnicy spoufalą się i nie poradzę sobie z nimi.

Mówił z głębokim przeświadczeniem o słuszności swej teorii.

Salvatierra i stary Zarandilla wyszli na podwórze wśród, ogłuszającego ujadania psów, po czym sunąc pod ścianami, stanęli w szopie prowadzącej do ogólnej izby.

Stał tam długi rząd glinianych dzbanków z wodą do picia. Spragniony robotnik musiał w nocy opuszczać ogólne pomieszczenie, w którym panowała spiekota i zaduch, aby wychodząc na wiatr i chłód pić lodowato zimną wodę.

W ogólnej sali powietrze było zgęszczone do niemożliwości: czuć było mdły zapach mokrej wełny, zjełczałej oliwy, błota i lepkich od potu, źle mytych ciał.

Wąska i długa sala wydawała się jeszcze większa na skutek mroku, jaki w niej panował. W głębi płonęło ognisko podsypane suchym, krowim nawozem, którego wylizywały zatrwały powietrze. Staroświecka lampa zawieszona pod sufitem rzucała mdłe, chybliwe i czerwone błyski. Większa część izby tonęła w mroku i tylko można było domyślać się obecności w niej licznego tłumu.

Salvatierra, stanąwszy na środku pomieszczenia, rozejrzał się uważnie dokoła. W przystawionych do ognia garnkach gotowało się coś, a kilka kobiet przykucnąwszy pilnowało warzy. Pod samą lampą, na nędznym stołku siedział starszy robotnik, prawa ręka administratora. Wszyscy inni, mężczyźni i kobiety, porozsiadali się na trzciniowych

matach leżących na ziemi. Tuż przy dozorczy przykucnął Manolo z Trebujeny oraz kilku jego przyjaciół i wszyscy zanurzali swe łyżki w brudnej misie, nabierając trochę gorącej zupy. Po kątach sali robotnicy tworzyli kilka podobnych grup. Wszyscy rozmawiali, śmiali się przewidując, że jutro nie będzie roboty, więc mogli dziś pobaraszkować dłużej. Wygląd sali przypominał Salvatierrze pomieszczenia więzienne. Te same ściany pobielone wapnem, tylko nieco brudniejsze, to samo skupienie ludzi nędznie odzianych, brudnych, prawie bosych. Więzienne postania były jednak o wiele lepsze, każdy więzień miał swój barłóg. Tymczasem rzadko który spośród robotników mógł sobie pozwolić na

taki zbytek, większość sypiała na matach w ubraniu. Walka o kawałek chleba zmuszała ich do godzenia się z tymi nędznymi warunkami.

Salvatierra zaczął przyglądać się uważnie biedakom, którzy przerywając swój skromny posiłek wbili w przybysza rozbłysłe ciekawością oczy.

Wygląd mężczyzn wychudłych i wyczerpanych pracą ponad siły budził litość, lecz jeszcze boleśniejszy widok przedstawiały kobiety. Niektóre z nich były to stare gitany, ohydne czarownice, których miedzianobrunatna skóra, rzekłbyś, ściemniała w płomieniu sabatowych ognisk. Młode miały smutny jakiś i anemiczny wdzięk: były to kwiaty więdnące jeszcze przed rozkwitem. Wyczerpane pracą na roli, nieodpowiednią dla kobiet, zapomniały zupełnie o swej kobiecości. Poczucie płci odzyskiwały dopiero w nocy, gdy z ciężkiego snu znużonego śmiertelnie bydlęciami budził je dotyk zuchwałych rąk chłopaków korzystających z ciemności nocy.

Dozorczą na widok Salvatierry podniósł się ze stołka, proponując swe miejsce gościowi, Salvatierra jednak pod

szedł do ogniska i wraz ze starym Zarandillą usiadł na ziemi.

Siedzący w pobliżu Alcaparron uśmiechnął się do niego:

— Patrz pan, oto moja mama.

Z tymi słowy wskazała starą Cygankę, która w tej chwili odstawiła z ognia gorącą zupę. Zapach jej wciągało w siebie chciwie trzech chłopców i dorastająca, blada i wychudła dziewczyna, kuzynka Alcaparrona, Maria.

— A więc to pan jesteś owym słynnym Don Fernandem — zabrała głos stara. — Niech Bóg ma cię w swej opiece i niech cię obdarzy długim życiem, abyś jak najdłużej był ojcem dla biedaków!

Stawiając na ziemi kociołek, usiadła wraz z całą swą rodziną obok — przy Salvatierrze. Zarandillą zaczął podrwiwać ze starej:

— Hola, matko! Dobry ci wypadł zarobek, wczoraj w Jerez, nieprawdaż? Na pewno złapałaś ładnych kilka pesetów za wróżby lub za lubczyk. Och, stara czarownico! Kto by to powiedział, że taka z ciebie przebiegła sztuka?! Nie baba, ale strach na wróble!

Cyganka słuchała go z uśmiechem, łykając łapczywie swe garbanzos, gdy jednak odezwał się o jej brzydocie, przerwała mu gniewnym okrzykiem:

— Milcz, ty wściekły psie! Ty śleptaku! Teraz jestem brzydka, lecz był czas, że markizowie czołgali się u mych stóp...

Wiesz dobrze o tym, stary nicponiu!

Potem dodała melancholijnym tonem:

— Nie musiałabym siedzieć tutaj, gdyby markiz de San Dionisio żył jeszcze. Ten miły pan był chrzestnym ojcem mego biednego Jose.

Wskazała Alcaparrona, który oblizał swą łyżkę i wyprostował się dumnie.

Salvatierra spoglądał z niekłamanym zdziwieniem na kaprawe oczy starej gitany, na jej koźlą mordkę wykrzywiającą się dziwnie przy każdym słowie. A dwie kępki siwych włosów, sterczące po obu stronach wklęsłych warg, przypominały wąsy starego kota. I ta oto szkarada była niegdyś jedną z owych pięknych kobiet, dla których San Dionisio popełniał tyle szaleństw.

Spotkał ją los, na jaki są skazane wszystkie, kobiety Wschodu: po burzliwej, lecz krótkiej młodości — nielitościwa starość, tym gwałtowniej pastwiąca się nad nią, że nie osłodzona bodaj cieniem dawnego dostatku.

Cyganie jedli dalej swe pożywienie. Salvatierra za ich przykładem dobył z kieszeni swą skromną kolację, dziękując za poczęstunek, który proponował mu niejeden z obecnych. Jedząc wyrzucał sobie, że posila się jak prawdziwy egoista, nie myśląc o tym, że nie każdy przecież, z robotników mógł sobie pozwolić na taki zbytek jak na przykład ser. Myśl ta zrodziła się w jego mózgu na widok jedynego z grona robotników, który nie pomyślał jeszcze o jedzeniu. Był to zupełnie młody mężczyzna o chorobliwym wyglądzie. Miał na szyi czerwony fular, a na grzbiecie samą tylko koszulę.

Jego towarzysze z głębi sali wołali go mówiąc, że w misce zostało zupy tylko na dnie. On jednak nie zwracał na to uwagi i siedział pod lampą na małym pieńku, pochylony nad niskim stolikiem, który obejmował nogami. Przed nim leżał kawałek gazety. Wpatrzony w nią, przepisywał coś uważnie, maczając raz po raz pióro w bladym jak brudna woda atramencie. Pracował z chłopskim uporem, cierpliwie jak wół ciągnący pług.

— To „Bakałarz” — rzekł Zarandilla do Salvatierry— Przezowano go tak za jego zamiłowanie do książek i gazet

Zaraz po powrocie z roboty zabiera się do pisania i smaruje na papierze swe patyczki i kółka.

Salvatierra podszedł do niskiego mężczyzny, który przerwał na chwilę swą pracę i podniósłszy głowę, spojrzął na nieznanego badawczym wzrokiem. Wreszcie zaczął mu tłumaczyć, dlaczego kosztem swego wypoczynku chce nauczyć się czegoś: oto wychowano go, aby żył jak bydło. Jako siedmioletni chłopiec pracował już na fermie lub pasał bydło w górach. Przeznaczeniem jego było: głód, ciężki i praca.

— A ja nie chcę być nieukiem, Don Fernando, chcę być człowiekiem a nie zwierzęciem pozbawionym rozumu.

Źródłem wszelkich naszych bied i nieszczęść jest nasza ciemnota. Wiedza czyni z człowieka pana świata, nieprawdaż, Don Fernando? Jeżeli bogacze gnębią nas i robią wszystko, co im się podoba, czynią to nie dlatego, że mają pieniądze, lecz dlatego, że umieją więcej od nas. Ci wszyscy nieszczęśliwi moi towarzysze drwią ze mnie, gdy namawiam ich do rozpoczęcia nauki stawiając im za przykład bogaczy z Jerez, głupszych niejednokrotnie od najgłupsze go robotnika.

Ale to nie jest dowód. Bogacze, jakich tu widzimy, to tylko pajace. Są jeszcze inni, prawdziwi bogacze, tacy, którzy stanowią prawa świata i utrzymują tajemniczy porządek, w myśl którego jedni mają wszystko, nie pozostawiając innym nic. Gdybyśmy my, robotnicy, umieli tyle, co oni, nie byłibyśmy wyzyskiwani przez nich. Moglibyśmy stawiać im czoło w każdej chwili, zmuszając ich do podzielenia się władzą z nami.

Salvatierra słuchał z podziwem entuzjasty, który wyobrażał sobie, że posiada sposób radykalny na wszystkie krzywdy, czynione przez całe hordy nędzników. Nauka!

Dokoła rozmawiających skupiło się powoli coraz więcej słuchaczy: byli tam mężczyźni w sile wieku, starcy

zgrzybiali i przygarbieni oraz młode dziewczęta. Te widząc, że mężczyźni wydobyli z ukrycia trochę wódki i częstują się nią, zaczęły przysuwać się do nich, coraz bliżej. Za cenę jednej szklaneczki pozwalały brutalom na niedwuznaczne karesy.

Tymczasem Salvatierra wdał się w rozmowę z Juanonem, jeszcze jednym z licznych towarzyszy walk wolnościowych, który specjalnie przybył do Jerez, aby powitać przywódcę wracającego z ciężkich robót. Był to krzepki, olbrzymiego wzrostu mężczyzna. Twarz jego o wybitnie wystających kościach policzkowych, czoło zakończone zwichrzoną czupryną, zielonkawą, drapieżną oczy — wszystko to świadczyło, że była to indywidualność silna i nieprzeciętna.

Pracował niegdyś w winnicy, lecz za swe lekkomyślne prowadzenie się i za krnąbrność został wydalony. Długo i bez powodzenia szukał pracy na fermach, otrzymał ją wreszcie w Matanzueli, a to dlatego że Rafael chciał się zaopiekować przyjacielem swego chrzestnego. Wszyscy najemnicy szanowali Juanona, imponował im siłą woli i ener

— Wszystko zmieniło się, mój Fernando — mówił do Salvatierry. — Cofamy się powoli, lecz stale: bogacze są silniejsi niż kiedykolwiek. Młodzi ani się umywają do nas z dawnych lat. Wielu z naszych ludzi pozostało wiernych idei, są jednak przybici i zgnębieni, drżąc w obliczu bogaczy, którzy sięją dokoła grozę i postrach. Tak, tak, dużośmy wycierpieli, mój Fernando. W czasie gdy męczyłeś się z dala od nas, wszystko tu uległo zmianie. Bogacze wynaleźli sobie straszaka, który bywa teraz przyczyną wszystkich nieszczęść i buntów. Powszechnie mówiono o wskrzeszeniu związku „Czarnej Ręki”. „Czarna Ręka”! Tak krzyczeli bogacze rozwodząc się nad okrucieństwem

tej strasznej organizacji. Samo wspomnienie o jej działalności upoważniało już do najgorszych ekscesów w stosunku do robotników, którzy byli rzekomo twórcami tego terrorystycznego związku. Nikt jednak naprawdę nie posiadał żadnych bliższych o nim danych.

Któryś z robotników zaproponował Juanonowi kieliszek wódki. Oburzony olbrzym odmówił przyjęcia poczęstunku, wołając:

— Oto, co nas gubi! Przeklęty trunek!

Podniosły się głosy protestu: co ma robić biedny najemnik chcąc zapomnieć na chwilę bodaj o swej nędzy!

Tama milczenia przerwała się. Skargi, pogróżki i wyrzekania popłynęły wartką falą. Zaczęto złorzeczyć chlebobdawcom i ich przymilnym sługom.

Dozorca fermy Matanzuela i kilku jego pomocników zaprotestowali.

— Wypełniamy rozkazy! Co możemy na to poradzić? Wszystkiemu winni panowie a nie my. My musimy tylko słuchać.

Stary Zarandilla również zabrał głos:

— A przecież panowie mogliby zaradzić złemu. Wystarczyłoby przypomnieć im, że biedacy są bardzo nieszczęśliwi, a wtedy na pewno ulitowaliby się i okazali miłosierdzie.

Teraz Salvatierra poruszył się gwałtownie.

— Litość! Litość! — wykrzyknął. — Na co zda się litość? Czym jest miłosierdzie? Środkiem do utrzymania biedaka w nadziei, że los jego może się polepszyć... Miłosierdzie to nic innego tylko zamaskowany egoizm ustrojony w liberię cnoty. Ono to każe bogaczom rzucać biedakom okruchy tego, co sami posiadają, a jedyną pobudką tego odruchu jest kaprys. Nie, nie! Wszystko, tylko nie miłosierdzie! Nam potrzebna jest sprawiedliwość!

Rewolucjonista zapalił się. Zimny uśmiech znikł z jego ust, oczy zasłonięte błękitnymi szklami błysnęły ogniem oburzenia.

— Jedynie sprawiedliwość społeczna może uratować ludzkość. Mam namyśli sprawiedliwość ziemską, nie niebieską. Bóg przeszedł do obozu bogaczy z chwilą gdy uznał za godnych rajy tych, którzy czasami rozdają pomiędzy biedaków odpadki swej fortuny, a oni mogą jedynie czuć wdzięczność za dobrodziejstwa, lecz nie wolno im mówić o swej nędzy i użalać się na nią. Nawet gdyby niebo istniało, biedacy nie zechcieliby wejść, do tego przybytku niesprawiedliwości i przywilejów, gdzie równe prawa do szczęścia ma bogaty dający jałmużnę, aby rozproszyć nudę, i biedak, który przez całe swe życie znosił nędzę.

Robotnicy słuchali Salvatierry w skupionym milczeniu.

Juanon i Manolo kiwali potakująco głowami. Jedynie stary Zarandilla odważył się ostudzić nieco zapał mówcy.

— Wszystko to jest bardzo dobre, Don Fernando, lecz biedacy potrzebują ziemi, aby żyć we względnym dostatku.

Ziemia zaś należy do bogaczy, a więc zależność od nich zawsze będzie istniała.

Salvatierra wstał z miejsca.

— Nie — odpowiedział — ziemia nie należy do żadnego pana. Nikt jej nie stworzył, nikt nie ma prawa przywłaszczać jej sobie. Należać winna tylko do tych, którzy na niej pracują. Jeżeli w obecnej chwili dzieje się inaczej, winna jest ta okoliczność, że pewna grupa ludzi uzurpowała sobie prawo własności. Zbierają plony, lecz sami nie sieją i nie orzą, kazać innym — zgłodniałym i nieszczęśliwym — pracować na siebie. Ludzkość jednak zaczyna się budzić ze snu, zaczyna rozumieć, że od zarania swych dni jest okradana. Ziemia jest waszą wspólną własnością —

powtarzam wam, Wszystko, co tylko mogło podnieść jej wartość, było dziełem waszych, zgrabiących od pracy rąk: odciski na waszych dłoniach to żywy dokument stwierdzający wasze prawo własności. Człowiek przychodząc na świat zdobywa prawo do powietrza, którym oddycha, do słońca, które go ogrzewa. Ma również prawo do ziemi, która go żywi.

## ROZDZIAŁ IV

Dwa brytany, strzegące w nocy fermy, zbudziły się nagle ze snu. Zerwawszy się na równe nogi i wężąc niespokojnie, zaczęły ryczeć groźnie jak rozsrożone lwy, a po chwili wahania popędziły z szybkością strzały na dół winnicy. Były to niemal zupełnie dzikie zwierzęta o błyszczących ślepiach i z wściekle rozwartą paszczą, błyskającą groźnymi kłami. Rzuciły się gwałtownie na, mężczyznę przemykającego się chyłkiem wśród gęstych winorośli. Atak był straszny w skutkach: mężczyzna zachwiał się i upadł na ziemię przytrzymując derkę, którą jeden z psów usiłował zedrzeć mu z ramion. Nagle rozwścieczone brytany zamilkły i zaprzestając ataku, zaczęły łąsić się do nocnego gościa, skomląc wesoło.

— Wstrętne bydlaki! Głuptasy! — mruknął Rafael półgłosem. — Już nie poznajecie mnie? Co?

Psy wróciły na swe stanowiska, Rafael zaś zatrzymał się przez chwilę na placu, aby odetchnąć po gwałtownym starciu z wiernymi psami. Znowu owinął się w derkę i schował za pas sztylet, którego dobył w obronie przed gniewem brytanów.

Na skrzącym się gwiazdami ciemnym lazurze nocnego nieba rysowały się kontury nowych budynków wzniesionych przez Don Pabla. Pośrodku pyszniła się pretensjonalnie wieża z czerwonej cegły, wyłożona u podnóża i po rogach białym kamieniem, a u góry widać było kratę żelaznej balustrady przypominającej nieco kratę tarasu feudalnego zamczyska. Z jednej strony widniała najpiękniejsza budowla — duża kaplica zdobiona przez pierwszorzędnych artystów Sewilli, wykładana marmurowymi płytami, pyszniąca się szeregiem suto złożonych kolumn oraz licznymi posągami świętych, sprowadzonymi z Wenecji. Po drugiej stronie wieży stał prawie nietknięty stary dom — przeznaczony na mieszkania dla ogrodników. Nowatorskie zamysły Don Pabla oszczędziły ten staroświecki budynek o niskim dachu ozdobionym arkadami. Maria, córka starego Firmina, zabiegała o to, aby zniszczonym zębem czasu ścianom ich mieszkania przywrócić możliwy wygląd. Bielila je tedy wapnem, nie pomijając też ścian olbrzymiej izby, w której sypiali najemni robotnicy.

Rafael spoglądał z lękiem na ciemną masę budowli, obawiając się, że lada chwila w którymś z okien błysnie światło, że jedno z nich otworzy się i zbudzony ujadaniem psów dozorca wysunie głowę, chcąc poznać przyczynę alarmu. Minęło kilka minut, nic jednak nie przerwało nocnej ciszy i głuchego oddechu pogrążonej we śnie natury. Młody mężczyzna opuścił placyk i okrążając stary dom, skierował się w wąską aleję biegnącą między murem a gęstym szpalerem drzew. Zatrzymał się pod jednym z okien i lekko zapukał w drewnianą okiennicę. Okno otworzyło się niezwłocznie, a w jego obramowaniu ukazała się wdzięczna sylwetka Marii.

— Tak późno przychodzisz? — szepnęła półgłosem — Która godzina?

Administrator pana Ludwika spojrział na niebo usiane gwiazdami.

— Musi być około pół do trzeciej.

— A twój koń? Gdzie go zostawił?

Został w pobliskiej oberży. Biedakowi należał się wypoczynek po wściekłym galopie. Z powodu soboty nagromadziło się tyle różnych spraw, że Rafael nie mógł Się od nich uwolnić przed północą. Skoro świt, wróci do oberży po konia, po czym wjedzie triumfalnie na podwórze fermy, udając, że teraz dopiero przyjeżdża. Chrzestny ojciec nie powinien nawet podejrzewać, że był tu już w nocy.

Młoda para zamilkła przyglądając się sobie szeroko rozwartymi oczami, w których księżycowe światło zapalało jakieś dziwne błyski. Jak wszyscy kochankowie po dłuższej rozłące, wpatrywali się w siebie w milczeniu.

Rafael pierwszy odważył się zabrać głos.

— Nic nie masz mi do powiedzenia? Już tydzień minął od ostatniego widzenia się, a ty stoisz spokojnie i przyglądasz mi się z niemądrą miną, jakbym był jakimś osobliwym zwierzęciem.

— Co mam ci mówić, nicponiu? Ach, chyba to, że cię kocham nad życie. Przez cały ten tydzień moje biedne serce było dziwnie smutne, a w dzień i w nocy nie przestawałam myśleć o moim drogim chłopcu.

Teraz rozmowa potoczyła się wartką falą. Rafael drżał ze wzruszenia. Muzyka słów ukochanej dziewczyny upajała go, odpowiadał jej również gorącym zapewnieniem miłości.

— Jesteś bosko piękna, a usta twoje mają świeżość dojrzałego granatu... Chciałbym posiadać piwnice Don Pabla, utoczyłbym wtedy najprzedniejszego wina i zanurzając w nim twe drobne stopki zawołałbym do wszystkich mężczyzn w Jerez: — Pijcie, moi panowie, a uwierzcie w ist

nienie nieba! Moja droga, gdybyś mnie nie kochała, miałabyś się z pyszna! Musiałabyś chyba wstąpić do klasztoru, nie pozwoliłbym bowiem nigdy, aby ktoś plótł ci androny o swojej miłości. Ległbym pod twym progiem i nawet sam Pan Bóg nie dotarłby do twjej komnatki.

Podniecony ton, jakim przemawiał Rafael, pochlebiał Marii. Doznawała prawdziwej rozkoszy słuchając jego pogróżek, które przekładała nad wszelkie słodkie słówka.

— Ale, głuptasie, wiedz o tym, że kocham tylko ciebie! Ponieważ zawróciłeś mi naprawdę w głowie, oczekuję z drżeniem serca chwili, kiedy udam się nareszcie do Ma tanzueli, aby tam otoczyć najtroskliwszą opieką mego drogiego pana.

— Niechaj twe słodkie usta będą błogosławione! Mów jeszcze, mów! Mowa twa otwiera przede mną wrota raj.

Kochaj mnie, a nie będziesz tego żałowała. Dla twego szczęścia jestem zdolny do wszystkiego. Mój chrzestny może się irtować, ile tylko chce, ale gdy się pobierzemy, zajmę się znowu kontrabandą, aby napęlić fartuch twój złotem.

Maria zaprotestowała przeciw temu projektowi. Nigdy! Nigdy! Do dziś dnia nie mogła myśleć spokojnie o tym, jak ujrzała bladego jak trup Rafaela, którego pierś i plecy broczyły krwią.

— Będziemy szczęśliwi nawet w biedzie, nie chcę, abyś dla pieniędzy narażał życie. Najważniejsze jest, że się kochamy. Zobaczysz, jak słodki żywot będziemy wiedli w Matanzueli. Widzisz, podobnie jak mój ojciec jestem wieśniaczką i nie chcę rozstawać się ze wsią. Zawód fermerki

nie przeraża mnie wcale. Pokój twój będzie czysty jak lustro... Będziemy wstawać o świcie, ty pójdziesz dozorować robotników ja zajmę się gospodarstwem; Bóg obdarzył mnie co prawda małymi rączkami, ale nie boją się

one pracy. Wsiądziesz na konia ustrojony w swój piękny góralski strój, koszula twa będzie biała jak śnieg, u kurtki nie zabraknie nigdy ani jednego guzika, nie znajdziesz na ubraniu ani ździebełka kurzu, ubrany będziesz jak pierwszy

bogacz. Wracając do domu ujrzyz mnie we wrotach fermy, schludnie ubraną, ładnie uczesaną, z kwiatkiem we włosach, w olśniewająco czystym fartuszku. Na stole będzie już stał buchający parą kociołek. Wiesz, że ze mnie dobra gospodyni, ojciec wychwala mnie przed każdym, kogo tylko spotka... a po obiedzie, zadowoleni ze spędzenia paru chwil z sobą, pożegnamy się na krótko. Ty udasz się w pole, a ja zasiądę do szycia. A potem pójdę do kurnika. albo zabiorę się do rozczywania razowego chleba. Wieczorem, po kolacji, zadowoleni z pożytecznie spędzonego dnia, uśniemy spokojnie jak ludzie, którzy nie zmarnowali czasu i nie wyrządzili nikomu żadnej krzywdy.

— Tak, to będzie prawdziwe szczęście — rzekł Rafael z przejęciem. — Ale to jeszcze nie wszystko. Bóg obdarzy nas bardzo miłutkimi dziećmi, które będą biegać po naszym podwórku.

— Będziesz ty cicho! — wykrzyknęła Maria. — Nie śpiesz się tak bardzo, bo łatwo możesz wywrócić kozła. Znowu zapadło milczenie. Rafael uśmiechał się na widok dziewczyny, która zarumieniona z zawstydenia groziła mu paluszkami.

Niedługo jednak utrzymał się w korbach, poniosło go uczucie. Zaczął opowiadać Marii o znoszonych męczarniach, gdy po raz pierwszy doszedł do przeświadczenia, że ją kocha. Było to podczas procesji wielkopostnej, gdy brat udział w uroczystościach składania Chrystusa do grobu. Nagle pochód zatrzymał się i w ciszy nocnej rozległ się głos dziewczęcy, a jego dźwięk wycisnął łzy z oczu szorstkiego przemysłowca,

„To śpiewa córka dozorczy robót z Marchamalo — rzekł ktoś stojący w pobliżu — ma iście słowiczy głos!”

— Zadrżałem, zdjęty niepojętym wzruszeniem. Wydało mi się nagle, że widzę cię i słyszę po raz pierwszy w życiu. Zrozumiałem wtedy, jak bliska jesteś memu sercu, wtedy również ślubowałem przed Bogiem, że musisz być moją! Postanowiłem sobie, że jeśli nie zdobędę twej miłości, popełnię jakieś nie do naprawienia głupstwo, na przykład zamorduję kogoś, a potem w więzieniu będę oplakiwał swe złamane życie i popełniony grzech.

— Rafaelu, tylko bez głupstw! — upomniała go dziewczyna; — Nie mów takich rzeczy, kusisz miłosierdzie boskie! — To nie są głupstwa, dziewczyno! Gdybyś mogła wiedzieć, ile wycierpiałem od owego dnia, nie mając odwagi wyznać ci miłości.

— Głuptasie jeden! Po co było się męczyć, kiedy ja od razu wyczułam, co się święci, chociaż musiałam udawać, że nie wiem o niczym. Młoda dziewczyna nie powinna prowokować mężczyzn do wyznań miłosnych. To nie wypada!

— Niedobra! Wskutek twej hipokryzji zniosłem niejedną ciężką chwilę. Odważyłem się uczynić ci wyznanie dopiero po chorobie, już jako rekonwalescent. Pamiętasz? Chrzestny grał na gitarze, nagle coś mnie jakby podrzuciło. Zerwałem się z miejsca i zaśpiewałem pozerając cię spojrzeniem:

„Ogniem, kowadłem i młotem  
Uporasz się z stałą i zlotem...  
Tego, co serce me czuje  
Najcięższy młot nie przekuje..”

— Nagle ujrzałem na twojej twarzy rumieniec, spuściłaś oczy. Wtedy rzekłem w duchu: „Doskonale!” Nie omyliłem

się. Wkrótce wyznaliśmy sobie miłość. Od owej chwili Rafael, administrator Matanzueli, stał się najbogatszym i najszczęśliwszym człowiekiem w całej prowincji.

W zapale krasomówczym Rafael wtulił twarz w kratę okienną, jakby w zamiarze przywarcia w gorącym uścisku do twarzy Marii.

— Hola, mój panie! — szepnęła dziewczę grożąc mu paluszkami. — Pilnuj się! Będę się bronić... szpilką do włosów. Wiesz dobrze, Rafaelu, że nie lubię pewnego rodzaju poufałości, a jeśli przystałam na nasze rozmowy nocne przez kratę okienną, to jedynie dlatego, że obiecałeś mi być rozsądnym.



Rafael odsunął się posłusznie od kraty.

— Dobrze, już dobrze, nielitościwa istoto! Nie wiesz chyba, co to jest kochanie, jesteś taka zimna i spokojna, jakbyś nie rozmawiała z ukochanym, lecz siedziała na mszy.

— Ja nie wiem, co to jest kochanie?! — wykrzyknęła energicznie. — Kocham cię równie gorąco jak ojca, może tylko na inny nieco sposób. Kocham cię i zdaje mi się, że kochałam cię zawsze od najwcześniejszej młodości, kiedy przychodziłeś do nas jako mały chłopak z poleceniem od twego ojca. Kocham cię za to, że nie masz nikogo na świecie, że potrzebny ci jest ktoś bliski i serdeczny. Ową bliską i serdeczną duszą będę ja. Kocham cię, boś wiele wycierpiał w życiu, bo widziałam cię prawie umierającego owej fatalnej nocy, która jednak przyniosła mi szczęście, zrozumiałam bowiem, że serce moje należy do ciebie. Zaslugujesz na moją miłość, jesteś bowiem dobrym i uczciwym chłopcem, bo nawet wiodąc szalony żywot myślałeś o mnie i wskutek tego wolałeś żywot skromnego pracownika. Wynagrodzę cię za to wszystko, dając ci miłość prawdziwą

i wierną! Będę dla ciebie matką, żoną, wszystkim — pragnąc tylko tego, abyś był szczęśliwy!

— Brawo! Mów dalej, moja ty piękna, górską ptaszyno! — wykrzyknął Rafael przejęty radością.

— Kocham cię również za to, że czuję się godna ciebie i potrafię dać ci szczęście i dochować wierności. Nie znasz mnie jeszcze, Rafaelu. Gdyby nadszedł taki dzień, w którym doszłabym do przeświadczenia, że nie jestem godna takiego jak ty człowieka, odeszłabym od ciebie. Dusiłabym się łykając w milczeniu łzy żalu za moim Rafaelem, lecz gdybyś nawet błagał mnie na klęczkach, żebym została z tobą, udałabym, że cię nie kocham. Widzisz tedy, jak bliski jesteś memu sercu!

Mówiąc to była tak wzruszona, że Rafael zaczął ją uspokajać.

— Daj spokój! Alboż istnieje coś, co by zdołało nas rozłączyć?! Nie mówmy o rzeczach smutnych, lecz jedynie o naszej miłości.

Zmieniono temat. Maria zaczęła opowiadać o święcie, jakie chce obchodzić Don Pablo. Uroczystość miała się rozpocząć za parę godzin. Don Pablo rozkazał przeszło trzystu robotnikom z nadejściem nocy udać się do Jerez, do swoich, a nazajutrz stawić się na mszy i na procesji. Wraz z Don Pablem miała przybyć do kościoła rodzina, urzędnicy i wielu robotników fabrycznych. Firmin musiał być również w kościele. Dziewczę zaśmiało się na myśl, jaką też minę będzie miał jej brat opowiadając o swej przymusowej pobożności Salvatierrze, staremu przyjacielowi ich ojca. Rafael zaczął opowiadać, jakie wrażenie na nim wywarł znakomity rewolucjonista.

— To niezwykle człowiek, lecz trochę pomyłony, O mały włos nie wywołał rewolucji u mnie na fermie. Za

czął od słów: — Żle się dzieje, trzeba biedakom dać żyć itd. itd. — Wiem, że nie wszystko w stosunku do nich jest w porządku, ale najważniejsze sprawy na świecie to: miłość i praca. Nie mów jednak ani słowa swemu ojcu o tym, co powiedziałem o jego przyjacielu.

Rafael żywił dla swego chrzestnego dużo szacunku, jednocześnie bał się go. Starzec domyślił się, że jego córka i chrześniak kochają się, nie wspomniał im jednak o tym ani słowem. Tolerował ich amory, był jednak pewny, że młoda para uczyni to tylko, na co on zezwoli. Rafael kilkakrotnie już chciał prosić go o rękę córki, Maria jednak powstrzymywała go zawsze od tego kroku.

— Nic nie tracimy na zwłoce. Nasi rodzice również trawili czas ha rozmowach przez kratę okienną. Ponieważ ojciec mój nie mówi ani słowa, jest to dowód, że się domyśla wszystkiego i nie ma nic przeciw temu. Czekajmy więc.

Rafael czekał tedy cierpliwie chwili, kiedy ojciec Marii sam zaproponuje mu małżeństwo.

Zaczęło świtać. Rafael widział coraz wyraźniej za kratami okna cudną twarzyczkę swej wybranki. Jakiś ptak, widząc czymś spłoszony, zerwał się nagle z wierzchołka jednego z pobliskich drzew i głośno bijąc skrzydłami odleciał z głośnym hukaniem. Maria drgnęła mimo woli.

— Odejdź już, Rafaelu — rzekła z nagłym lękiem. — Już świta. Odejdź natychmiast! Mój ojciec wstaje, a zresztą robotnicy mogą również nadejść niebawem. Co powiedzieliby widząc nas razem o tej godzinie? Rafael ani słuchać nie chciał o odejściu. Co znowu?! Dziewczyna zaczęła się niecierpliwić. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ją drażni i dręczy w ten sposób. Przecież za parę godzin zobaczą się znowu!

— Nie, nie — powtarzał błagalnym głosem — nie odejdę... A jeśli chcesz, żebym sobie poszedł... dobrze!... Jeszcze silniej przywarł do kraty i cichym szeptem oznajmił swej najdroższej pod jakim warunkiem spełni jej żądanie. Maria zachnęła się cofając od kraty usta, których szukały niecierpliwie wargi młodzieńca.

— Nie kochasz mnie! Inaczej, nie czyniłbyś mi takich propozycji!

Ukryła twarz w dłoniach, jakby chcąc stłumić łzy cisnące się do oczu. Rafael wsunął za kratę ręce starając się oderwać od twarzy dziewczęcia silnie splecione dłonie.

— Ależ to był tylko żart... Przebacz mi! Jestem prostak, spoliczkuj mnie! Zasłużyłem na to.

Maria, ujęta pokorą Rafaela, odsłoniła twarz i uśmiechnęła się do niego.

— Przebaczam ci, odejdź jednak nie zwlekając już ani chwili dłużej! Pilnuj się, bo nas przychwycą! Tak, tak, przebaczam ci! Uspokój się i idź sobie!

— Dobrze, lecz na dowód, że mi przebaczyłaś, spoliczkuj mnie! Uczyni to, moja droga, albo zostanę!

— Co?! Mam ci wymierzyć policzek! Wiem, o co ci chodzi, ty — filucie! Masz, trzymaj i... marsz stąd!

Z tymi słowy wysunęła przez okienną kratę drobną, pulchną rączkę, którą Rafael pochwyił okrywając pocałunkami. Maria, zmieszana i drżąca, wykrzyknęła:

— Dajże spokój, nicponiu! Zamęczysz mnie! Wyrwała mu rękę i zatrzaskała okiennice. Rafael stał jeszcze czas jakiś bez ruchu, potem ochłonawszy ze wzruszenia, oddalił się do oberży. Marchamalo ani myślało jeszcze budzić się ze snu. Psy zaszczekały skacząc wesoło, gdy stary Firmin otworzył drzwi. Nieco później zaczęli się na placu gromadzić robotnicy idący dziś do kościoła.

— Oby Bóg zesłał nam dzisiaj dobry dzień! — pozdrowił ich Don Firmin.

Wkrótce nadjechał od strony winnicy Rafael, jakby w tej chwili dopiero przybywając na folwark.

— Ranny z ciebie ptaszek, mój chłopcze — bąknął przebiegle ojciec chrzestny. — Widać, że sprawy Marchamalo leżą ci na sercu i odbierają sen.

W czasie gdy pan administrator błąkał się pod drzwiami domu, wyglądając swej ukochanej, stary Firmin obserwował z tarasu białą drogę. Już był wielki dzień, gdy, ujrzał w dali wynurzającą się z obłoku kurzu czarną plamę kilku powozów.

— Oto oni, moje dzieci! — wykrzyknął do robotników. — Nadjeżdża pan. Zobaczymy, czy powitacie go, jak aa dobrze wychowanych ludzi przystało.

Robotnicy rolni, słysząc to wezwanie, ustawili się w dwa szeregi po obu stronach drogi.

Aby uczcić święto, Dupont wystąpił paradnie ze wszystkimi końmi i mułami, jakie miał w swoich stajniach.

Don Pablo wysiadł z olbrzymiego landa, podając rękę zażywnemu księdzu, różowemu na twarzy, ubranemu w strojną, jedwabną sutannę. Po wysadzeniu z powozu czcigodnego gościa, pomyślał o matce i żonie, które wysiadły również poważne i uroczyste, od stóp do głowy ubrane w czerni.

Fabrykant ruszył szpalerem utworzonym przez robotników, którzy odkryli, głowy na powitanie chlebobdawcy. Ten uśmiechnął się z zadowoleniem. Ksiądz uczynił to samo, po czym pochylił się do ucha Don Pablo mówiąc:

— Bardzo dobrze! Wszyscy oni wyglądają na dzielnych i porządnym ludzi. Widać, że zwierzchnik ich jest dobrym chrześcijaninem, którego przykład jest ze wszechmiar budujący.

Zaczęły nadjeżdżać inne powozy wzbijając nowe tumany kurzu. Cała rodzina i wszyscy urzędnicy stawili się jak jeden mąż. Nawet Don Ludwik nie opuścił nabożeństwa. Uczynił to ze względu na Don Pabla, którego poparcie było mu w tej chwili bardzo potrzebne.

Widząc pod arkadami domu wdzięczną postać Marii

niepoprawny hulaka zapragnął zbliżyć się do niej, wmieszał się więc pomiędzy służbę Dupontów, która po przybyciu do jego wiejskiej posiadłości z mnóstwem prowiantów, otoczyła dziewczynę, prosząc ją o wskazanie drogi do kuchni. Montenegro wysiadł z powozu w towarzystwie Don Raniona, naczelnika biura. Obaj skierowali się na przeciwległy koniec placu, jakby w zamiarze usunięcia się sprzed oczu Duponta, który wydawał rozkazy pieniąc się ze złości, że jeszcze nie wszystko było gotowe.

Ozwały się wreszcie dzwony, wzywając na mszę. Jakkolwiek nikt obcy nie miał przybyć na nabożeństwo, Don Pablo jednak wydał rozkaz trzykrotnego wezwania na modlitwę — dźwięk sygnaturki napawał go radością. Zdawało mu się, że słyszy głos Boga obwieszczający, iż zarówno chrześcijański ród jak i on mogą zawsze liczyć na Najwyższą Opiekę. Ksiądz tymczasem, jakby unikając hałaśliwych wybryków Don Pabla, wsparty na ramieniu starego Firmina stanął na uboczu i spoglądał z zachwytem na piękny obraz, jaki tworzyły rozległe winnice Duponta.

— Jakże dobry jest Bóg! — wykrzyknął. — Jakie piękne rzeczy stworzył! Nieprawdaż, przyjacielu?

Mistrz Firmin znał osobiście tego księdza. Był to ogromnie modny w owym czasie jezuita, ojciec Urizabal, który na swych konferencjach rozstrzygał w oka mgnieniu wszelkie kwestie społeczne.

Dupont junior, dziwnie niestały w swych sympatiach dla osób duchownych, zachwycał się kolejno: jezuitami, karmelitami, franciszkanami i dominikanami, osiadłymi w Jerez, lub też misjonarzami powszechnie poczytywanymi za bohaterów wiary, męczenników, którym bez mała przypisywano dar czynienia cudów. Z tej zmienności upodobań podobny był do matki. Niestety jednak nigdy nie miewali jednakowych faworytów, co było nieraz przyczyną gorących sporów. Ostatnim ideałem milionera był ojciec Urizabal, który podziwiał w tej chwili piękny widok rozciągający się u jego stóp, wypytując dozorcę o szczegóły kultury wina i zachwycając się wspaniałym stanem winnic. Stary Firmin mile poglaskany w swej ambicji orzekł w duchu, że jezuita są jednak więcej warci, niż to przypuszczał jego przyjaciel Don Fernando.

— Mój ojczu, zapewniam cię, że nasza winnica jest najlepsza w całym kraju.

Ogarnięty krasomówczym zapalem stary Firmin jał opisywać stosunki i życie robotników oraz warunki ich pracy. Tak był przejęty tematem, że odstąpił nawet od swej zwykłej surowości w stosunku do robotników i jał uważać się nad nędzą ich egzystencji. Pomyśleć tylko: ciężka praca od świtu do nocy, groszowe zarobki i za to wszystko brak możliwości zaspokojenia najprymitywniejszych potrzeb. Don Pablo na przykład zabraniał im surowo czytania gazet, a więc byli pozbawieni nawet, tej kulturalnej rozrywki. Jedyną ich przyjemnością było spędzanie sobotnich wieczorów i dni niedzielnych na łonie rodziny w Jerez lub jego okolicy.

— A więc czym można wytłumaczyć tę okoliczność, że ci biedacy pozostali na dzień dzisiejszy w Marchamalo? — zapytał jezuita.

— Tym, że to w gruncie rzeczy porządni ludzie, mój ojciec — odpowiedział chytrze stary Firmin. — I mimo wszystko przywiązani są do swego chlebobdawcy. Wystarczyło, abym przemówił do nich w jego imieniu, a biedacy pozostali bez szemrania poświęcając swój wolny dzień.

Dalszą rozmowę przerwał okrzyk Don Pabla, który wezwał swego znakomitego gościa do kaplicy, dokąd też udał się on w towarzystwie całej rodziny Dupontów.

Wtedy dopiero ojciec Firmin ujrzał swego syna przechadzającego się po winnicy z Don Ramonem.

Były dziennikarz, na schyłku swej kariery dyrektor reklamy w biurze domu handlowego Braci Dupont, unosił się nad pięknnością Marchamala:

— Takich winnic, mój drogi, nie znajdziesz w całym kraju. Nikt, żadna firma, nie może się pochwalić takim winem jak nasze Jerez, sławne ze swego koloru, bukietu, niezwykłego smaku i zbawiennego działania na żołądek. Tak, tak, wino — to najszlachetniejszy trunek! Ono to daje natchnienie poetom, odwagę żołnierzom, siłę robotnikom i zdrowie chorym. Lecz koroną wszystkich win jest Jerez! Niestety, coraz więcej jest teraz ludzi, którzy pojęcia nie mają o jego istotnych zaletach i spijając nędzny falsyfikat łudzą się, iż piją nektar boski. To zbrodnia, Jerez — to nie wino, lecz złoto, a firma Dupont, wyrabiająca je, jest firmą bezkonkurencyjną.

— Nie zachwalaj tak, Don Ramonie, naszych win przede mną — przerwał jego wywody Firmin junior — nie jestem bowiem klientem.

Don Ramon opamiętał się i wybuchnął śmiechem.

— Widzisz, mój drogi, my, ludzie związani z prasą i reklamą, jesteśmy niewolnikami swego zawodu, który nas zmusza do powtarzania się. Powiem ci coś lepszego — dodał wesoło — to ja namówiłem Don Pabla, aby zmieni!

w swych winnicach latorośl. Teraz już do licha z filokserą! Z tej strony nie grozi już zbiorom żadne niebezpieczeństwo.

— Mówmy szczerze, Don Ramonie, w czym pokładasz większą nadzieję? Czy w sadzonkach sprowadzanych z Ameryki, czy w błogosławieństwie jezuiity?

— Figlarz! — zabrzmiała odpowiedź, po czym Don Ramon obejrzał się dokoła niespokojnie i zaczął mówić półgłosem:

— Znamy się dobrze i ufam ci, wiem bowiem, że niezdolny jesteś do delatorstwa. W jakim więc celu zadałeś swe pytanie? Wiesz, że nie przeszkadzam nigdy temu, co się dokoła mnie dzieje, a to dlatego, że firma Dupont — to moja ostatnia ucieczka. Gdybym stracił tu posiadłość, byłibyśmy skazani, ja i moje dzieci, na nędzę, dlatego też nie wolno mi krytykować postępowania mego dobroczyńcy. Wycofałem się już z walki czynnej. Moi towarzysze partyjni pozostali w szeregach, lecz są to ludzie stworzeni na bohaterów, ja jestem tylko zwykłym człowiekiem... Po długich zapasach z losem doszedłem do przeświadczenia, że praca istnieje po to tylko, aby tworzyć wielkich ludzi albo też, aby dawać ludziom chleb powszedni. Ponieważ, nie czułem powołania do wielkości, postanowiłem ograniczyć się do skromnej roli zwykłego groszoroza, no i — człek pcha jakoś swą biedę.

Mówiący spojrzął na Firmina i widząc, że cynizm, a jakim wygłaszał swe maksymy, sprawiał na jego słuchacza niemiłe wrażenie, pośpieszył je złagodzić.

— W gruncie rzeczy nie zmieniłem się wcale. Pozostałem takim, jakim byłem. Kto skosztował raz w życiu „zakazanego owocu”, ten nigdy nie zapomni, jak on smakuje. Można zmienić swą powłokę, lecz dusza pozostanie zawsze ta sama. Mój drogi, chleb, który jem, muszę okupić nie

jednym poniżeniem i rumieńcem wstydu. Pomyśl jednak! mam dwie córki, obie muszą jeść, ubrać się, poszukać sobie mężów, na razie jednak — ja myślę o ich potrzebach.

W oczach młodego przyjaciela wyczytał wzgardliwe politowanie.

— Gardź mną, ile ci się podoba — ciągnął dalej. — Wy, młodzi, nie rozumiecie pewnych sytuacji. Zresztą, co tu gadać — jestem odstępca i koniec! Bohaterowie byli, są i będą, życie jednak drwi z bohaterstwa: bohaterowie bowiem,

jak na przykład Salvatierra, spożywają suchy chleb z odrobiną sera, a zdrajcy sprawy, jak ja, mają na wino i kawałek mięsa. Taki już jest świat!

Montenegro zmrożony ironią Don Raniona chciał mu odpowiedzieć ostrzej, gdy nagle na skraju lasu rozległ się władczy głos Duponta i klaskanie w dłonie starego Firmina, który w ten sposób zwoływał robotników.

Zabrzmiały dźwięki sygnaturki po raz trzeci, za chwilę miała rozpocząć się msza. Don Pablo ruszył pośpiesznie do kaplicy, chciał bowiem ku zbudowaniu najemników sam służyć do mszy.

Panie rozsiadły się wygodnie w fotelach przy ołtarzu, przybranym w mnóstwo palm i kwiecica przywiezionego z oranżerii Duponta, na stopniach stanęli Rafael i stary Firmin, tworząc jakby symboliczny mur oddzielający świat bogaczy od tłumu nędzarzy.

Maria pomagająca kucharzom i służbie wymykała się raz po raz z kuchni i stanąwszy w progu kaplicy słuchała mszy bodaj dorywczo. Wspinając się na palce spoglądała z daleka na swego Rafaela, zawsze jednak jej wzrok spotykał się ze wzrokiem Ludwika Duponta, który siedział za fotelem swej ciotki. Na widok dziewczęcia zaczynał robić do niej tajemnicze miny, a chwilami groził nawet palcem. Był niepoprawny! Przed rozpoczęciem mszy przesiadywał

w kuchni i jak w okresie wspólnych zabaw dziecięcych przekomarzał się z nią, chwilami zagradzał jej drogę szeroko otwartymi ramionami, przy czym brał ją prawie w objęcia, uśmiechając się szelmowsko.

Elwira z rozczuleniem spoglądała na swego Don Pabla, ministrującego do mszy odprawianej przez ojca Urizabala.

Wzruszona cnotą chrześcijańską swego faworyta, pobożna dama wzdychała spuszczać skromnie oczy i powstrzymując z trudem łzy rozrzewnienia.

Po skończonej mszy nastąpiła najważniejsza część programu. Ojciec Urizabal miał poświęcić latorośl, aby uchronić ją na zawsze od plagi filoksery, zastąpiwszy sadzonki miejscowe sprowadzonymi z Ameryki.

Stary Firmin opuścił pośpiesznie kaplicę i kazał przynieść tuż pod drzwi główne kilka koszy świec przywiezionych ubiegłego dnia z Jerez. Następnie zaczął je rozdawać pomiędzy robotników, którzy ustawili się w dwa długie szeregi.

Panie, służące i Maria przyglądały się tej scenie.

Robotnicy schodzili powoli na dół, do podnóża winnicy, trzymając w jednej ręce kapelusz, w drugiej — płonąca świecę. Gdy pochód znalazł się na połowie pochyłości wzgórza, w drzwiach kaplicy ukazał się ojciec Urizabal w białej kapie haftowanej w czerwone goździki na złotym tle. U jego boku stał Don Pablo ściskając w ręku świecę tak, jakby to była szpada, i bacznie śledząc wzrokiem, czy żaden śmiałek nie uchybia swym zachowaniem uroczystości chwili.

Za nim stali wszyscy urzędnicy domu handlowego Braci Dupont tworząc jakby orszak honorowy. Najpoważniej zachowywał się Ludwik. Był naprawdę wzruszony niezwyklej ceremoniałem. Drwił zazwyczaj ze wszystkiego, prócz religii — znać było po nim wychowanka ojców.

— Ma dobry grunt! — zwykł być mówić Don Pablo. gdy mu donoszono o wybrykach kuzyna.

Ojciec Urizabal otworzył brewiarz, który przyciskał na razie do piersi, po czym zaintonował litanie do Wszystkich Świętych:

— Sancte Michael!

— Ora pro nobis! — odpowiedział poważnym głosem Dupont, groźnym spojrzeniem nakazując wszystkim powtórzyć te słowa.

Posłuszne echo sakramentalnej odpowiedzi popłynęło w dal, hen, ku czołowi procesji, gdzie przodował stary Firmin.

— Sancte Raphael!

— Ora pro nobis!

— Omnes sancti Angeli et Archangeli!

Dupont podniósł wysoko głowę, doniosłym głosem podrzucając tłumowi wiernych odpowiedź:

— Orate pro nobis!

Jedynie tylko orszak Duponta mógł słyszeć wyraźnie jego słowa. Reszta uczestników procesji posuwała się powoli, coraz częściej i głośniej rozlegały się ironiczne okrzyki i uwagi albo i rozmowy. Po kilku minutach znudzeni uroczystym nastrojem robotnicy przestali słuchać tego, co mówił celebrans i jego asysta, powtarzali odpowiedź automatycznie, głośnym chórem, czasem naśladując poryk burzy, czasem znowu pisk starej baby. Czynie to tak umiejętnie, że niejeden musiał całą siłą woli powściągać śmiech, zasłaniając twarz kapeluszem.

— Sancte Jacobe!

— Noobis!

Stary Firmin, również znudzony uroczystością jak jego podwładni, udawał gniew.

— No, no, bez głupich żartów! — mówił spoglądając niby to surowo na największych nicponi. — Nędznicy! Czy nie widzicie, że „stary” zorientował się, iż stroicie z niego żarty?

Stary jednak zbyt był wzruszony, aby cokolwiek rozumieć z tego, co się dokoła niego działo. Wzruszenie nappełniło oczy jego łzami.

— Piękny obraz! Nieprawdaż? — szeptał w chwilach pauzy, nic nie widząc i nic nie słysząc.

— Wspaniały — śpieszył przytaknąć mu Don Ramon.

— Zachwycający! — dodawał Ludwik. — Zupełnie jak w teatrze.

Mimo wzruszenia Dupont zachował przytomność w odpowiedziach na inwokacje celebransa. Wiódł go z wielką pieczołowitością pod rękę, podtrzymując w miejscach wyboistych, odczepiając koronki komży, gdy zawadziła o gałązki krzewów przydrożnych.

— Ab ira odio et omni mala voluntate! — intonował ojciec Urizabal.

Rzecz oczywista iż odpowiedź na to wezwanie powin~ aa była nastąpić zupełnie odmienna od poprzednich.

— Noobis... obis!

Stary Firmin stanął wreszcie przy cysternie wyczekując, aż nadciągnie główna grupa pochodu. Gdy wreszcie ojciec jezuita ze świętą połączył się z czołem procesji, Dupont oddał komuś z obecnych swą świecę i wziął z rąk kroczącego przy jego boku zakrystiana gałązkę hyzopu i przenośną kropielnicę. Ręce drżały mu ze wzruszenia.

Domyślając się, że rozpocznie się teraz ostatni akt ceremoniału, stary Firmin i większość robotników otworzyli szeroko oczy w oczekiwaniu czegoś niezwykłego.

Jezuita tymczasem przewracał kartki brewiarza, nie mogąc natrafić na właściwą modlitwę, szczęśliwie jednak wzrok jego padł na tytuł:

— Benedictio super fruges et vineas.

— Adiutorium nostrum in nomine Domini — rozpoczął zerkając w kierunku swego ministranta w zamiarze podrzucenia mu odpowiedzi w razie potrzeby.

— Qui fecit coelum et terram — odpowiedział bez chwili namysłu Dupont pamiętając dokładnie słowa, których nauczył się starannie.

Po dwóch jeszcze inwokacjach celebrans odczytał bardzo wolno „Oremus”, prosząc Boga o wzięcie winnic pod swoją opiekę.

— Per Christum Dominum nostrum — zakończył modlitwę.

— Amen! — odpowiedział Dupont usiłując powstrzymać się od łez.

Ojciec Urizabal umoczył teraz gałązkę hyzopu w kropielnicy i prostując się majestatycznie, zaczął mówić:

— Asperges... — resztę słów modlitwy mamrotał pod nosem kropiąc wodą święconą dokoła siebie. — Asperges...

asperges — powtarzał potrząsając w powietrzu ociekającą kroplami święconej wody gałązkę.

W końcu odrzucił w tył brzegi swej kapy i uśmiechając się do pań jak człowiek uważający swą powinność za wypełnioną, skierował się do kaplicy w towarzystwie zakrystiana, któremu Dupont zwrócił gałązkę hyzopu i kropielnicę.

— Czy to już koniec? — zapytał Firmina flegmatycznym głosem jakiś stary robotnik.

— Tak jest.

— A więc ksiądz nie matu już nic więcej do gadania?

— Przypuszczam, że nic.

— Doskonale. Możemy już więc odejść?

Stary Firmin porozumiał się z Don Pablem, po czym zwracając się do robotników rzekł:

— Możecie iść do domu, moi przyjaciele. Uroczystość skończona. Pójdźcie na inną do waszych domów, gdzie czekają na was żony, bądźcie tylko na noc z powrotem, aby wstać do roboty skoro świt... Możecie zabrać ze sobą świece — dodał. — Nasz pan daje je wam w prezencie na pamiątkę dzisiejszego święta.

Robotnicy pogasili świece i ruszyli długim szeregiem ku wyjściu. Niektórzy z nich przechodząc koło Don Pabla pozdrawiali go dotykając brzegu kapelusza, inni dziękowali mu za upominek krótkim: „Wielkie dzięki” — a ton ich głosu i spojrzenie było tak dziwne, że Dupont zaczął sobie zadawać pytanie, czy nie należałoby tych oznak szacunku uważać raczej za obelgę.

Nie potrafiłby jednak w tej chwili żywić do kogokolwiek żalu. Był jeszcze pod wpływem silnego wzruszenia. toteż oświadczył, że nie zdoła przełknąć przy stole ani jednego kęsa.

Robotnicy śpieszyli do domów, gdzie wyglądzano ich od wieczora poprzedniego dnia. Mieli do swego rozporządzenia zaledwie parę godzin, z nastaniem nocy musieli bowiem być z powrotem w winnicy.

Znalazłszy się na gościńcu zaczęli głośno rozmawiać z sobą, spoglądając na szczyt wzgórza, na którym widać było wyraźnie sylwetki postaci Don Pabla i jego urzędników.

Najmłodszy spośród robotników, obrzucając pogardliwym spojrzeniem dar chlebobdawcy, oparłi jeden koniec świecy o brzuch i kiwając drugim w kierunku wzgórza jęli wołać z cynicznym uśmiechem:

— Masz! Masz! To dla ciebie! Dla ciebie! Starzy zaczęli groźnie pomrukiwać:

— A bodajś pękł, ty pobożny psie! Napocisz się, draniu, zeszywając potem swój kałdun!

Dupont tymczasem stojąc na szczycie wzgórza wodził tkliwym spojrzeniem po swych posiadłościach. Wreszcie zatrzymał wzrok na tłumie robotników stojących na gościńcu, którzy, jak mu się zdawało, przystanęli, aby pożegnać z daleka swego pana... I rzekł drżącym ze wzruszenia głosem:

— Wielki dziś jest dzień, moi przyjaciele! Zaiste wzruszający widok! Świat powinien wzorować się na mnie, jeśli chce tworzyć życie podług przepisów świętych tradycji.

Któregoś wolnego od zajęć popołudnia Firmin Montenegro po wyjściu z biura spotkał się na ulicy ze swym dawnym nauczycielem Don Fernandem, który udawał się właśnie na przechadzkę za miasto. Salvatierra dzień cały spędzał nad tłumaczeniem z angielskiego lub nad artykułami pisanymi do pism występujących w obronie idei. Zarobioną w ten sposób gotówkę przeznaczał na koszty swego skromnego utrzymania oraz na zasiłek dla towarzysza, w którego lepiance mieszkał. Szła ona również dla innych niemniej biednych towarzyszy, wyludających od niego nieraz ostatni grosz w imię ideowej solidarności. Jedyną przyjemnością, na jaką sobie pozwalał, była przechadzka. Lubił ruch, zapewniał, że jest to najlepsze lekarstwo na wszystkie niedomagania, toteż przechadzki jego trwały nieraz aż do późnej nocy. Odbywał je samotnie, nie łatwo bowiem mógł znaleźć sobie równie wytrwałego towarzysza. Słyszając, że Montenegro nie ma żadnych określonych zamiarów, Salvatierra zaproponował mu wspólny spacer. Szedł w stronę doliny Caulina, choć wołałby co prawda drogę do Marchamalo. Wiedząc jednak, z jaką nienawiś

cią traktował go Dupont, nie chciał narażać starego przyjaciela Firmina na przykrość.

— Ty sam, mój chłopcze — rzekł do Montenegro — otrzymasz porządną burą, gdy Dupont dowie się, żeś był w moim towarzystwie.

Montenegro wzruszył ramionami: nic sobie nie robił z gniewu „starego”, zresztą dawno już bardzo nie widział się z Don Fernandem, z największą więc przyjemnością poszedł z nim na przechadzkę, korzystając z pięknej, wiosennej pogody.

Znaleźli się wkrótce za miastem. Przed nimi rozciągała się Caulina, podobna do olbrzymiego zielonego, dzikiego stepu, a właściwie pustkowi, którego nie dotknęła jeszcze motyka ani pług.

Dziwną pustką i melancholią tchnął ten obraz.

— Spójrz, Firminie — rzekł z ironią Salvatierra — oto radosny zakątek słynnej ze swej żyzności Andaluzji!

Marzyciele roją o nawadnianiu pól, o stworzeniu dla biedaków nowych terenów pracy. Bogacze zaś posiadający liczne farmy i winnice korzystają z nędzy tych pariasów, zatrudniając ich za pół darmo na swoich terenach. Hodowcy bydła potrzebują szerokich przestrzeni, aby móc swobodnie hodować dzikie byki, a wszyscy dusigrosze marzą jedynie o tym, aby nic w dawnym porządku świata nie uległo zmianie.

— Śmiech mnie ogarnia, gdy przy mnie ktoś zaczyna mówić, że u nas życie idzie naprzód. Wszystko to kłamstwo! Kłamstwem są artykuły przekupionych dziennikarzy, zachwycających się inicjatywą bogaczy. Kłamstwem jest czcza gadanina o postępie w zakresie rolnictwa! Wszystko to kłamstwo! Rolnictwo nasze nie stoi w tej chwili wyżej niż za panowania Maurów. Prawdą jest tylko to, że wielka własność niszczy kraj i doprowadza go do ruiny. Najbardziej znamienne jest to w okolicach Jerez.

To, co mówię, nie znaczy, że jestem absolutnym wrogiem wielkiej własności. W istocie bowiem ona to przygotowuje grunt dla moich idei. Im mniej będzie poszczególnych własności do wywłaszczania, tym łatwiej się da przeprowadzić socjalizację ziemi, tym mniej będzie lamentujących bogaczy. Jakkolwiek jednak wielki przewrót zbliża się, nie kryję się z tym wcale, że nie nastąpi to tak prędko, jakbym tego pragnął. Toteż czekając na ziszczenie się moich nadziei, nie mogę patrzeć bez oburzenia na coraz to większą nędzę i poniżenie ludu roboczego.

Wyczerpany gorącym przemówieniem Salvatierra zamilkł, a widząc, że noc już zapadła, zawrócił z powrotem do miasta.

Szli teraz, szybkim krokiem. Nagle usłyszeli dźwięk dzwonek dolatujący z dala. Ciężkie, ładowne wozy toczące się powoli gościńcem, poskrzypując głucho, usunęły się przezornie na bok. Salvatierra i Montenegro zeszli do przydrożnego rowu, skąd mogli spokojnie przyglądać się nadjeżdżającemu pięknemu pojazdowi, zaprzęzonemu w czwórkę ognistych koni, strojnych w pompony i chomąta z dzwonekami. W powozie siedziało liczne i wesołe towarzystwo. Wszyscy śpiewali głośno i klaskali w dłonie, budząc melancholijne echa w martwej ciszy pustej i smętnej doliny.



Powóz przemknął szybko jak strzała, niknąc w obłoku szarej kurzawy, Montenegro poznał jednak Ludwika Duponta. Siedząc na koźle, powoził i przynaglał konie do szalonego biegu trzaskając z bata i dodając im energii pokrzykiwaniem. U jego boku siedziała „mała margrabinka”. Firminowi zdawało się, że lekkomyślna kobieta poznała go, mijając bowiem pozdrowiła go skinieniem ręki i wołaniem, jakkolwiek nie mógł nic z tego zrozumieć. — Szaleją — rzekł Firmin, gdy powóz zniknął w oddali. — Miasto jest dla nich za ciasne, a ponieważ jutro

jest niedziela, chcą niewątpliwie spędzić dzień w Matanzueli, gdzie nie potrzebują krępować się niczym.

Słyszac nazwę fermy Salvatierra przypomniał sobie

o swym chorym towarzysz, właścicielu oberży „Pod Krukami”, którego nie widział od owego dnia, kiedy to burza zmusiła go do schronienia się pod dach Rafaela. Postanowił więc odwiedzić koniecznie biedaka, który na pewno wyglądał go już od dawna.

Montenegro zaczął opowiadać Salvatierrze o Ludwiku

i o jego nowej miłostce, „małej margrabince”. Ich stara, przyjaźń zakończyła się stosunkiem o wiele bliższym, czego dotychczas starali się uniknąć. Szalona kobieta porzuciła swego świniarza „czując nagły pociąg do arystokracji”, jak mówiła. Afiszując swój stosunek, zamieszkała u Ludwika Duponta. Zaczęli wieść życie hulaszcze i bezładne, drwiąc sobie z opinii całego świata.

— To para prawdziwych wariatów — mówił Firmin. — Nadejdzie dzień, kiedy zaczną się bić. Na razie są szczęśliwi i obnoszą się ze swym szczęściem. Najwięcej bawi ich, jak mi się zdaje, oburzenie Don Pabla i całej jego rodziny. Teraz nie wystarcza już im sensacja, jaką wywołali w mieście, zaczynają objeżdżać fermy i okoliczne miasta. Byli już nawet w Kadyksie wraz z całą bandą śpiewaków i innych obwiesiów, których Ludwik ciągnie za sobą. Przed kilku dniami wywołali w Sanlucare niesłychany skandal, potem spoiłi do nieprzytomności chłopca hotelowego i ostrzygli go do skóry jak barana. Członkowie Klubu Hippičznego śmiali się z ich szaleństw. „Mój Boże! — mówili. — Cóż to za miły hulaka z tego Ludwika! Jaka to zdumiewająca kobieta ta „mała margrabinka”! Para wariatów ciągle pijana, jakby się bała spojrzeć rzeczywistości w oczy, robi skandal po skandalu, oklaskiwana przez młodzież męską i obsypywana gradem złorzeczeń przez pełne szlachetnego oburzenia domy rodzinne

Rewolucjonista słuchał opowiadania Firmina z ironicznym uśmiechem. Przypadek Ludwika Duponta był dla niego doskonałą próbką życia próżniaczej, złotej młodzieży.

Zaledwie Salvatierra i jego towarzysz dotarli do pierwszych domów przedmieścia Jerez, a już powóz Ludwika pędząc z zawrotną szybkością znalazł się w obrębie fermy Matanzueli. Brytany zaczęły ujadać wściekle, słyszac gwar głosów, tętent kopyt końskich i brząkanie gitary.

— Jedzie nasz pan! — wykrzyknął Zarandilla. — Nie może to być nikt inny tylko on!

Zawiadomił niezwłocznie administratora, po czym obaj wyszli przed dom, aby powitać gości przy księżycu.

„Mała margrabinka” dała susa na ziemię, za jej przykładem poszli inni, po czym cała hałaśliwa gromada znalazła się w domu. Ludwik wręczył lejce Zarandilli polecając mu zaopiekować się końmi.

Rafael podszedł do nich, trzymając w rękę kapelusz.

— Jak się masz? — wykrzyknęła „mała margrabinka” bardzo swobodnym tonem. — Piękniejesz z każdym dniem.

Gdybym nie bała się gniewu Marii, pierwszego lepszego dnia zdradziłabym z tobą „tego pana”.

„Ten pan”, innymi słowy Ludwik, słyszac to cyniczne wyznanie, ograniczył się do ironicznego uśmiechu. Nie gniewał się bynajmniej o to, że kapryśna Lola wołała pełnego sił administratora niż wyniszczzonego już hulaszczym życiem pana.

Potoczył wzrokiem dokoła, jakby czyniac przegląd swej armii. Godna to była kompania: Monotieso — znakomita śpiewaczka ze swą siostrą i ojcem, weteranem tańca klasycznego, oklaskiwanym ongi na estradach najsłynniejszych hiszpańskich lokali, trzech zuchów z gęstymi brwiami i poważną miną, zawsze wspartych pod boki,

zawsze mrużących oczy i jakby unikających wzroku jakiegoś innego obwiesia. Wreszcie — puzaty młodzian w stroju przypominającym sutanną, z długimi włosami zaczesanymi gładko za uszy i z gitarą pod pachą.

— Uwaga! — rzekł Ludwik do Rafaela wskazując mu gitarzystę. — Oto mistrz Pacorro, pierwszy gitarzysta świata. Widząc, że administrator, osłupiały ze zdumienia, wlepił wzrok w znakomitość, o której nigdy nie słyszał, „gitarzysta świata” pochylił się przed nim w ceremonialnym ukłonie, jak najbardziej elegancki światowiec.

— Całuję rączki — wycedził przez zęby, potem ruszył do dalszych pokoi za całą bandą, którą wiodła „mała margrabinka”.

Żona Zarandilli i Rafael rozpoczęli przy pomocy gości przygotowania do uczyty. Dwie kopące kinkietowe lampy oświetlały wielką salę, na której białych ścianach wisiały chromolitografie z wizerunkami świętych. Banda darmozjadów zaczęła wyjmować z przywiezionych koszy różne smakołyki i trunki.

Wkrótce stół uginał się wprost pod ciężarem butelek przezroczystego jak kryształ wina różowej lub złotej barwy...

Stara Jadwiga ruszyła do kuchni, Ludwik tymczasem zaczął wypytywać administratora, gdzie są obecnie robotnicy.

— Prawie wszyscy mężczyźni opuścili fermę — odpowiedział Rafael — wobec tego, że jutro jest niedziela. Ludzie pochodzący z okolic górskich udali się do swych wiosek. Pozostali tylko Cyganie i młode dziewczęta, które będą zajęte przy okopywaniu.

Ludwik wysłuchał z przyjemnością sprawozdania. Nie lubił bawić się widząc, że robotnicy śledzą go zawistnym wzrokiem jak obcego, który tui obok nich spędza przy

jemnie czas. Nie lubił krępować się u siebie... we własnym domu. Nagle przerwał rozmowę i spojrzawszy w stronę swych towarzyszy wykrzyknął:

— Jak to? Siedzicie jak trusie? Nie pijecie? Milczycie, jakby w domu był nieboszczyk! Maestro — rzekł do gitarzysty

— puść w ruch swoje małe rączki, które umieją czynić cuda!

Gitarzysta nie dał się długo prosić i zaczął przygrywać dobywając ze swego instrumentu całą gamę żalonych i przeciągłych, to znów rwących się, krótkich tonów. Jeden z trójki obwiesiów otworzył flaszkę i zaczął napełniać złocistym płynem kryształowe szklanki. Kobiety zwabione muzyką zbiegły się z kuchni do pokoju.

— Słuchamy cię, Monotieso! — zawołał Ludwik.

Śpiewaczka zaintonowała typową dla Andaluzyjek melodię. Szyja jej naprężyła się, z piersi wydarł śpiew najpierw krótki i ostry, a potem coraz potężniejszy. Ściany fermy zadrżały.

Ojciec Monotiesy, znający doskonale swoje obowiązki, nie czekał na zaproszenie, lecz wyprowadził drugą ze swych córek na środek sali i zaczął z nią tańczyć.

Rafael po wypiciu dwóch szklanek wina usunął się przezornie, nie chcąc przeszkadzać w zabawie. Prócz tego musiał jeszcze raz obejść fermę i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Panu jego bowiem pod wpływem winnych oparów mogła nagle strzelić chęć zwiedzenia swej posiadłości. Obszedł zabudowania folwarczne, zajrzał do stajen, aby przekonać się, czy konie dobrze są obsługiwane, i wrócił do domu dopiero po upływie godziny.

Na stole stało już kilkanaście pustych butelek, towarzystwo jednak nie wydawało się bynajmniej pijane. Tylko gitarzysta szczypał struny swej gitary z nieco większą energią, reszta zaś obecnych klaskała w dłonie, jak banda

wariatów pokrzykując głośno, aby dodać animuszu tancerzowi. Czcigodny ojciec Monotiesy i jej siostry otwierał szeroko swe bezzębne usta, piszcząc kobiecym głosem, kołysał kościstymi biodrami i wciągał w siebie brzuch, konwulsyjnie poruszając zadem. Zachęcony do dalszych popisów oklaskami, głośnym śmiechem i krzykiem: — Brawo! Jakież on zabawny! — stary nie przestawał wyginać się lubieżnie, do czego podniecała go również „mała margrabinka” czyniąc na cały głos ryzykowne uwagi Mężczyźni tymczasem, zdjęci zachwytem na widok tej ohydnej w swym bezwstydzie sceny, rzucali tancerzowi pod nogi swe kapelusze. Wreszcie zlany potem, padł na fotel i poprosił o szklankę wina, na co zasłużył sobie bezsprzecznie, choćby ze względu na dokonany wysiłek. W pokoju zaległa cisza.

— Brak tu kobiet — rozległ się nagle czyjś głos.

Był to głos Chivo, który splunawszy przez zęby, wypowiedział swe tajemne życzenie dziwnie uroczystym i poważnym głosem.

— Głupcze, nie widzisz, że my tu jesteśmy?! — zaprotestowała „mała margrabinka”.

— Tak jest, nie widzisz, że my tu jesteśmy?! — powtórzyła za nią jak echo Monotieso i jej siostra.

Chivo raczył wyjaśnić swą myśl. Nie miał zamiaru ubliżyć tu obecnym paniom, chciał jedynie przez to powiedzieć, że jeśli zabawa ma być udana, należało sprowadzić większą ilość kobiet.

Ludwik zerwał się z krzesła.

— Są kobiety. W Matanzueli nigdy ich nie brak. Porwał ze stołu butelkę i kazał Rafaelowi, aby go zaprowadził do baraku dla robotników.

— Co chcesz pan uczynić? — wykrzyknął administrator.

Nie słuchając jego wywodów ani rad, Ludwik kazał mu iść przodem, sam ruszył za nim, wiodąc za sobą całą bandę. Gdy rozbawiona gromada wdarła się do baraku, olbrzymia izba była prawie pusta. Pomocnik dozorczy i jego zastępcy usiedli na ziemi przy otwartych drzwiach, sycąc się czarem wiosennej nocy i pięknem krajobrazu zalanego błękitną poświatą księżycową. Kobiety drzemały po kątach albo siedząc małymi grupkami słuchały w nabożnym skupieniu cudownych bajek ó czarownicach lub legend z życia świętych.

— Pan idzie! — oznajmił administrator stając w progu.

— Wstawać! Wstawać! Kto chce wina? — wykrzyknął jowialnie Ludwik.

Zaskoczeni nieoczekiwanymi odwiedzinami, wszyscy obecni zerwali się na równe nogi, uśmiechając się odruchowo. Dziewczęta wpatrzyły się z zachwytem w „małą margrabinkę” i jej towarzyszkę podziwiając ich piękne, w kwiaty haftowane szale oraz cudnie uczesane główki. Mężczyźni podeszli nieśmiało do pana, wpatrując się w butelkę, którą trzymał w ręku. Po chwili wahania zaczęli pić. Świetne wino, dostępne tylko dla bogaczy, wprowadziło ich w stan dziwnej błogości.

— Nasz Don Ludwik to porządny człowiek! — mówili w duchu. — Niewątpliwie trochę pomyłony, ale jest to dobrze wszystkim znana cecha młodości! Przy tym ma dobre serce. Oby wszyscy panowie byli podobni do niego!

Ocierając usta dłonią, nie przestawali powtarzać:

— Ależ wino! No! No! To dopiero wino!

Stara gitana, matka Alcaparrona, napiła się również. A jej syn, zrazu wypędzony brutalnie przez Rafaela, wkręcił się sprytnie do orszaku, ciągle szczerząc dokoła Ludwika swe białe zęby w najuprzejmiejszym pod słońcem uśmiechu.

Ludwik zaczął przemawiać wymachując ręką jak sztandarem. Oznajmił wszem wobec, że przyszedł tu, aby zaprosić dziewczęta do siebie na wieczór, rzecz oczywista, najładniejsze. Taki już jest: prosty i szczerzy w obejściu! Niech, żyje demokracja!

Młode wyrobnice rumieniły się na widok pana. Niektóre z nich widziały go po raz pierwszy w życiu i kryły się po kątach, spuszczać skromnie oczy. Ludwik wybierał, głośno wykrzykując:

— Ta! Ta! Ta!

Wybór padł również na Marię, kuzynkę Alcaparrona.

— Ty pójdziesz również! Nie jesteś piękna, podobasz mi się jednak, a zresztą będziesz nam śpiewać!

— Och! Ma głos serafina! — wtrącił Alcaparron chcąc skorzystać ze sposobności, aby wkręcić się na zabawę.

Tymczasem dziewczęta zreflektowały się nagle i jakby przeczuwając grożące im niebezpieczeństwo, nie chciały przyjąć zaprosin.

— Już jesteśmy po kolacji — mówiły. — Dziękujemy za zaszczyt!

Mimo to jednak śmiały się po cichu i z zadowoleniem szeptały coś do siebie, widząc zawiedzione miny dziewcząt nie zaszczyconych zaprosinami. Matka Alcaparrona zaczęła je nakłaniać:

— Dlaczego odmawiacie, głupie gąski! Jeśli już nie chcecie opchać się tymi wszystkimi smakołykami, jakie was tam czekają, nie odrzucajcie przynajmniej tego, co pan da wam za fatygę. Ach! Niejeden raz w moim życiu najadłam się do syta dzięki markizowi, ojcu promiennego

słoneczka, które wam dziś przyświecać będzie.

To mówiąc wskazała „małą margrabinę”, która przyglądała się z ciekawością młodym dziewczętom, jakby doszukując się pod ich brudnymi łachmanami ukrytych wdzięków.

Zastępca dozorczy podniecony winem, którego jedna szklanka obudziła w nim jeszcze większe pragnienie, po~ myślał o butelkach, które pan mógłby mu jeszcze ofiarować i zaczął również namawiać dziewczęta do uległości:

— Możecie iść za panem bez obawy. Ja ręczę za to, ja, któremu rodzice oddali swe córki pod opiekę.

— To człowiek dobrze wychowany — mówili jego pomocnicy — a zresztą będziecie w towarzystwie pań. Sami dobrze wychowani i przywoici ludzie.

Dziewczęta nie opierały się już dłużej: Wkrótce spora ich gromadka ruszyła na pokoje w towarzystwie samego pana i jego gości.

Reszta na sali zaczęła się oglądać za gitarą. Noc zapowiadała się zachęcająco! Odchodząc pan polecił administratorowi przysłać im tyle wina, ile tylko zażądata. Jakież dobry pan był ten Don Ludwik!

Żona Zarandilli przy pomocy młodych góralek nakryła do stołu. Dziewczęta, znalazłszy się w towarzystwie, nabrały nagle pewności siebie. Don Ludwik był dziwnie dla nich uprzejmy: z butelką wina na tacy obchodził je kolejno, przepijając do każdej. Stary tancerz zaczął opowiadać im na ucho nieprzyzwoite anegdotki, a one rumieniły się wybuchając dziwnym jakimś śmiechem, podobnym do gdakania kur.

Rafaël stał przy drzwiach. Nie chcąc ubliżyć panu nie wiedział, czy ma pozostać, czy odejść,

— Siadaj, mój przyjacielu — rzekł Ludwik wspaniałomyślnym tonem. — Pozwalam ci na to.

Biesiadnicy zaczęli robić miejsce dla administratora, nagle „mała margrabiną” podniosła się z krzesła i przywołała go do siebie.

— Siadaj tu, przy mnie.

Wróciła na swoje miejsce. Rafaël usiadł przy niej i nagle wydało mu się, że tonie w powodzi spódnicy pięknej

Loli i w puchu jej koronek. Siedział tuż, tuż przy niej, jakby przyklejony do jej ciała, od którego bił jakiś upojny żar. Dziewczęta wzdrygały się na razie przed spożyciem, czegokolwiek bądź, zapewniając, że nie są głodne, bo jadły wczorzą. Nie są zresztą przyzwyczajone do pańskich potraw, które mogą im zaszkodzić.

Ale zapach mięsiwa, dania godnego bogów, jak zapewniali robotnicy, które widywały tylko z daleka, uderzył im do głowy silniej od wina. Jedna po drugiej zaczęły sięgać po nieznane potrawy, a zasmakowawszy w nich pochłaniały je tak, jakby pościły od dłuższego czasu.

Ludwik podziwiał ich żarłoczność i na ten widok doznawał tyleż zadowolenia co ze spełnienia miłosiernego uczynku. Lubił czasem być demokratą i dobrym kolegą nawet w stosunku do największych biedaków. — Brawo! Brawo! Masz dobre ząbki! — wołał. — A teraz pijcie, moje panienki, żeby wam nie zaszkodziło. Coraz więcej butelek świeciło już dnem, coraz więcej lic dziewczęcych rumieniło się, tracąc chorobliwy wygląd zwiędłego kwiatu. Sok mięsny pobudził je do życia, a perliste 'krople wina spływały z ust aż na podbródek. Jedyne gitana Maria nie jadła wcale, bo ciągle niedomagając nie miała nigdy apetytu. Korzystał z tego Alcaparron i z niezrównaną zręcznością chwycił wszystko, co mu wręczała ukradkiem siostra. A potem szybko wybiegał na podwórze, aby zjeść tam zdobyte sprytnie przysmaki. Biedna dziewczyna piła jednak na umór, „pańskie” wino było dla niej najpiękniejszą częścią programu uczy. Rafael jadł bardzo mało. Sąsiedztwo „małej margrabinki” wytrąciło go z równowagi. Piękność jej ciała stworzonego do miłości, jego odurzający zapach i tak niezwykła na wsi czystość miały tyle uroku, że Rafael stracił głowę. Lola z kolei, szybko poruszając nerwowymi chrapkami,

z rozkoszą wciągała w siebie swoisty zapach wiejski, ostrą woń juchtowej skóry i końskiego potu, — Pij, Rafaelu! — mówiła. — Rozruszaj się! Spójrz na mego chłopca: czy widzisz, jak te wieśniaczki zawróciły mu w głowie?

I wskazała mu Ludwika. Ten zapomniawszy zupełnie o jej obecności i pociągnięty urokiem nowości, zalecał się właśnie do swych sąsiadek, dwóch pięknych wieśniaczek, których źle umyte ciała wydawały dziwnie drażniącą woń. Wieczera skończyła się prawie o północy. W sali był upał nie do zniesienia. Zapach porozlewanych trunków i wyziewy nie strawionego jada mieszały się ze śwędem naftowych lamp, zatruwając atmosferę. Robotnice ze szkarłatnymi wypiekami na twarzy z trudem chwyciły powietrze. Z dala od dozorców, mających otoczyć je opieką, dziewczęta przestały udawać niewiniątka. Całą swą istotą napawały się chwilą obecną, która w ich szarej, wiecznie jednostajnej egzystencji była pierwszym, jakimś cudownym przeblaskiem zupełnie innego życia. Każda z nich czuła, jak ją obejmują męskie ramiona, nie opierała się jednak. Przeciwnie, z błogim uśmiechem ulegała słodkiej przemocy, rozgrzeszając się z góry z wszelkiej lekkomyślności, na jaką pozwoliłaby sobie pod wpływem rozkosznego uczucia dosytu i beztroski. Monotieso i jej siostra, pijane i wściekłe na widok mężczyzn zalecających się do tych „chamek”, umyśliły rozebrać Alcaparrona do naga. Drżąc o swoją cnotę biedny chłopiec, który nigdy jeszcze nie pozwolił sobie na to wobec żadnej kobiety, ulotnił się sprytnie. „Mała margrabinka”, niemniej pijana od innych, tuliła się coraz namiętniej do Rafaela. Zmuszany przez nią do picia czuł, że zaczyna mu się mącić w myślach. Marszczył

nerwowo brwi, spuszczał głowę i błyskał oczami płonąć dziką chęcią wyzwania do walki jednego z drabów stanowiących orszak Ludwika. Zmieszanie i niepokój Rafaela zaczęły przechodzić w gniew, bał się bowiem pieszczoty tego gorącego ciała, które tuliło się do niego. Próbował kilkakrotnie wstać i pod pierwszym lepszym pretekstem. Opuścić salę, ale uścisk drobnej, nerwowej rączki zatrzymywał go za każdym razem. — Zostań, nicponiu! — szeptała wtedy „mała margrabinka”. — Jeśli ruszysz się z miejsca, wyszarpię ci wnętrzności. Wspierając na dłoni jasnowłosą główkę, siedziała nieruchomo, przyglądając się młodemu mężczyźnie spod przymkniętych powiek. Jej piękne błękitne oczy nabierały wtedy wyrazu takiej czystości, jak gdyby nigdy w życiu nie widziały nic gorszego ani grzeszniejszego. Tymczasem Ludwik zasypując komplementami dwie siedzące obok niego wieśniaczki, postanowił olśnić je swoją odwagą. Chwyciwszy w pewnej chwili szklanę, cisnął nią nagle w głowę siedzącego naprzeciw Chivy. Dzika maska byłego galernika skurczyła się. Szarpnął się tak, jakby chciał powstać i sięgnąć ręką do zewnętrznej kieszeni kurtki. Przez chwilę zaległa salę pełna niepokoju cisza, uszkodzony jednak opanował się i pozostał namiejscu.

— Don Ludwiku — rzekł z krzywym uśmiechem — jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogłem pozwolić na coś podobnego, a to dlatego tylko, że jesteś dla mnie ojcem.  
— Tak, lecz również dlatego, że jestem odważniejszy od ciebie! — wykrzyknął Ludwik z arogancją.  
— To prawda — oświadczył Chivo z obłudnym uśmiechem.

Ludwik obrzucił przerażone dziewczęta dumnym spojrzeniem, które zdawało się mówić: „Nieprawdaż, że macie przed sobą prawdziwego mężczyznę?”

Śpiewaczka z siostrą i ich ojciec, hojnie opłacani przez ambitnego panka i towarzyszący mu wszędzie, znali go na wylot. Toteż pośpieszyli odegrać komedię do końca, ustalając głośno:

— Bravo! Niech żyją prawdziwi mężczyźni! Dalej! Wina! Wina!

Wszyscy, nie wyłączając poszkodowanego, wzniesli toast za zdrowie triumfatora. Don Ludwik zdjął kurtkę i kamizelkę, jak gdyby go przytłaczał ciężar wielkości, potem wstał z miejsca, trzymając za ręce obie wieśniaczki.

— Po co siedzimy tu i spoglądamy na siebie jak barany? Ponieważ mamy dziś noc rozkoszy, cieszymy się, bawmy i ściskajmy się przy księżycu!

Wszyscy, pijani i żądni świeżego powietrza, niewiele myśląc rzucili się na dwór. Większość dziewcząt poszła za przykładem mężczyzn. Idąc chwiejnym krokiem, opierały swe głowy o piersi kawalerów. Mistrz Pacorro dotknął strun gitary, która wydała cichy jęk.

Rafael wstał również, jednakże mała i nerwowa rączka zatrzymała go znowu.

— Ty... zostań i dotrzyмай mi towarzystwa. Niech się bawią tamci... Nie uciekaj, wariacie! Pomyślałby ktoś, że się mnie boisz.

Administrator, mogąc już teraz poruszać się swobodnie, odsunął swoje krzesło od Loli. Lecz „mała margrabinka” nie chciała puścić swej zdobyczy i przytuliła się do niego jeszcze namiętniej. Nic nie pomógł jego opór, nie mógł uniknąć niebezpiecznej bliskości jej ciała.

Na podwórzu rozległy się dźwięki gitary mistrza Patorra, muzyce towarzyszył śpiew artystek, które klaskały jednocześnie w dłonie. Obok drzwi wejściowych zaczęły

przebiegać robotnice, za którymi uganiali się mężczyźni. Raz po raz wybuchały nerwowym śmiechem, jak gdyby łaskotał je oddech tych, których czuły za swymi plecami. Rafael, choć również pijany, miał jedną tylko myśl i pragnienie: uciec od zuchwałych rąk „małej margrabinki”, uniknąć kontaktu z jej pełnym pokus ciałem. Usunął się więc od niej, walczył niezdarnie, przeświadczony w głębi duszy, że będzie musiał ulec. Milczał jednak, sterroryzowany wciąż dla przedstawicielki wyższej klasy społecznej. Córka markiza... A on?... Tylko chłop! Myśl ta przykuła go do krzesła, obezwładniając jego wolę i energię. Przemówił wreszcie:

— Zostaw mnie pani w spokoju... Pani Lolu... To niemożliwe!

Gdy „mała margrabinka” zobaczyła, że Rafael unika jej pieszczot ze skromnością niewinnej dziewczyny, wybuchnęła obelgami:

— Nie jesteś już dawnym dzielnym chłopcem! Gdzie się podział zuchwały kontrabandzista, który włóczył się w Jerez po wszystkich knajpach adorując podejrzanego typu kobiety! Ta Maria rzuciła na ciebie urok! Cnotka, do której zalecają się wszyscy robotnicy na fermie!

Obrzuciła ukochaną Rafaela całym stekiem obelżywych epitetów i oszczerczych zarzutów. Rafael pozostał nieczuły na jej wybuch. Wolał już to. Kiedy się gniewała, czuł w sobie więcej energii do odparcia pokusy.

Podwajając atak z zapalczewością kobiety, która wie, że nią gardzą, nie dawała jednak za wygraną.

— Tchórz! — krzyczała z pijackim gniewem. — A więc ci się nie podobam?

Zarandilla wszedł szybko do pokoju, chcąc najwidoczniej rozmówić się z administratorem. Nagle zatrzymał się w miejscu, bo przy drzwiach rozległ się gniewny głos pana:

— Z chwilą gdy ja tu jestem, administrator nie ma. nic do gadania. Ja tylko rozkazuję! Mnie musisz słuchać, ty — ślepowronie!

Stary wyszedł z pokoju jeszcze szybciej, niż wszedł, i nic nie powiedział.

Upór „małej margrabinki” doprowadził Rafaela do rozpacz. Och! Gdyby nie obawa, że poróżni się z panem, który może mu wymówić posadę!... A wtedy — żegnaj piękny śnie o małżeństwie z Marią!

Lola wciąż jeszcze ubliżała mu, ale już z mniejszą gwałtownością ruchów. Rzekłbyś, działanie wina sparaliżowało jej zmysły; pozostawiając tylko dar słowa. Złożyła głowę na piersi Rafaela, przymknęła oczy upajając się wonią jego ciała. Po chwili upadła całym ciężarem na jego kolana, jakby budząc się z bezsilności.

— Zdejmę z siebie spódnicę, a ty ją wdziejesz... Ty, durniu! Będziesz nazywać się Maria jak ta indyczka — twoja kochanka...

Na podwórzu rozległy się nagle pełne śmiertelnej trwogi okrzyki, którym towarzyszyły wybuchy głośniego śmiechu. Za chwilę dał się słyszeć tupot nóg, ocieranie się ciał ludzkich o ściany, jakby odgłos zamętu i ucieczki przerażonych niebezpieczeństwem, istot ludzkich.

Rafael zerwał się na równe nogi, nie troszcząc się już wcale o „małą margrabinkę”, która potoczyła się na podłogę. Trzy młode robotnice wpadły nagle do pokoju tak gwałtownie, że po drodze przewróciły kilka krzeseł... Twarze ich były śmiertelnie blade, źrenice rozszerzone lękiem. Pochyliły się ku ziemi, jakby chcąc ukryć się pod stołem.

Administrator wybiegł z pokoju. Na samym środku podwórza ujrzał ciężko dyszące zwierzę, które wpatrywało się uporczywie w księżyc, jakby zdumione tym, że jest na wolności. Tuż obok jego nóg leżał... nikły biały kształt.

W cieniu, jaki rzucał na ziemię dach domu, pod samą ścianą rozległy się wybuchy męskiego śmiechu i przeraźliwe krzyki kobiet. Mistrz Pacorro stał nieruchomy na kamiennej ławce, szczypiąc z niewzruszoną powagą struny gitary. — Biedna, mała Maria! — jęczał Alcaparron. — To zwierzę zabije ją! Zabije!

Administrator zrozumiał nagle wszystko... Był to pański żart! Zabawny żart! Chcąc sprawić swym gościom niespodziankę i uśmieć się do woli z przerażenia kobiety Don Ludwik zmusił Zaranillę do wypuszczenia z obory młodego byka. Gitana, którą dogoniło bydło, upadła na siemię zemdlna ze strachu... Zabawa udała się!

## ROZDZIAŁ VI

Gitana Maria umierała powoli. Alcaparron głośił to afiszem wobec i każdemu z osobna, nie zwracając uwagi na protesty swej matki.

— Czy ty się na tym znasz, głupcze! Znałam już takich, którzy mieli się jeszcze gorzej, a przecie odzyskali swe Mrowie dzięki lekom mej kumy.

Chłopak jednak nie ufał wiedzy owej kumy i instynktem człowieka bliskiego przeczuwał niechybną śmierć biednej dziewczyny. Wszystkim więc mieszkańcom fermy i robotnikom zatrudnionym w polu tłumaczył długo i szeroko, jakie były przyczyny tej choroby.

— Przekłety żart naszego pana! Biedaczka zawsze była delikatna i wątpa. Strach, jakiego się nabawiła, dobił ją. Oby Bóg...

Respekt wobec bogacza, tradycyjna uległość przed panem powstrzymywały wydzierające się na usta przekleństwo. Nie chcąc, by dziewczyna wyczytała z jego oczu swój wyrok, spoglądał na nią z daleka. Nie miał odwagi zbliżyć się do kąta sali, w którym leżała na nędznym barłogu odstąpionym jej z litości przez jednego z robotników.

Matka Alcaparrona w dwa dni po nocnej orgii zauważyła, że jej siostrzenica gorączkuje i nie może wstać da pracy. Jako wróżbiarka, a więc do pewnego stopnia znachorka, od razu zrozumiała, że podłożem choroby był przestrah.

— Biedaczka mała... miała... wiecie chyba, co może mieć czasem dziewczyna. W takim okresie nagle przerażenie jest niebezpieczne. Zepsuta krew uderzyła na piersi i dusi ją. Oto dlaczego chce ciągle pić, jakby woda z całej rzeki nie była zdolna ugasić jej pragnienia.

Stara znachorka, idąc do pracy w pole, stawiała przy chorej dzban napelniony wodą.

Biedna dziewczyna spędzała dzień cały zupełnie sama, a jedyną jej rozrywką były odwiedziny kóregoś z psów podwórzowych. Po obwąchaniu chorej zwierzę głucho warcząc przyglądało się jej, a potem młasnawszy ciepłym, mokrym ozorem kredowo bladą twarz dziewczyny, oddalało się odepchnięte jej drżącymi rękami. Drugim gościem były złote promienie południowego słońca, to znów natrętne muchy, które swym brzękiem ożywiały nieco martwość pustej sali. Czasem też odwiedzał ją Zarandilla i jego żona.

— Odwagi! — mówili do niej — wyglądasz dziś o wiele lepiej: Najważniejsze jest, abyś wyrzuciła ze siebie całe zło, które ci sprawia ból.

Chora uśmiechała się słabo, wyciągając wychudłą rękę po dzban. Potem zaczynała pić, pić bez końca, łudząc się nadzieją, że woda rozpuści ognistą kulę, która piekła ją i dusiła rozpalając całe ciało ogniem gorączki.

Dopiero wieczorem, gdy przez uchylone drzwi chora ujrziała niebo okrywane się delikatnym różowoliliowym płaszczem, rozweselała się nieco. Była to dla niej najmiłsza godzina: wiedziała, że wkrótce powrócą swoi. Uśmiechała się do wchodzących, a jej mali kuzynkowie siadali

przy niej półkolem, nie mówiąc nic, i porozumiewali się z nią jedynie wzrokiem. Ciotka zaraz zaczynała ją wypytywać, czy aby oddała zepsutą krew, która zapiekła się w jej piersi i dusiła ją.

Ożywiała ją również obecność robotników, współtowarzyszy pracy, którzy po zjedzeniu wieczornej porcji zupy podchodzili na chwilę do jej barłogu i w nieudolnych słowach starali się dodać jej ducha. Nawet groźny Juanon rozmawiał z nią co wieczór, doradzając równie radykalną kurację jak radykalny był sam.

— Przede wszystkim, moja mała, musisz jeść, opychać się, tak! Jesteś wygłodzona, to cała twoja choroba.

Po tych słowach dawał jej kawałek wędzonej ryby i spory krążek kaszanki... Chora jednak dziękowała mówiąc, że nie może nawet pomyśleć o jedzeniu.

— Ależ ja ci daję z serca! — mówił Juanon. — Sama się gubisz... dobrowolnie odmawiając jedzenia. Umrzesz na pewno, zbyt jesteś słaba, aby głodować bezkarnie.

Upewniało go w tym przeświadczeniu niezwykle wychudzenie chorej. Mięśnie jej zupełnie prawie zanikły, pozostał tylko szkielet, którego wiązania sterczały spod białej, bezkrwistej skóry. Wieczorem Alcaparron siadał z tyłu u jej wezłowania. Tam mógł uniknąć jej wzroku i płakać swobodnie, spoglądając ukradkiem na jej bladą twarzyczkę przezroczyste jak opłatek nozdrza. Całe życie, jakie jeszcze w niej było, skupiło się w głęboko zapadłych i silnie podkrążonych oczach, które co dzień były czarniejsze i coraz silniej błyszczały w głębokich oczodołach., Wystraszony jej stanem zdrowia, administrator chciał posłać do Jerez po doktora.

— Postępujesz, matko Alcaparron, nie po chrześcijańsku. Pozwalasz umierać tej biedaczce, jakby to nie był człowiek, lecz bezduszne zwierzę.



Stara jednak zaczynała protestować bardzo energicznie.

— Doktor! To dobre dla panów... dla bogaczy. A kto zapłaci doktora?

Zresztą zestarzała się już, a nigdy jeszcze nie wzywała do siebie doktora, niepotrzebny więc jest i młodej. Ludzie e jej plemienia sami posiadają sporo wiedzy w tym względzie i niejeden chory nie z cygańskiego rodu szuka u Cyganów ratunku w chorobie.

Sprowadziła do chorej swą kumę, bardzo sławną machorkę, znaną w całym Jerez i okolicy. Lekarka opukała, dziewczynę i potwierdziła jota w jotę diagnozę matki Aleaparrona. Przez całe popołudnie dwie przyjaciółki włóczyły się po pobliskich dolinach zbierając lecznicze zioła; Wreszcie udały się do żony Zarandilli prosząc ją o dostarczenie im przenajdziwniejszych ingrediencji do zbawiennego kataplazmu, który miał wrócić dziewczynie zdrowie, Wieczorem robotnicy przyglądali się w milczeniu i z należnym respektem dziwnym praktykom dwóch czarownic gotujących z wielką powagą i namaszczeniem jakiś płyn Gdy kociołek zagotował się już kilkakrotnie, lekarki dały chorej do napicia się jakichś ziółek, potem przyłożyły je): na piersi plaster. Kuma orzekła, że mogą ją nazwać partaczką, jeśli chora w ciągu dwóch dni nie pozbędzie się piekącej kuli w piersiach.

Dwa dni jednak minęły, po nich jeszcze dwa, a Maria nie czuła polepszenia.

Alcaparron wychodził płakać na dwór, aby swymi łzami nie sprawić kuzynce niepokoju.

— Ach, panie administratorze — żalił się przed Rafaelem pełnym rozpaczny głosem. — Nie ma już dla niej ratunku.

Moja matka nie chodzi teraz do pracy, zostaje przy chorej, aby jej doglądać. Biedaczka nie może wcale leżeć, nawet gdy chce spać. Czuje się znośnie jedynie w pozycji

siedzącej, lecz wtedy oddycha z trudem. Oddech jej jest tak świszczący jak oddech rannego ptaszka.

Rafaël odwiedzał chorą jedynie wtedy, gdy robotnicy byli w polu. Choroba Marii i orgia, jaką urządził Ludwik aa fermie, podkopały zaufanie robotników do administratora.

Niektóre spośród góralek po wytrzeźwieniu nie chciały pozostać w Matanzueli ani chwilę dłużej. W ostrych słowach czyniły swym przełożonym wymówki za to, że oni pierwsi namówili je do przyjęcia zaprosin na tę przeklętą ucztę. Opowiedziawszy robotnikom, którzy wrócili z domu do pracy, co się stało, porzuciły fermę i wyruszyły w drogę powrotną, mówiąc wszystkim po drodze o skandalu.

Robotnicy po powrocie na fermę nie zastali już tam pana. Po wytrzeźwieniu wesoła banda wróciła do Jerez ściągając na siebie powszechne oburzenie swym zachowaniem się. Robotnicy zdjęci gniewem zwalili całą odpowiedzialność za wszystko na administratora. Pan był daleka a administrator pod bokiem. Zresztą pan płacił, źle czy dobrze, ale płacił, a administrator tylko... wymagał.

Niektórzy spośród robotników, którzy spędzili ową noc aa fermie,, zmuszeni byli poprosić o rozliczenie ich i zmienić potem służbę. Koledzy zmusili ich do tego.

— Banda pijaków! Za cztery butelki wina sprzedali dziewczyny, które mogłyby być ich córkami!

Juanon wystąpił jawnie przeciw Rafaelowi.

— A więc to ty — rzekł spluwając z pogardą — to ty dostarczasz swemu panu dziewcząt, aby mógł się z nimi nabawić? Daleko zajdziesz, Rafaelu. Teraz wiemy już, do czego jesteś zdolny!

Rafaël skoczył jak źgnięty sztyletem,

— Jestem zdolny do tego, do czego jestem zdolny! — odpowiedział z gniewem. — A również i do walki na śmierć i życie z każdym, jeśli tego zajdzie potrzeba.

Obrażony w swej dumie, gotował się do walki na noże, czekając tylko na najłżejszą prowokację. Chcąc dowieść, że nie bał się gniewu Juanona ani jego towarzyszy żądnych odwetu za popędzanie ich do pracy, usiłował usprawiedliwić pana.

— Wiecie dobrze, że każąc wypuścić z obory byka Don Ludwik nie chciał nikomu uczynić krzywdy. Był to zwykły żart. Reszty dokonał ślepy przypadek.

Duma nie pozwoliła przyznać mu się, że to on właśnie uratował biedną gitaną i odegnał byka, który szarpał rogami spódnicę zemdlonej dziewczyny. Nie wspomniał też o gwałtownym starciu z panem, któremu wyrzucał jego zachowanie się, ani o tym, że podrażniony Don Ludwik chciał go spoliczkować, on zaś ścisnąwszy dłoń fanfaronu w swej żelaznej ręce, drugą sięgnął po sztylet. Wówczas Chivo usunął się na stronę, mimo że pan jego wrzeszczał na całe gardło: — Zabij tego człowieka!

Drżąc przed siłą pięści administratora, Chivo załagodził zatarg, zapewniając Don Ludwika, że Ludwik, Rafael i Chivo to ludzie jednego pokroju i siły, słowem pod każdym względem dzielni chłopcy, a dzielni chłopcy nie mogą wadzić się ze sobą. Zapito więc zgodę, tymczasem „mała margrabinka” chrapała pod stołem, a przerażone dziewczęta uciekły do baraku.

Gdy po tygodniu Don Ludwik wezwał Rafaela do Jerez, udał się tam w przeświadczeniu, że pan wymówi mu posadę. Tymczasem lekkomyślny wariat przyjął go jak najlepiej.

Zakomunikował mu przede wszystkim nowinę, że ubiegłego dnia zerwał z „małą margrabinką”. Zmęczyły go jej kaprysy i skandaliczne zachowanie się. Chciał się poprawić, aby nie zasmucać Don Pabla, który był mu prawdziwym ojcem. Pragnął poświęcić się polityce i kandydować na posła.

Wkrótce jednak zmęczyła go rozmowa. Zamilkł i wpatrując się badawczo w swego administratora, rzekł:

— Czy wiesz, Rafaelu, że z ciebie zuch chłopiec! Była to jedyna aluzja do pamiętnej sceny z owej nocy.

Potem, jakby żałując zbyt pochopnie rzuconych słów uznania, dodał ze skromną miną:

— Tak, tak! Ty, Chivo i ja — to trójka ludzi najbardziej godnych imienia mężczyzny. W całym Jerez nie znajdziesz takich, którzy by nam mogli sprostać.

Rafael słuchał słów jego w milczeniu, jak na dobrego podwładnego przystało. Jedna tylko sprawa obchodziła go naprawdę: czy Don Ludwik pozostawi go w Matanzueli.

Pan zaczął wypytywać go teraz o nowiny z fermy. Jeden z jego kuzynów, człowiek bardzo bogaty, opowiadał mu o jakiejś gitanie, która zachorowała z przestachu. Co to była za historia?

Ze znudzoną miną słuchał opowiadania Rafaela.

— Ależ to przesada — rzekł w końcu. — Chora ze strachu na widok młodego byka! To zakrawa na farsę.

I zaraz wyliczył szereg podobnych zabaw urządzanych przez jego znajomych. Każda prawie kończyła się w podobny sposób, nikt jednak nie chorował ze strachu. Zakończył swe przemówienie pańskim gestem: — Daj tym biedakom wszystko, czego będą potrzebowali. Wypłacaj dziewczynie dniówkę przez cały czas jej choroby. Chcę dowieść Don Pablowi, że jestem lepszy, niż mu się zdaje, i że ja również potrafię być miłosierny.

Rafael po wyjściu od Ludwika dosiadł konia zamierzając wstąpić jeszcze do Marchamalo, musiał jednak zatrzymać się przed Klubem Hippicznym.

Kilku najbogatszych w mieście młodzieńców, którzy zebrali się tam na hulankę, zatrzymało go wypytyjąc o szczegóły tego, co zaszło w Matanzueli. Ludwik lubił czasem wyolbrzymiać swe przygody i szaleństwa. Rafael opo

wiedział im szczegóły zabawy, a słuchacze jego śmiali się na całe gardło. A więc to była prawda? A więc młody byk uganiał się istotnie za pijanymi robotnikami! Cóż za zabawny pomysł! Doprawdy trzeba mieć pecha, żeby nie widzieć widowiska. Niektórzy z nich, zaproszeni owego dnia przez Ludwika na zabawę, żalowali teraz serdecznie, że nie skorzystali z zaproszenia.

Jeden z nich zapytał jeszcze Rafaela, czy to prawda, że jakaś dziewczyna zachorowała ze strachu. Gdy Rafael odpowiedział twierdząco, dodając, że jest to Cyganka, słuchacze wzruszyli ramionami.

— Cyganka! Gitana! Nic jej nie będzie! Wyzdrowieje!

Inni znowu na wieść o tym, że chora gitana jest ku gynną Alcaparrona, znanego powszechnie nicponia, wyrażali swą radość. Wkrótce zapomniano o chorej i powrócono do wesołej zabawy. Posypały się pytania, co robiła „mała margrabinka”, kiedy jej kochanek bawił się w toreadora? Czy także biegała po podwórzu?

Gdy już ciekawość została całkowicie zaspokojona, przedstawiciele złotej młodzieży wrócili do Klubu nie racząc nawet kiwnąć głową w stronę administratora.

Rafael dosiadł konia i ruszył galopem do Marchamalo chcąc przybyć tam jak najprędzej. Już od dwóch tygodni nie widział Marii.

Przyjęła go bardzo źle. Wieści o głośnej zabawie doszły jej uszu dopełnione szeregiem kłamliwych dodatków. Stary Firmin chmurzył się i potrząsał głową z wyraźnym niezadowoleniem. Rafael nie zastał go teraz w domu, córka zaś skorzystała z nieobecności ojca, aby zrobić Rafaelowi scenę, jak gdyby on tylko był odpowiedzialny za cały skandal. Oto dlaczego nie widać cię było u nas przez całe dwa tygodnie. Szanowny pan wraca do swoich dawnych narowów. Z fermy, która miała być w mych marzeniach,

gniazdem miłości, szanowny pan uczynił dom orgii i bezwstydu. Wracaj tam, skąd przyjeżdżasz, wstrętny hulako i nigdy już tu nie zaglądaj! Znam cię teraz dobrze.

Biedny, niesłusznie zelżony wielbiciel, ledwie zdołał powstrzymać się od łez. Taka niesprawiedliwość! Ładnej doczekał się nagrody za swą wierność i za siłę woli, z jaką odparł gwałtowny atak „małej margrabinki”. Milczał o swym bohaterstwie nie chcąc kłaść uszu Marii podobną sromotę. Tłumaczył swą bierność zależnością służbową od Don Ludwika. Jej ojciec nie postąpiłby inaczej mając podobnego pana.

W końcu Maria uspokoiła się nieco, Rafael jednak wracał do domu przygnębiony jej surowością. Miał dosyć Don Ludwika, jego zabaw, jego robotników, pretensji Marii słowem — wszystkiego. Wszystkiego.

Zaledwie zdążył zsiąść z konia, ujrzał Alcaparrona błędzącego bez celu po całej fermie, jakby mu było za ciasno; wewnątrz baraku.

— Maria umiera, panie Rafaelu! — wykrzyknął. — Cierpi straszliwie już od tygodnia. Biedaczka może tylko siedzieć... Przy tym wyciąga ramiona i porusza rękami — o tak! Jak gdyby chciała schwytać uciekające z niej; zdrowie. Biedna Maria! Moja uwielbiana.

Administrator wszedł do baraku dla robotników.

Już od drzwi usłyszał świszczący oddech chorej. Dusząc się szarpała na sobie nędzne łachmany, odsłaniając wyschniętą pierś dogorywającej gruźliczki. Pierś ta była biała jak papier i płaska jak deska. Tylko dwie brunatne brodawki zabłąkane pomiędzy żebrami przypominały, że ten żywy szkielet był istotą płci żeńskiej. Chwiała głową w prawo i w lewo; zdawało się, że chciała wciągnąć w. płuca wszystko powietrze, jakie było w izbie.

Chwilami źrenice jej rozszerzały się nagle z wyrazem lęku. Jak gdyby ręce, które wciąż poruszały się niespo

kojnie, dotknęły nagle czegoś lodowatego, niewidzialnego dla jej oczu.

Matka Alcaparrona, bardziej zatrwożona teraz niż na początku choroby, wykrzyknęła na widok Rafaela.

— Ach, gdyby tylko mogła wyrzucić z siebie wszystkie nieczystości, jakie ma w swoim ciele!

Otarła zimne i śliskie czoło chorej z potu i podając jej dzban z wodą rzekła:

— Pij, jagódka moja! Moja ty biała gołąbko! Biedna, śmiertelnie ranna gołąbka napiła się wody, po czym wysunęła ze zsiniałych ust wyschnięty, ciemnoczerwony język chcąc go trochę ochłodzić.

Suchy kaszel zaczął wstrząsać jej piersią. Kaszłała i pluła gęstą flegmą. Ciotka pokiwała głową. Nie na to czekała. Z ust chorej powinna była buchnąć czarna, zepsuta krew, która uniosłaby z sobą nurtujące biedaczkę zło.

Gdy administrator oznajmił jej, że w imieniu pana ma jej wręczyć pięć duros, oczy starej błysnęły rozczuleniem:

— Don Ludwik jest naprawdę uprzejmym mężczyzną. To ten pech dziewczyny narobił tyle zła! Dobry pan! Niech Bóg wynagrodzi mu za to w trójnasób.

Odprowadziła administratora aż do drzwi, nie przestając wychwalać pana. Nie zapomniała przy tym zapytać Rafaela, kiedy ma pójść do kantoru, aby odebrać pieniądze.

Minęły dwa dni, a stan Marii wciąż pozostawał bez zmiany. Robotnicy przywykli już do widoku skurczonej i kaszłającej głucho dziewczyny. Przechodzili koło niej głośno rozmawiając i śmiali się swobodnie, nie darząc jej nawet spojrzeniem. Odwracali w jej stronę głowy wtedy tylko, gdy świszczący oddech przycichał. Chcieli sprawdzić, czy śmierć, ta najlepsza lekarka, nie zamknęła jej oczu na zawsze. Alcaparron spędzał teraz dni całe przy

barłogu chorej. Nie miał odwagi iść do pracy w obawie, że powróciwszy nie zastanie już Marii przy życiu.

Aż wreszcie pewnego popołudnia stara zaczęła wydawać głośne okrzyki. Maria konała. Mimo iż do ostatniej chwili z trudem tylko poruszała rękami, teraz zaczęła nagle rzucać się z niezwykłą siłą, jaką niekiedy ludzie wykazują przed samą śmiercią. Opierając się na piętach i na głowie wygięła ciało w wysoki łuk, pierś jej wypięła się, twarz, wykrzywiła i zsiniała.

— Jezus, Maria — jęczała stara — umiera! Skona mi na rękach! Synu! Synu!

Alcaparron, zamiast przyjść matce z pomocą, wybiegł pędem z baraku w stronę gościńca wiodącego do Jerez. Widział bowiem niedawno mężczyznę zmierzającego do oberży „Pod Krukiem”. To był on, niezwykle człowiek, którego wielbili wszyscy biedacy. Biegł teraz do niego. Gnała go gorąca wiara, że tylko on, nikt inny, potrafi zażegnać nieszczęście.

Salvatierra rozmawiał właśnie ze swym starym, towarzyszem niedoli Matacardillosem, którego dręczyły straszliwe bóle. Nagle zamilkł zdumiony na widok chłopca, który wpadł do izby, tocząc dokoła błędnym wzrokiem, a potem rzucił mu się do nóg czepiając się błagalnym ruchem jego rąk.

— Don Fernando! Ty możesz się błąkać wszędzie! Gdy chcesz, czynisz cuda!... Moja kuzynka... Moja droga Maria... jest umierająca... kona... Don Fernando... kona!

Salvatierra w oka mgnieniu nie namyślając się ani chwili, działając jak we śnie, wybiegł z oberży. Przodem pędził Alcaparron ciągnąc go z całych sił za rękę i modląc się głośno.

W półmroku, jaki panował w baraku, rozwidnionym jedynie małą lampką trzymana przez jednego z braci Alca

parrana, Salvatierra ujrzał sine wargi Marii, boleśnie wykrzywione w przedśmiertelnym skurezu. Ujrzał olbrzymie, szeroko otwarte, błędne oczy, z których wyzierał bezbrzeżny lęk przed niewiadomem. Przybyły odkrył bezwiednym ruchem głowę i znieruchomiał przy posłaniu biednego dziewczęcia.

Nie było ratunku. Zaczęła się agonია, straszna walka ze śmiercią, która czeka każdego człowieka.

Stara upierała się przy swej diagnozie, z zapalem tłumacząc Salvatierrze, co było przyczyną choroby biedaczki.

Salvatierra jednak potrząsnął przecząco głową. Obeznany nieco z podstawowymi zasadami wiedzy lekarskiej widział, że ma przed sobą typowy przypadek gwałtownych, zabijających jak piorun,, galopujących suchot.

Zaczął wypytywać matkę Alcaparrona o rodziców umierającej. Na pewno alkoholicy? Stara zaprotestowała. — Jej biedny ojciec pił nie więcej od innych. Tyle tylko, że miał mocną głowę i mógł więcej znieść. Przyjaciele zwali go wskutek tego „Gąsiorem”. Nikt jednak nie wdział go nigdy pijącego... nigdy!

Salvatierra usiadł na uboczu i przyglądał się agonii, Oplakiwał śmierć tej biedaczki, której nigdy przedtem nie widział. Dziewczę było nieszczęśliwą ofiarą dziedziczości po ojcu alkoholiku, który zmarł nagle podczas nocnej orgii. Chora rzucała się w ramionach krewnych, walczyła z dusznością. Oczy jej zasnuwały się mgłą, źrenice zwężyły się coraz bardziej. Oddychając zawadzała jak gdyby o jakieś przeszkody, z gardła wydierał się głuchy charkot. Stara poila ją ciągle wodą, która z głośnym bulgotaniem spływała do żołądka umierającej. Twarz jej zmieniała się straszliwie, policzki szczeniały, skronie zapadły. Nos wydłużył się i stęzał. Jeden kącik warg drgał konwulsyjnie i wykrzywił się w okropnym skurczu.

Zaczęła zapadać noc. Zbliżała się godzina powrotu robotników. Kobiety, skupione w milczeniu dokoła postania, zwiesiwszy głowy na piersi z trudem powstrzymywały płacz. Niektóre z nich wyszły na dwór, aby ukryć wzruszenie. Były przerażone męką, jaka czeka każdego w ostatniej godzinie. W porównaniu z tą agonią ciężka praca na roli wydała im się nieomal przyjemnością.

— Moja gołąbko! — wzdychała stara. — Czy widzisz mnie? Wszyscy jesteście przy tobie.

— Odpowiedz, Mario — błagał Alcaparron jęklwym głosem. — Wszyscy jesteście przy tobie;.. Spójrz na mnie, na twego kuzyna..

Gitana odpowiadała jedynie chrapliwym oddechem, Oczy miała prawie zupełnie zamknięte. Spod ciężkich, bezwładnych powiek chwilami błyskały tylko szkliste źrenice. W okropnych konwulsjach całego ciała odsłoniła Jedną nogę przerażająco siną. Uszy i ręce siniały równiej powoli. Stara wybuchła żalnym wyrzekaniem. Miała jednak słusność twierdząc, że zepsuta krew nie mogąc znaleźć ujścia rozlała się po całym ciele. Przypadła do konającej okrywając ją szalonymi pocałunkami, gryzła ją niemal, jakby pragnąc w ten sposób przywrócić jej życie.

— Nie żyje już! Don Fernando, nie żyje! Czy nie widzisz?! Nie żyje!

Salvatierra kazał starej milczeć. Maria nic już nie widziała, oddech jej stawał się coraz wolniejszy, uszy jednak słyszały jeszcze. Całe ciało zaczynało powoli sztywnieć, harkot ucichł... Oczy stanęły słupem...

Salvatierra wziął w ramiona martwiejące ciało, lekkie. Jak ciało dziecka, i usuwając krewnych złożył je ostrożnie na kupie łachmanów. Drżał na całym ciele, wzrok jego przesłoniły łzy. Opuściła go w tej chwili zimna krew. Wyraz twarzy i całe jego zachowanie miało w sobie coś z majestatu kapłańskiego.

Gdy Cyganie ujrzeli zwłoki Marii spoczywające nieruchomo na stosie łachmanów, stanęli niemi i cisi w obliczu śmierci. Tylko w głębi baraku słyhać było szlochanie kobiet i cichy szept modlitwy. Przyglądali się zwłokom nieboszczki z daleka, nie mając odwagi złożyć na czole zmarłej pocałunku, nikt nie śmiał nawet jej dotknąć. Nagle stara, podniósłszy zakrzywione palce rąk, zaczęła drapać i kaleczyć sobie twarz, a potem zatopiła je w tłustych włosach, których pasma rozwiewały się dokoła jej głowy... Wydała przeraźliwy skowyt.

— Ohe! Ohe! Moje drogie dziecię nie żyje! Moja mała, biedna gołąbka! Moja kwietniowa różyczka!

Kiedy tak przeraźliwym krzykiem i lamentem dawała ujście swej boleści, rozległo się nagle głuche stuknięcie. To Alcaparron padł jak długi, bijąc głową o podłogę.

— Ohe! Ohe! Maria odeszła! — ryknął jak ranne zwierzę. — Odeszła najlepsza dusza naszego domu! Najuczciwsza istota z całej rodziny!

Teraz mali jego bracia, jakby wykonując przepisany przez tradycję rytuał żałobny, powstali z ziemi i wybiegli na dwór krzycząc i drapiąc sobie twarze:

— Ohe! Ohe! Biedna mała kuzynka nie żyje! Ohe! Maria porzuciła nas!

Jakby w zamiarze obwieszczenia swego nieszczęścia stworzeniom niższego rzędu, dzieciaki, lamentując bez ustanku, wbiegały do stajen i wciskały się pod nogi bydłom. Oślepienie łzami, tłukły się o węgły ścian, o framugi, drzwi, tu przewróciły plug, tam stołek, a pędzące, za nimi psy łączyły z ich płaczem głośnie szczekanie i wycie. Kilku robotników przytrzymało rozpaczających chłopców i podniosło ich do góry unieruchamiając na chwilę, ale nawet wtedy nieprzytomni z żalu wymachiwali rękami i nogami, lejąc potoki łez.

Wreszcie, wyczerpani hałaśliwymi dowodami swej boleści, wrócili do baraku i stanęli przy zwłokach. Juanon ofiarował się czuwać przy zmarłej aż do rana w towarzystwie kilku jeszcze przyjaciół. Rodzina będzie mogła przespać się gdzie indziej. Należał się jej wypoczynek. Stara Cyganka jednak zaprotestowała. Nie życzyła sobie, aby zwłoki dziewczyny pozostawały dłużej w Matanzueli. Cała rodzina zajmie się przewiezieniem ich do Jerez. Mają w mieście własną chałupkę. Nie są bynajmniej godziną włóczęgów. Choć sami biedni, mają bogatych krewnych. Wszyscy oni włóczą się po świecie, wszyscy jednak lubili Marię, toteż biedaczka po nędznym życiu jucznego bydłęcia będzie miała pogrzeb królewski. — Jedźmy wszyscy do Jerez! — wołała. — Chcę, żeby Jutro, już o świcie, wszyscy moi mogli oglądać naszą drogą nieboszczkę. Chcę, żeby spojrzał na nią mój ojciec, jej dziadek, wiecie, najstarszy Cygan w całej Andaluzji! Chcę, aby biedaczysko mógł ją pobłogosławić swymi drżącymi grekami, tak przezroczystymi jak ręce Ojca Świętego. Robotnicy poparli jej plan. Zmęczeni całodzienną pracą, nie mogąc wskrzesić zmarłej, dowiedzieli się z przyjemnością, że hałaśliwa rodzina opuści barak i pozwoli im wyspać się spokojnie. Rafael zaproponował: Alcaparronom aby skorzystali z wozu, który może im dać. Ojciec Zarandilla przygotowuje wszystko do drogi, za pół godziny będą mogli zabrać zwłoki.

Na widok administratora oczy starej błysnęły wściekłością.

— Jesteś, złodzieju! Musisz cieszyć się, zdrajco! Spójrz na swą ofiarę!

— Tylko bez obelg! — burknął Rafael — Owej nocy ty zawiniłaś więcej niż ja.

Stara chciała rzucić się na niego. Opanowała ją szatańska radość, że ma na kim wyrzucić cały gniew i żal zbolełego serca.

— Ty rajfurze! To twoje dzieło! Bądź przeklęty wraz z twoim panem — złodziejem!

Zawahała się na chwilę, jakby żałując, że z ust jej padła wzmianka o Don Ludwiku, dla którego mimo wszystko, czuła należyty respekt.

— Nie, nie, nie mam żalu do twego pana! Ostatecznie jest on młody i bogaty. Ludzie z jego klasy nie mają innych obowiązków nad zabawę. Ty, ty jeden bądź przeklęty! Ty, który traktujesz robotników jak Murzynów i wydajesz młode dziewczęta w ręce swego pana, byleby nie widział, że go okradasz! Niczego nie chcę od ciebie! Zabierz swoje pięć durosów, które mi dałeś! Zabierz je, złodzieju! Masz masz, brudny rajfurze!

Sięgnęła gorączkowo do kieszeni, wydzierając się z rąk powstrzymujących ją robotników. Udawała, że szuka pieniędzy, ale z góry postanowiła sobie, że ich nie znajdzie. Nie przeszkodziło jej to jednak odegrać dramatycznej sceny.

— Zabierz swe pieniądze, ty brudny psie!... Oto są! Niech każda peseta zamieni się w złego ducha który zeżre twe serce!

Otworzyła zaciśnięte pięści, jakby rzucając coś na ziemię, jakkolwiek w ręku nie miała nic. Salvatierra wtrącił się do gwałtownej rozmowy.

— Dostyc już tego! Zamilcz, kobieto!

Stanął między nią i Rafaelem. Stara jednak nie mogła się uspokoić i wrzeszczała ciągle:

— Daj Boże, abys utracił to, na czym ci zależy. Oby nadszedł taki dzień, kiedy ujrzysz swoją ukochaną na łożu śmierci tak jak Maria.

Administrator słuchał zrazu jej przekleństw ze wzgardliwym spokojem, lecz po ostatnim życzeniu skoczył ku niej, tak że musiano go powstrzymywać.

— Stara czarownico! — ryknął gromowym głosem. — Lżyj i ubliżaj mi, ile ci się podoba, lecz nie śmieję pisnąć ani słowa o niej, bo cię zabiję jak sukę.

Rzucił się do niej. Robotnicy zaczęli szamotać się z nim, nie mogli mu jednak poradzić. Salvatierra wreszcie uspokoił go nieco. Rafael wybiegł z baraku, lecz jeszcze za progiem słyszał ostry pisk starej, która nie przestawała wrzeszczeć wniebogłosy:

— Uciekaj, zdrajco! Oby Bóg ukarał cię, zabierając ci dziewczynę z winnicy! Oby ci ją zabrał jaki pan!... Oby Don Ludwik uczynił z niej swą kochankę i żebyś ty wiedział o tym!

Rafael musiał się zdobyć wprost na nadludzki wysiłek, aby nie wrócić do baraku i nie wtłoczyć starej wiedźmie w gardło jej złorzeczeń.

Nie upłynęło pół godziny, a stary Zarandilla zajechał wozem przed barak. Juanon z pomocą kilku robotników owinął ciało w prześcieradło i wyniósł je na wóz. Teraz ważyło mniej jeszcze niż za życia. Było lekkie jak puch lub słomiana kukła.

Wóz potoczył się po wyboistej drodze, za nim postępowała stara, dzieci, Alcaparron i Salvatierra, który chciał towarzyszyć biedakom aż do miasta. Przed barakiem skupili się robotnicy. Wszyscy słuchali w milczeniu skrzypienia kół oddalającego się powoli wozu i lamentu Cyganów rozlegającego się żalnym echem w nocnej ciszy.

Wkrótce wóz wyjechał na gościniec. Alcaparron dumny był z tego, że ma przy swym boku Salvatierrę, o którym tyle wszędzie mówiono. Zaczął rozmawiać z nim o drogiej zmarłej.

— Tak, tak, była najlepsza z naszej rodziny. Dlatego jej nie stało. Dobrzy ludzie nie żyją długo. Bardzo ją kochałem. Jeśli pożałowałem kiedy jakiej dobrej rzeczy, to tylko po to, aby móc jej ofiarować. Kochałem ją bardziej inaczej niż każdą inną kobietą. Kochałem ją tak jak ksiądz kocha Matkę Chrystusa. Była dla mnie moją małą Madonną...

Westchnął i zamilkł na chwilę. Stara z kolei zabrała głos:

— Niestety, moje dziecko kochane nie żyje już! Moje jasne słońeczko! Mój drogi klejnot!

Do jęków starej przyłączyło się szlochanie chłopców. Nagle Alcaparron przestał jęczeć i zapytał Salvatierrę

— Panie, który wiesz wszystko, powiedz mi, proszę, czy zobaczę jeszcze kiedy moją kuzynkę?

Dreńczony zwątpieniem, zapragnął pewności, zatrzymał się więc przed Salvatierrą utkwivszy w niego niespokojny i pełen niemej prośby wzrok.

Serce rewolucjonisty wezbrało litością.

— Tak jest — odpowiedział uroczystym tonem — ujrzysz ją. Powiem ci więcej, będziesz mógł zawsze obcować z czymś, co stanowiło cząsteczkę jej istoty. W naturze nic nie ginie, nawet najdrobniejszy atom: materia zostaje, zmienia się tylko forma. Żyjemy pośród tego, co było w przeszłości i co będzie częścią przyszłego istnienia. Dokoła nas biją źródła wiecznego życia.

Zaczął mówić o matce, istocie najbliższej jego sercu, o której nie mógł myśleć bez rozrzewnienia.

Zamilkł na chwilę.

Alcaparron, który słuchał tych słów nie spuszczać sen zachwyconego wzroku, zapytał nieśmiało:

— A więc pan wierzysz, że Maria nie umarła na zawsze?... Że myśląc o niej bardzo często, będę mógł ją jeszcze zobaczyć? Co?

Salvatierra czuł, że ciemna noc, wóz pogrzebowy, płacz rodziny biednej zmarłej usposobiły go niezwykle melancholijnie.

— Tak, Alcaparron, wyczujesz przy sobie niewidzialną obecność twojej ukochanej dziewczyny. Coś, co było nią, owionie ci twarz lekkim jak zefir oddechem, gdy wzbije się z ziemi ożywczy zapach gleby skopanej twoją motyką. Częstka jej duszy unosić się będzie nad morzem zbożowych kłosów, znajdziesz ją w purpurze maków polnych, w pieśni porannej ptasząt, w brzęczeniu owadów spłoszonych tętentem koni i rykiem byków... Kto wie, czy gwiazdy błyszczące tam, wysoko, nie pożyczyły swego blasku od jej oczu, które tak bardzo kochałeś?!

Gitano spojrział na Salvatierrę z odcieniem politowania. Ten zauważył to i rzekł:

. — Porównujesz ogrom wszechświata z małością swej drogiej zmarłej i cofasz się przed wynikiem swych rozmyślań, zdjęty lękiem. Rzecz oczywista, że jest to zbyt duża urna dla jednej, skromnej łyżki. Lecz pamiętaj, że chociaż kropla wody niknie w bezbrzeżnym ogromie oceanu, mimo to jednak nie przestaje istnieć... Staje się tylko jego składową częstką.

Wóz żałobny wyminął rozmawiających, znikając w nocnej mgle. Słyszeli tylko skrzypienie kół i płacz postępującej za nim rodziny.

Płakali chłopcy żaląc się, że ukochana zmarła opuściła Ich na zawsze, niósł wiatr nocny żałośliwe zawrodozenie starej, podobne do jęku żałobnej płaczki.

— Odchodzi ode mnie moja biała gołąbka, moja słodka gitana, mój nierozkwitły jeszcze pączek różany! Wielki Boże, o czym myślisz, Ty, czyj palec dotyka tylko sprawiedliwych?!

## ROZDZIAŁ VII

Z nastaniem września, który jest miesiącem winobrania, bogacze bardziej zajęci byli tego roku nastrojami, jakie panowały wśród robotników, niż robotami w winnicach.

Nawet najlekkomyślniejsi spośród członków Klubu Hippičznego mówili tylko o robotnikach. I pomyśleć, że mieli oni przecieŹ wszystko, czego dusza zapagnie: zarabiali około dziesięciu realów dziennie, jedli, i pili. Mieli godzinę wypoczynku w porze zimowej i dwie w letniej osiem papierosów na dzień. Istny Źywot sybarytów).. i cóŹ? Jeszcze narzekali i Źądali reform groŹąc strajkiem.

Rzecz oczywista, Źe właściciele winnic oburzali się na takie Źądania. Nagle wszyscy jak jeden mąż zapalali litością dla robotników pracujących na roli. Ci biedacy naprawdę byli godni politowania! Robotnicy z winnic w porównaniu z nimi byli magnatami.

Właściciele ferm pienili się słysząc takie herezje, oskarŹali tedy z kolei posiadaczy winnic o wyzysk, nie dziwiąc się, Źe ich najemnicy uŹalają się na nich.

Nastrój, jaki się wytworzył na skutek zatargów z robotnikami, odbił się niekorzystnie na Źyciu towarzyskim. Dawne, próŹniacze Źycie salonów zamarło, nie słychać było o grze w klubach. Zapomniano o kartach, piękne dziewczęta nie znajdowały juŹ wielbicieli na ulicach. WoŹny z Klubu Hippičznego chodził jak błędny szukając klucza od szafy, szumnie zwanej biblioteką, w której spoczywało kilkanaście tomów dzieł z dziedziny socjologii. Książki te leŹały



dotychczas beczynnie, nikt bowiem z członków klubu nigdy do nich nie zaglądał. Nagle jednak, ku rozpaczcy woźnego, wszystkich ogarnął dziwaczny pęd do samokształcenia — członkowie klubu zapragnęli zapoznać się z zagadnieniami społecznymi. Wszyscy spoglądali na tajemnicze księgi z szacunkiem, chociaż w istocie rzeczy ani owe książki, ani też zagadnienia społeczne nie interesowały ich wcale. Uważali jednak, że należy iść z prądem czasu. Gdy bogacze oburzali się na panujące stosunki lub kłócili się z sobą, robotnicy obmyślali plan działania. Ogłosili nawet strajk, był to jednak strajk tylko połowiczny, na razie więc niegroźny. Właściciele niektórych winnic w obawie utraty zbiorów poszli na wszystkie ustępstwa, odgrązali się jednak, że gdy wino będzie już w kadziach, odpłacą robotnikom pięknym za nadobne. Inni, najbogatsi, głosili z dumą, że wszelkie układy ze strajkującymi uważają za poniżenie dla siebie i nie chcieli nawet o nich słyszeć. Najzacieklejszy z ich grona był Don Pablo. Wolał zamknąć „budę”, niż poniżyć się do pertraktacyj z tą „hołotą”.

— Nie dbam o straty — mówił do swych urzędników — chodzi mi o zasadę, o święte prawo pana i właściciela. Nie tylko więc nie chciał pójść na żadne ustępstwa, lecz posunął się do wydalenia wszystkich, którzy brali Jakikolwiek udział w „rebelii”.

Gdy tylko strajk został ogłoszony, w winnicy Marchamalo pozostała ledwie znikoma ilość dawnych robotników. Cyganki z Jerez i młode góralki, znęcone dobrym zarobkiem, zastąpiły strajkujących. Wówczas gdy gromada łamistrajków trudniła się ścinaniem winnych łoż, tłum strajkujących gromadził się na drodze, obrzucając pracujących obelżywymi epitetami.

Zatarg z robotnikami zbiegł się z nastaniem „doniosłego okresu” w życiu Don Ludwika, jak go sam nazywał.. Jego cnotliwy kuzyn miał możność podziwiać tę radykalną, zmianę! Żadnych miłostek!... Zupełny rozbrat z kobietami! Ani mowy o skandalach i orgiach!

„Mała margrabinka”, obrażona w swej godności, wróciła do świniarza, jedyne, zdaniem jej, mężczyzny, który umiał sobie z nią radzić. Gdy wspomniano Ludwikowi o jego dawnych szaleństwach, przybierał smutny wyraz twarzy.

— Wszystko się skończyło — mówił — trudno być młodym przez całe życie.

Spoważniał, nawiązał stosunki z jezuitami, postanowił zdobyć wysokie stanowisko na arenie politycznej. Nie zrezygnował tylko ze swej przyjaźni z różnego rodzaju obwiesiami, których nawet jeszcze kilku przybyło do jego najbliższego otoczenia. Umyślił zużytkować ich do swych celów politycznych. Toteż bywał razem z nimi w restauracjach, co nie raziło jednak nikogo.

Teraz zjawiał się we wszystkich niemal klubach, gdzie z wielkim przejęciem prowadził dyskusje na tematy polityczne, dopomagając sobie gestykulacją, która groziła niebezpieczeństwem baterii butelek i szklanek stojących na stole. W Klubie Hippicznym unikał młodzieńców wynoszących pod niebiosa jego dawne szaleństwa, garnął się nato

miast do ludzi poważnych, właścicieli wielkich posiadłości ziemskich, którzy zaczynali dawnego hulakę traktować z uznaniem.

Sprawę zatargu z robotnikami rozstrzygał w dyskusjach klubowych jednym cięciem. Rząd powinien dopomóc w zaprowadzeniu ładu i przysłać mnóstwo żandarmów, wojska konnego, armat. Przecież na bogaczy spadał przede wszystkim cały ciężar podatków na wojsko, jeśli tedy wojsko nie będzie bronić ich interesów, po co w ogóle istnieje ono w czasie pokoju?

— Ci wszyscy, którzy wędrując od fermy do fermy, rozdają niecne broszury i szkodliwej treści książki, ci wszyscy burzyciele istniejącego porządku zasługują bezsprzecznie na kulę! Podobna nagroda należy się również tym spośród robotników, którzy umiając czytać ośmielają się informować swych towarzyszy o tym, co piszą gazety! Fernando Salvatierra zasłużył również na kulę.

Ogłosiwszy taki wyrok na czcigodnego rewolucjonistę, Don Ludwik opamiętał się i uczuł wstyd. Dobry charakter cnoty tego „buntownika” nakazywały dla niego szacunek. Ci nawet spośród słuchaczy, którzy podzielali zapatrywania

Ludwika, w stosunku do Salvatierry zachowywali rezerwę. Rewolucjonistamarzyciel był, ich zdaniem, szaleńcem, którego jednak, nie mogli nie podziwiać. Był to człowiek święty chociaż nie wierzył w Boga.

— Nie, nie — poprawił się Ludwik. — Salvatierrę należy odziać w kaftan bezpieczeństwa i zapewnić mu dożywotni pobyt w domu zdrowia, gdzie mógłby szerzyć swe doktryny między wariatami.

Wymowa Don Ludwika zdobywała mu coraz więcej zwolenników.

— Chłop ma talent krasomówczy — mówiono. — Gada jak z nut. Świetny byłby z niego poseł.

— Przy poparciu swego kuzyna Don Pabla na pewno zostanie posłem — mówił inny bywalec klubu.

Nowy tryb życia porwał Ludwika w swe tryby. Czasem jednak budził się w nim dawny człowiek, uciuwał nagłą potrzebę zabawy w towarzystwie ludzi niskiego stanu.

— Przesyciłem się wielkopañstwem — mawiał w takich chwilach do swego zauszniaka Chivy. — Jedźmy na wieś, mała hulanka wpływa dobrze na zdrowie.

Udając wielkie zainteresowanie winobraniami, aby zjednać tym dla siebie Don Pabla, spędzał dzień cały w Marchamalo. Baraszkował wtedy z młodymi robotnicami, które śmiały się wesoło, słuchając jego dowcipów i chwaliły go bardzo za jego hojność.

Maria i jej ojciec byli mile pogłaskani w swej dumie, widząc, jak chętnie zagłada do ich ustronia. Nikt nie pamiętał już o głośnej ongi orgii w Matanzueli. Zresztą — młodość ma swoje prawa! Stary Firmin wiedział, że Don Ludwik zmienił się nie do poznania i stał się poważnym człowiekiem. Przyjeżdżał na wieś wtedy, gdy chciał uciec przed pokusami wielkiego miasta. Maria mile widziała dawnego towarzysza zabaw dziecięcych. Mówiła mu, jak dawniej po imieniu i śmiała się z jego anegdotek. Widziała w nim zresztą chlebodawcę Rafaela i pamiętała, że przyjdzie czas, kiedy będzie również zależna od niego. Zapomniała już o skandalu w Matanzueli, przywróciła do swych łask pana administratora i marzyła po dawnemu o uwiciu gniazda rodzinnego w posiadłości Don Ludwika.

Życie, jakie wiódł w Marchamalo, zachwycało Ludwika. Nie chcąc wracać w nocy do miasta nocował nieraz w wieży.

— Czuję się tam jak patriarcha otoczony dziewczętami, które kochają mnie tak, jakbym był ich ojcem — ma

włał dobrodusznym tonem do swych przyjaciół z Jerez, którzy podrywali z jego niewinnych rozrywek.

Chętnie przebywał w winnicy, lubił bowiem poić się świeżością wieczoru.

— Tu przynajmniej człowiek wie, że żyje! — twierdził nieraz w rozmowie ze starym Firminem. — W Klubie Hipicznym na pewno ludziska duszą się z gorąca.

Wieczorne posiedzenia nosiły dziwnie patriarchalny charakter. Ludwik podawał gitarę Firminowi wołając:

— A teraz pokaż nam, jaki talent posiadasz w palcach!

Na rozkaz pana Chivo przynosił z powozu kilka butelek najlepszego wina firmy Bracia Dupont. Było to prawdziwe święto: spokojne, uczciwe, bez dwuznaczników i zbyt poufanych gestów, co mogłoby zgorszyć lub odstraszyć obecne przy stole dziewczęta. Słyszały one nieraz wiele rzeczy o Don Ludwiku, widząc go jednak z bliska zapominały o swych, uprzedzeniach — taki był zawsze układny i miły.

Maria śpiewała, Ludwik również, nawet Chivo, na znak dany przez jego pana, zaczynał intonować ochryplym głosem kuplety na cześć, walk rycerskich w obronie matki lub ukochanej.

— Zachwycające! Brawo! — mówił stary Firmin oklaskując zabijakę z gęstymi brwiami.

Następnie Ludwik, ująwszy Marię w pól, wiódł ją na środek koła utworzonego z widzów, po czym oboje zaczęli tańczyć „sewillanę” z takim temperamentem i zapałem, że obecni nie mogli powstrzymać się od okrzyków.

— To mi dopiero taniec! — wołał stary Firmin szczypiąc struny gitary z coraz większym przejęciem... — Ile wdzięku! Tańczą tak lekko jak ptaszki!

Rafaël zaglądał do winnicy co tydzień i widząc, jak tu spędzają czas, czuł się dumny, że Don Ludwik wyróżnia jego najdroższą.

— Stanowczo poczciwy z niego chłopak — myślał. — Trochę może pomyłony, ale przystępny i ludzki. Przyglądając się tańczącym, oklaskiwał ich bez cienia zazdrości. Przykrość sprawiała mu jedynie myśl, że sam nie potrafi tańczyć z taką elegancją. Zajęcia bowiem na roli zabierały mu zbyt wiele czasu, aby mógł wydoskonalić się w tym kierunku. Umiał tylko śpiewać, a jego śpiew był dziki, wyuczony od przemytników w burzliwym okresie młodości.

Ludwik królował w winnicy zupełnie tak, jakby należała do niego. Tym łatwiej przyszło mu to, że Don Pablo był przez czas jakiś nieobecny. Z całą swą rodziną udał się do północnej części kraju, zamierzając równocześnie odwiedzić kilka miejsc świętych: kościoły i klasztory. Ludwik, chcąc mu dowieść raz jeszcze, że wszystkie głupstwa pozostawił na zawsze za sobą, pisywał do niego długie listy, w których opowiadał o swych odwiedzinach w Marchamalo, o tym, z jaką gorliwością dogląda winobrania i o dodatnich jej wynikach.

Interesował się jednak istotnie robotnikami w winnicy. Pragnął gorąco złamać strajk i uśmierzyć zbuntowanych, dlatego też zależało mu na tym, aby wszystko w winnicy szło normalnym trybem. Chcąc mieć oko na bieg rzeczy, zamieszkał na jakiś czas w wieży Marchamalo, przysięgając sobie uroczyście, że nie ruszy się stąd, dopóki, mimo wszystkich trudności, roboty nie zostaną pomyślnie ukończone.

— Idziemy naprzód — powtarzał nieraz w rozmowie ze starym Firminem, mrugając przy tym szelmowsko. — Ci bandyci popękają ze złości, widząc, że z samymi tylko kobietami i kilku uczciwymi chłopami dopięliśmy swego bez ich łaski.

Co wieczór, chcąc jeszcze bardziej podrażnić strajkujących, Ludwik urządzał zabawy z muzyką, śpiewami i tań

cami, zakończone obfitą kolacją. Popijano również szlachetne „pańskie” wino, a dziewczęta, nienawykłe do tak wspaniałego trybu życia, otwierały szeroko oczy. Na stole pojawiało się mięso, o którego istnieniu przeważnie tylko słyszały, a hojnym szafarzem tego wszystkiego był Don Ludwik, który powtarzał z zadowoleniem:

— Płacę za wszystko! Jeśli jednak spotkacie się gdziekolwiek z tą strajkującą bandą, powiedzcie im, jak Dupontowie traktują uczciwych i posłusznych pracowników. Mówcie tylko prawdę! Nie żądam niczego więcej!

W ciągu skwarnych dni, gdy słońce pastwiło się nad omdlewającą z żaru ziemią, Ludwik drzemał rozkosznie pod arkadami domu. Niekiedy zaś popijał orzeźwiające wino i brał papierosa, którego zapalenie należało do obowiązków Chiyy. Z niezwykłą przyjemnością sybaryta delektował się nowym życiem. Był przeświadczony, że spełnia wielką rolę społeczną, przyglądając się z cienistego zakątka omdlewającym wśród słonecznego żaru robotnikom.

Dziewczęta w kolorowych spódnicach podobne były do gromady błękitnych, różowych lub też czerwonych owiec. Mężczyźni w samych koszulach i kalesonach, posuwając się powoli na czworakach, przypominali małe, białe jagnięta. Wszyscy zajęci byli ścinaniem olbrzymich, soczystych łoż winnych leżących na rozpalonej ziemi, która dzieliła się wspaniałomyślnie ze szlachetną rośliną przejętym od słońca życiodajnym ciepłem.

Co chwila przed oczami Ludwika przesuwwały się dziewczęta dźwigające olbrzymie kosze pełne cudnych, ciepłych Jeszcze gron. Odnosząc je do tłoczni, spoglądały z uśmiechem w kierunku Ludwika.

Niekiedy znudzony milczeniem przywoływał do siebie Firmina, który obchodził wzgórze dozorując robót. Stary

zbliżywszy się nawiązywał do zawsze aktualnego tematu — strajku i ostatnich wiadomości z Jerez. Firmin nie krył się ze swym pesymizmem. Lęk w nim budziła zawziętość, z jaką strajkujący bronili swej sprawy.

— Mrą z głodu — mówił poważnym tonem — a głód to zły doradca. Niechybnie krew się poleje i niejeden powędruje na galery. Cud się stanie, jeśli nie dojdzie do egzekucji na Plaza de la Carcel.

Firmin mógł spokojnie rozprawiać o opłakanych skutkach zatargu, dwóm bowiem najbliższym jego sercu istotom nie groziło w tej chwili żadne niebezpieczeństwo.

Syn znajdował się w tej chwili w Maladze, wysłany tam przez „starego” w interesach firmy, Don Fernanda zaś żandarmeria przed kilku dniami wysiedliła z Jerez. Było to dziełem bogaczy, którzy zapewniali, że „on właśnie, nikt inny, jest odpowiedzialny za to, co się teraz dzieje, samą już swoją obecnością podniecając do buntu”.

Robotnicy drżeli o życie Salvatierry, obawiając się zwłaszcza skrytobójczego zamachu, który wobec jego zamiłowania do samotnych wędrówek po polach i lasach, nie przedstawiałby dla wrogów żadnych trudności. Mimo jednak gorących próśb towarzyszy, Salvatierra nie chciał zmienić trybu życia. W końcu jednak władze wyższe odgrzebały jakąś dawno zapomnianą sprawę rewolucjonisty z okresu walk wolnościowych i wznowiły proces, co zmusiło Salvatierrę do opuszczenia Jerez i udania się do Madrytu. Musiał ulec przemocy i powędrować do stolicy w asyście żandarmów. Stary Firmin był szczęśliwy, że tak się stało i błagał niebo, aby przetrzymano go tam choćby nawet przez cały rok. W razie bowiem poważniejszych zamieszek w Jerez Salvatierra naraziłby się z pewnością na kilka lat galery, jeśli nie więcej jeszcze.

— To się źle skończy, mówię panu, krew się poleje! — powtarzał z uporem. — Na razie tylko pyskują, lecz co będzie dalej? Żniwa i młocka po fermach już ukończone, robotnicy wolni, skazani są aż do siejby na bezczynność, a bezczynność i głód to podatny grunt do wszelkiego rodzaju szaleństw. Zaśpiewają tak, jak im przywódca strajku grać będą. Zobaczysz pan, że się połączą z sobą, a wtedy bomba pęknie. Na fermach było kilka nagłych pożarów, nigdzie zaś nie wykryto podpalacza... Zaczyna się bal!

— Tym lepiej — odpowiedział Ludwik. — Niech się łączą, niech się buntują, niech bomba pęka! Ja osobiście lubię walkę i pragnę wybuchu bardziej może niż sami rebelianci.

Stary Firmin, słuchając tych słów, kiwał głową:

— To źle, bardzo źle. Najgorszy pokój jest lepszy od najlepszej wojny... Wierź mi pan... mam doświadczenie...

Kiedy indziej znów, nie mając chęci dyskutować z Firminem, Don Ludwik wchodził do wnętrza domu, aby poszukać Marii, którą najczęściej zastawał w kuchni.

Żywił dla niej niemal od dziecka szczególną sympatię, teraz zaś, na tle natury, upojony wonią pól i sielskością otoczenia, tracił chwilami głowę, tak była dlań ponętna. Oddałby za nią wszystkie śpiewaczki, „małe margrabinki” i wszystkie w ogóle piękności miejskie.

Krył jednak swe żądze pod płaszczykiem poufalości przyjacielskiej dawnego towarzysza zabaw dziecięcych.

Powstrzymywała go od wybuchu obawa kompromitacji. Pamiętał jeszcze dobrze skandal w Matanzueli, nie chciał wywołać nowego i zepsuć sobie opinii poważnego i godnego szacunku człowieka.

Oto dlaczego był bardzo ostrożny w stosunku do Marii. Prawił jej komplementy, ona jednak niewiele sobie z tego robiła, nie biorąc na serio jego przesadnych panegiryków.

— Ślicznie dziękuję ci, Ludwiku — mówiła z wesołym śmiechem. — Jesteś niezrównanym pochlebcą! Jeśli tak dalej będzie, rozkochasz mnie w sobie i uciekniemy stąd chyba razem, gdzie pieprz rośnie.

Co prawda, gdy zostawali czasem sam na sam, próbował pozwolić sobie na poufalość, Maria jednak w takich razach marszczyła brwi i zaciskała gniewnie usta.

— Precz z łapami, mości Ludwiku! Co to ma znaczyć? Jeśli nie zaniechasz tych głupich dowcipów, tak cię urazę, że echo rozlegnie się aż w Jerez!

Widząc, że sprawa jego jest przegrana, zaczynał z innej beczki:

— Ależ niemądra! Przecież nie miałem żadnych złych intencji. Chciałem jedynie wywołać na twojej twarzy chmurkę oburzenia, z którą wyglądasz zachwycająco! Wiesz przecie, że traktuję cię jak siostrę... Jestem twoim bratem...

Zupełnie tak jak — Firmin.

Dziewczyna uspokajała się, nie puszczając jednak zajścia w niepamięć.

— Dobrze już, dobrze! Brat czy swat, ale ręce trzymaj przy sobie! Możesz pleść duby smalone, ile ci się podoba, lecz jeśli szukasz dla siebie ofiary, obejrzyj się za inną, bo pamiętaj, że mam mocną rękę.

— Bravo! Lubię dziewczęta z ogniem! To mi się w tobie najbardziej podoba!

Nie krępował się wcale obecnością Rafaela, prawiąc Marii komplementy również i przy nim. Rafael ani domyślał się prawdy, cieszył się szczerze z sympatii, jaką Jego chlebodawca darzył swą towarzyszkę lat dziecięcych, a jego przyszłą żonę.

— Hultaju — mówił do niego Ludwik — zabierzesz dla siebie tę, której nie ma równej w całym kraju. Perłę naszego Jerez i jego okolic! Widzisz tę olbrzymią winnicę.

której wartość sięga miliona? Otóż jest ona niczym w porównaniu, z cudem wdzięku, jaki posiada Maria. I ją to właśnie zabierasz nam — ty, nicponiu... Ty, bezwstydnny łotrze!

Rafael śmiał się błogo, ojciec Firmin również. Obaj byli zachwyceni dowcipem i uprzejmością pana, i serdeczną przyjaźnią, z jaką traktował ich wszystkich.

Gdy winobranie skończyło się wreszcie, Ludwik zaczął pyszczyć się tym tak, jakby dokonał największego pod słońcem dzieła. Był przeświadczony, że kampania udała się tylko dlatego, że on dopilnował wszystkiego osobiście. — No i co? — pytał Firmina z miną triumfatora. — Dużo zrobili ci twoi niebezpieczni krzykacze! Musimy teraz uczcić to zwycięstwo. Dziś pojedę do Jerez i przywiozę najlepszego wina z piwnicy Don Pabla. Niech się wścieka po powrocie, kpię sobie z tego! Dostyc zrobiłem dla niego, należy mi się zapłata... Urządzimy bal aż do rana! Chciałbym, aby dziewczęta po powrocie do swoich zachowały o mnie jak najlepsze wspomnienia. Przywiozę muzyków, abyś i ty mógł odpocząć, nie zapomnę również

o śpiewaczkach, by oszczędzić głos Marii... Ha, ha, rozumiem, nie życzysz sobie obecności tych kobiet w Marchan ma! Ależ kuzyn mój nie dowie się o niczym! Nie życzysz sobie? Dobrze! Nie przywiozę ich! Dla twego spokoju wykreślam z programu uroczystości ten numer. Ostatecznie nie zbywa nam na kobietach. Istny pensjonat dla dziewcząt... Za to będzie muzyczka i wino — jak się patrzy! Będą i tańce narodowe! I salonowe! Zobaczysz tylko, jak się zabawimy dzisiaj nocy!

Wrócił z Jerez dobrze już o zmroku. Noc była parna

i łagodna. Od ziemi bił żar, gęsta mgła unosząca się w powietrzu przyćmiewała blask gwiazd. W martwej ciszy nocy słychać było jedynie suche pęknięcie kory na spalonej przez słońce winorośli. W trawie brzęczały koniki polne. Hen,

w daleko położonych błotach rechotał chór żab cierpiących, jak widać, na bezsenność. Przybyli z Don Ludwikiem goście zdjęli kurtki i w koszulach krzątali się po werandzie, ustawiając na stołkach całe baterie przywiezionych z miasta butelek. Robotnice w perkalowych sukienkach z krótkimi rękawami, w fularowych chusteczkach, spiętych broszą na piersiach, wносиły kosze pełne jabł, unosząc się nad hojnością Don Ludwika. Stary Firmin zachwalał jakoś zimnych mięs, smak oliwek i innych przypraw.

— Nasz pan uraczy nas za wszystkie czasy! — mówił z wesołym uśmiechem.

Najbardziej jednak cieszyła wszystkich perspektywa wspaniałych win. Był to istny nektar złotawy i klarowny.

— To łyż Chrystusa! — mówili pobożni, mlaskając językiem po wychyleniu swej szklanki.

— Nie — zapewniali inni — to nic innego, tylko mleko Bożej Rodzicielki.

Ludwik śmiał się z ich entuzjazmu i dolewał mówiąc, że piją dziś, ni mniej, ni więcej, tylko szlachetne wino dostarczane przez firmę Braci Dupont samym lordom angielskim. Każda kropla tego wina miała dla Don Pabla wago. złota, toteż oburzyłyby się na pewno widokiem takiego marnotrawstwa. Ludwik jednak nie żałował swej hojności. Z prawdziwą przyjemnością poił biedaków winem przeznaczonym dla bogaczy.

— Pijcie, moje dzieci — mówił ojcowskim tonem — korzystajcie ze sposobności, bo nieprędko nadarzy się podobna. Niejeden z członków Klubu Hippičznego pozazdrościłby wam dzisiaj.

Zebrani nie dali się prosić. Każdy pił, ile chciał, szklanę po szklance.

Przy stole Ludwika pito wino,, które uprzednio ochłodzono w kuble z tłuczonym lodem.

— Upijemy się — powtarzał Firmin. — Zamrożone wino gładko przechodzi przez gardło. Miła świeżość W ustach, ale potem — ogień we wnętrznościach.

A jednak mimo tych zastrzeżeń pił nieustannie. Maria szła za przykładem ojca, zresztą Ludwik dbał o to, żeby jej szklanka nie próżnowała.

— Nie nalewaj mi więcej — prosiła go błagalnym głosem. — Uważaj, upiję się na pewno. To zdradliwe wino.

— Głuptasie, to wino jest jak woda! A nawet gdybyś się nim upiła, nie ma obawy... jeszcze szybciej wytrzeźwiejesz.

Gdy kolacja dobiegła końca, brząknęły gitary, a goście powstawszy od stołu umieścili się półkolem przed grupą muzykantów obok Ludwika i jego towarzyszy. Wszyscy byli już pijani, nie przestawali jednak pić w dalszym ciągu.

Mdliło ich, krople potu wystąpiły im na czoło, pierś poruszała się ciężko, jakby jej brakło tchu. Jedynym lekarstwem na to wszystko było wino! Musieli pić!

Słyszac pierwsze dźwięki muzyki zaczęli klaskać w dłonie i uderzac w puste butelki, zachęcając tym sposobem Marię i Ludwika do tańca. Rozpoczęli słynną w całej Hiszpanii „sewillaną”. Trudno było mieć większy wdzięk i temperament niż córka Firmina. Policzki jej były purpurowe, oczy błyszczaly nienaturalnym ogniem. Nagie ramiona, przepięknie toczone, wznosiły się nad jej głową w kształcie cudnej amfory z kości słoniowej. Spod długiej, marszczonej spódnicy, ściśle przylegającej do kształtnych bioder, wyzierały miniaturowe stopki, jakby ich właścicielka była panną znakomitego rodu.

— Ach! — wykrzyknęła nagle. — Nie mogę już dłużej!

Padła zdyszana na krzesło, taniec zamroczyl ją do reszty. Wszystko tańczyło teraz przed jej oczami: taras, ludzie, a nawet wieża Marchamalo.

— To skutek gorąca — rzekł ojciec poważnym głosem.

— Orzeźwij się winem, a chwilowy zawrót głowy minie

— dodał Ludwik.

Napełnił szklanę Marii winem. Zaczęła pić z gorączkową skwapliwością. Niekiedy jednak, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo, odsuwała od siebie podawaną przez Ludwika szklanę.

— Upiję się — mówiła. — Zdaje mi się nawet, że już jestem pijana.

— I cóż stąd? — odpowiadał Ludwik. — Ja jestem pijany, twój ojciec również, nikt z nas nie wylewał za kornierz. Bo i cóż by to było za święto? No, jeszcze szklaneczkę! Brawo! Niech żyje zabawa!

Po środku sali kilka robotnic obracało się powoli w tańcu, wdziecząc się do swych tancerzy, ciężkich, niedźwiedziowatych wieśniaków.

— Hej! Z drogi! — wykrzyknął Ludwik do tańczących.

— Mistrzu Anguila — zwrócił się do gitarzysty — zagraj nam jakiś salonowy taniec, coś eleganckiego: polkę, walca, zresztą, co chcesz. Będziemy tańczyć jak ludzie z towarzystwa, trzymając się w objęciach.

Robotnice, dobrze już pijane, chwyciły się w pól, inne zaś szukały tancerzy. Wszyscy zaczęli obracać się przy dźwiękach gitary, a stary Firmin i przyjaciele Ludwika wybijali takt na pustych butelkach lub uderzali laskami o podłogę.

Ludwik porwał Marię do tańca, przyciskając ją silnie do siebie. Próbowła na razie opierać się... Trudno było tańczyć, gdy cały świat kręcił się przed oczyma. Wkrótce jednak uległa przemocy i zawisła bezsilnie na ramieniu tancerza. Ludwik czuł, że ugina się pod ciężarem jej ciała. Przyciskał ją do siebie coraz mocniej, czując na swej piersi jej silnie falujący, jędrny biust. Oparła głowę o ramię tańce

rza, jakby nie chcąc nic widzieć z tego, co się dzieje dokoła. Raz jeden tylko wyprostowała się i spojrzała mu w oczy — Puść mnie, Rafaelu — szepnęła. — To nie jest ładne, co robisz ze mną.

Ludwik wybuchnął śmiechem.

— Rafaelu! Boże, jaka ona zabawna! Mam Ludwik na imię.

Ona jakby nie rozumiejąc, co do niej mówił, znowu spuściła głowę, opierając ją na jego ramieniu.

Winne opary i taniec odurzały ją coraz silniej. Miała wrażenie, że zapada się powoli w jakiś ciemny odmęt, a jedynym oparciem jest ramię mężczyzny, który tulił ją do siebie. Czuła, że jeśli wypuści ją z objęć.— upadnie i stoczy się w bezdenną przepaść. Instynktownie więc szukała oparcia, czepiając się ramienia swego zbawcy.

Ludwik również przeżywał dziwny nastrój. Dyszał ciężko, podtrzymując bezwładne ciało dziewczyny. Rozkoszny chłód jej ramienia, upajająca woń młodego ciała, jej oddech który czuł na swojej szyi wstrząsnęły nim do głębi... Gdy odprowadził wreszcie Marię na miejsce, była biała z wyczerpania, chwiała się na nogach, nie mogła Otworzyć oczu. Dyszała ciężko, przesuwając ręką po czole, Jakby chcąc odpędzić ból głowy. .

Tymczasem inne pary tańczyły w najlepsze, krzycząc na całe gardło, potrącając się rozmyślnie i wpadając na widzów, którzy nieraz zmuszeni byli usuwać się im z drogi wraz ze swymi stołkami.

. Nagle dwóch mężczyzn wszczęło sprzeczkę o jakąś przystojną robotnicę, szarpiąc ją i ciągnąc za ręce. Zaczynali już ubliżać sobie wzajemnie, a wino zapaliło w ich źrenicach niebezpieczne błyski. Nagle rzucili się ku wyjściu, śpiesząc po swe ciężkie noże ogrodnicze, których jedno uderzenie było śmiertelne.

— Jacy z was głupcy! — rzekł do nich Ludwik zastępując im drogę. — Chcecie mordować się wzajemnie, i o co? O jedną dziewczynę, jakby nie było już innej na świecie. Tyle ich czeka na pierwsze kiwnięcie! Cicho! Dość tego! Niech żyje radość i wesele!

Zmusił ich do pogodzenia się, do wypicia ' z jednej szklanki.

Muzyka zamilkła. Wszyscy spoglądali z niepokojem w kierunku dwóch przeciwników.

— Dalej, nie przerywać zabawy! — krzyczał rozkazującym tonem Ludwik. — Nie stało się nic złego.

Znowu pary taneczne ruszyły w tan. Znowu zabrzmiała muzyka.

Ludwik znalazł się w gronie widzów. Marii nie zastał już na dawnym miejscu. Obrzucił wzrokiem taras, dziewczyna znikła.

Stary Firmin wpatrywał się jak urzeczony w zwinne palce Anguili grającego na gitarze. Zniknięcie dziewczęcia nie zwróciło niczyjej uwagi.

Ludwik wymknął się również z tarasu, kierując się do wnętrza domu. Wszedł na palcach, ostrożnie uchylając i zamykając drzwi, węszył jak dzikie zwierzę szukające żeru.

Wszedł do pokoju Firmina, lecz pokój był pusty! Był pewny, że drzwi od pokoju Marii zastanie zamknięte. Mylił się jednak: otworzyły się z łatwością. Łóżko jej jednak było puste, a w pokoju panował zupełny ład. Nikt tu, zdawało się, nie wchodził. W kuchni również nie było nikogo. Na palcach przeszedł przez halę, w której sypiali robotnicy. Również ani żywej duszy! Zajrzał potem do skrzydła budynku, w którym mieściły się łóżnie. Przez okna padały smugi

księżycowego światła tworząc na podłodze srebrzyste plamy. W głębokiej ciszy, jaka zalegała pomieszczenie, wydało się Ludwikowi, że słyszy czyjś miarowy, spokojny oddech.

Posunął się naprzód i nogi jego zawadziły o leżące na stosie grubego płótna ciało. Przyklęknął chcąc lepiej się przyjrzeć i — poznał śpiącą.

Była to Maria. Widocznie zawstydzona tym, że upiła się jak nieokrzesana robotnica, nie chciała profanować swej dziewiczej komnatki i ukryła się tutaj.

Ciało jej, ociężałe pod wpływem winnych oparów, drgnęło gniewnie pod dotykiem męskich rąk. Poruszyła się, z trudem uniosła powieki, a z płonących ogniem ust wybiegł szept:

— Rafaelu! Rafaelu!

Znowu zamilkła. Dwoje giętkich ramion owinęło się dokoła szyi rozpustnika.

Śniło jej się w dalszym ciągu, że stacza się w ciemną otchłań niebytu. W tym zawrotnym pędzie w dół czepiała się jedynej ostoi, jaką miała przy sobie, skupiając na tym ruchu ramion całą swoją energię. Reszty ciała nie czuła zupełnie...

## RODZIAŁ VIII

Z początkiem stycznia w Jerez i jego okolicach wybuchł strajk powszechny. Ponieważ w miesiącach zimowych nie było pilnych robót na roli, posiadacze własności ziemskich czekali cierpliwie na wyniki zatargu.

— Ulegną — mówili do siebie. — Zima ostra, a głód dokuczliwy.

W winnicach prace wykonywali dozorczy i nieliczne grono robotników, którzy' pozostali wierni swym chlebodawcom, jednocześnie zaś traktowani przez strajkujących jako zdrajcy, narażali się na pogróżki i obelgi z ich strony.

Nadrabiając miną, bogacze czuli, jak na dnie ich serca kiełkuje lęk. Swoim zwyczajem podali do madryckich pism korespondencję z Jerez, w której opisując w czarnych kolorach strajk, przedstawiali go jako plagę społeczną.

Oskarżano rząd o brak energii i zgęszczano barwy, przedstawiając robotników jako okrutnych i strasznych z wyglądu bandytów.

Aby przeciąć wyrzekania poszkodowanych na strajku, rząd wysłał do Jerez jeszcze jedną brygadę żandarmerii, dwie kompanie piechoty i jeden szwadron kawalerii

— Uczciwi ludzie uśmiechają się błogo na widok tylu „czerwonych" — mówił żartobliwie Ludwik Dupont.

Żandarmeria przystąpiła gorliwie do pracy, aresztowania mnożyły się.

— Już przeszło czterdziestu najzawziętszych wyrotowców siedzi pod kluczem — zapewniali ludzie mający stosunki w sferach miarodajnych.

— Gdy liczba ich dojdzie do setki lub dwóch, zapanuje spokój.

W nocy wychodzących z klubów bogaczy zaczęły nędznie ubrane kobiety wyciągać do nich ręce:



— Nie mamy co jeść... Panie, umieramy z głodu! Mam troje dzieci, a mój mąż z powodu strajku nie przynosi do domu ani kawałka chleba.

Zaczepiony przez nędzarkę, klubowiec przyspieszał kroku, śmiejąc się pod nosem: Mogą iść prosić o chleb Salvatierrę lub innych apostołów rewolucji.

— Bądźcie przeklęci! — wyły zrozpaczone nędzarki. — Dałby Bóg, aby nadszedł dzień, w którym rządy przejdą w nasze ręce.

Montenegro ze smutkiem przyglądał się głuchej walce, jaka wstrząsała społeczeństwem. Wiedział, że musi przyjść, do ostatecznego wybuchu, nie wtrącał się jednak do niczego i unikał styczności ze strajkującymi. Od chwili powrotu syna z Malagi Firmin senior zalecał mu ciągle, ostrożność, nie wierzył w zwycięstwo robotników, chociażby dlatego że na czele ich nie stał Salvatierra. Montenegro podzielał do pewnego stopnia poglądy ojca i trzymał się w rezerwie. Wkrótce nastąpiły wypadki innej natury, które skierowały jego uwagę w zupełnie inną stronę.

Pewnego dnia, wychodząc z biura na obiad, spostrzegł Rafaela. Zdawało się, że czekał na niego na rogu. Montenegro nie widział go już dawno. Z trudem poznał go, tak

wydał mu się zmieniony: schudł, zżółkł, oczy miał podkrążone i zapadnięte, ubranie zaniedbane, słowem miał przed sobą zupełnie innego człowieka.

— Jesteś chory? Co ci jest? — wykrzyknął.

— Przykrości — zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

— Ubiegłej niedzieli nie byłeś w Marchamalo, jak zresztą poprzedniej. Czybyście się posprzecali z moją siostrą?

— Muszę pomówić z tobą, lecz będzie to długa rozmowa. Nie podobna pozostawać tak długo na placu, nie chcę również rozmawiać z tobą w ciżbie ani w pensjonacie,, mógłby ktoś nas podsłuchać.

— Dobrze, chodźmy do restauracji „Pod Góralem”. Tam, biedny kochanku, będziesz mógł zrzucić ze swego serca kamień, ja zaś słuchając twych wynurzeń, zaspokoję głód, który mi srodze dokucza.

Mijając główną, salę, usłyszeli w sąsiednim gabinecie dźwięki gitary, klaskanie w dłonie i głosy kobiece.

— Tam bawi się Ludwik Dupont — objaśnił kelner. — Jest w towarzystwie swych przyjaciół i pięknej kobiety, którą przywiózł sobie z Sewilli. Przed chwilą właśnie rozpoczęła się zabawa i nieprędko się skończy... Na pewno nie wcześniej niż jutro.

Dwaj przyjaciele wybrali sobie najzaczisniejszy gabinecik, z dala od gwaru restauracyjnego, aby móc spokojnie porozmawiać. Montenegro zamówił dla siebie coś do zjedzenia i po chwili już na stole stały półmiski i talerze. Kelner zostawił ich samych. Wkrótce wrócił jednak, wnosząc na tacy wino i szklanki.

— Don Ludwik — oświadczył im — dowiedział się, że panowie tu jesteście, przysłała wam poczęstunek. Możecie pić, ile się wam podoba, wszystko jest zapłacone.

Montenegro polecił oznajmić Ludwikowi, że przyjdzie przywitać go, po czym zamknął za kelnerem drzwi gabinetu i pozostał sam na sam z Rafaelem.

— Jedz — rzekł wskazując półmiski.

— Nie jestem głodny.

— Nie jesteś głodny? Dobrze. Na pewno zwyczajem wszystkich zakochanych żyjesz powietrzem. Ale nie pogardzisz chyba winem.

Rafaël wzruszył pogardliwie ramionami, uważając pytanie przyjaciela za niegodne nawet odpowiedzi, potem nie odrywając oczu od stołu, jął wychylać szklankę po szklance.

— Firminie — rzekł nagle, przenosząc wzrok na twarz przyjaciela. — Jestem szalony... Furiat!

— Widzę to — odpowiedział ze spokojem Montenegro nie przestając zajadać.

— Firminie, zdaje mi się, że szatan dyktuje mi najgorsze szaleństwa. Gdyby twój ojciec nie był moim chrzestnym, gdybyś ty nie był tobą, już dawno bym zamordował twoją siostrę. Przysięgam to na mój sztylet, najdroższą po ojcu pamiątkę.

To mówiąc złożył na ostrzu dobytej z pochwy broni pocałunek.

— Hola, mój drogi, będziesz musiał powściągnąć nieco swój gniew — rzekł Montenegro odkładając na bok widelec i mierząc Rafaela gniewnym spojrzeniem. Opanował się jednak i dodał: — Ba! Jesteś tylko szaleńcem i trzeba również być wariatem, żeby traktować cię na serio.

Rafael wybuchnął płaczem. Nareszcie mógł sobie ulżyć nie ubliżając swej godności: miał przecież przed sobą przyjaciela. Gorące łzy jęły spływać mu po policzkach, wpadając do szklanki z winem.

— Masz rację, Firminie, jestem szalony! Udaję zucha... a nie mam w sobie za grosz energii. Na co chciałem się ważyć?! Ja... mordercą Marii?! Musiałbym mieć bardzo czarną duszę, aby to uczynić! A zresztą... zabiłbyś mnie potem i... wszystkim byłoby lepiej.

Łzy nie przestawały płynąć z oczu Rafaela. Z głębi restauracji dolatywały do ich gabinetu przytłumione dźwięki gitary i głosy uczujących, którzy podniecali tancerkę do tańca, a z tymi dźwiękami łączył się stuk obcasików bijących miarowo o podłogę.

— Ostatecznie, powiedz mi, ó co ci chodzi! — wykrzyknął niecierpliwie Firmin. — Nie płacz już więcej i mów, co zaszło między tobą a moją siostrą.

— To, że mnie już nie kocha — wykrzyknął Rafael pełnym rozpacz głosem. — To, że mną gardzi, że zerwaliśmy ze sobą i że mnie nie chce wcale znać.

Montenegro uśmiechnął się ze sceptycyzmem rozsądnego młodzieńca, wroga zbyt gwałtownej miłości, jak również długich idealnych wzdychań. On osobiście zadowalał się łatwymi zwycięstwami, traktując je jedynie jako zaspokojenie potrzeb organicznych. Przybrał ironiczny ton, aby tym łacniej uspokoić zapał przyjaciela.

— I tyle tego? Zwyczajna kłótnia zakochanych, przelotna chmurka, którą rozproszy wiatr. Uspokój się, burza minie prędko. Nie zwracaj uwagi na babskie grymasy! Młode dziewczęta boczą się nieraz i udają gniew, aby podniecić miłość ukochanego. A kiedy najmniej będziesz się tego spodziewał, ujrzysz Marię, która podejdzie do ciebie mówiąc, że to był tylko żart, chęć wystawienia twego uczucia na próbę i że teraz kocha cię więcej niż kiedykolwiek.

— Nie, nie — odpowiedział Rafael potrząsając głową — ona mnie już nie kocha. Stało się: pozostaje mi tylko śmierć.

Zaczął opowiadać. Maria prosiła go pewnej nocy, aby przyszedł pod jej okna, musi z nim bowiem pomówić, i wtedy głosem tak dziwnym, że samo wspomnienie budzi w jego sercu uczucie grozy, oświadczyła mu, że wszystko między nimi skończone. Wielki Boże! Cóż to był za cios! Uczepił się kraty, aby nie upaść. Nic nie pomogły jego błagania, była niezłomna jak skała. Z jakimś okropnym uśmiechem nie przestawała powtarzać, że nie może go już kochać. Ach, te kobiety!

— Tak, mój przyjacielu, jakkolwiek chodzi tu o moją siostrę, nie chcę robić wyjątków, i przyznaję, że wszystkie razem wzięte są diabła warte! Oto dlaczego stronie od poważniejszego stosunku, a wolę przelotne miłości. Czym Jednak objaśniała swą nagłą decyzję?

— Tym, że mnie już nie kocha, że dawne jej uczucie zgasło nagle, że żywi dla mnie jedynie sympatię i dlatego nie chce mnie okłamywać... Przecież miłość nie jest lampą, żeby mogła nagle zgasnąć...

Nic nie pomogły prośby i zaklęcia. Skończyło się na tym, że znudzona tą sceną Maria zatrzasnęła nagle okiennice. A potem? Był dwukrotnie w Marchamalo pod pretekstem odwiedzenia chrzestnego, Maria jednak słysząc tętent jego konia, kryła się przed nim za każdym razem.

Montenegro wysłuchał w milczeniu opowiadania, potem po chwilowej pauzie zapytał:

— A może ma innego wielbiciela? Może pokochała Innego?

— Nie, nie! — pośpieszył z odpowiedzią Rafael. — Sam wpadłem zrazu na to przypuszczenie, myśląc o zamordowaniu rywala! Przysięgłem sobie, że go zabiję. Niestety, nie mogę tego uczynić, bo żaden rywal nie odebrał mi jej... Po prostu nie chce mnie i już! Po całych dniach śledziłem ją z ukrycia, już to przesiadując godzinami w jednej z po

bliskich oberż, już to pod jej oknami lub w winnicy, gdzie ze strzelbą na ramieniu czatowałem na nieznanego rywala. Nigdy jednak i nigdzie nie trafiłem na najłżejszy ślad zdrady. Nie bywam już wcale w domu. Zarandilla wyręcza mnie we wszystkim. Gdyby mój pan dowiedział się o tym, wyrzuciłby mnie z posady... Niech tam! Nie mogę robić nic innego... Muszę pilnować twej siostry... Wiem, że nie ma kochanka, że nie kocha nikogo. Wyobraź sobie, iż wydaje mi się nawet, że kocha mnie jeszcze. Szalone przypuszczenie, nieprawdaż?... A jednak przeklęta dziewczyna ucieka ode mnie i zapewnia, że nie kocha mnie wcale.

— Musiałeś jednak narazić się jej! Czy nie dowiedziała się przypadkiem o jakimś twoim romansiku?

— Nie. Od chwili, gdy staram się o nią, nie zwracam zupełnie uwagi na kobiety. Wszystkie są w moich oczach brzydkie, wie o tym doskonale. Ostatniej nocy, kiedy zacząłem prosić ją o to, aby mi przebaczyła, jeśli ją obraziłem czymś niechcący, biedaczka zalała się łzami, zupełnie tak jak skruszona grzesznica. Wie dobrze, że nie zawiniłem wobec niej niczym. Powiedziała mi nawet: „Biedny Rafaelu, dobry jesteś chłopiec! Zapomnij o mnie! Byłbyś nieszczęśliwy, gdybym została przy tobie”. Zaraz po tym zatrzasnęła okiennice.

— Wiesz co — szepnął Montenegro — wszystko to wydaje mi się jakieś dziwne. Prawdziwa zagadka. Siostra moja porzuca cię, nie mając innego kochanka! Mówi, że jesteś dobry, jest dla ciebie czuła i... zatrzaskuje ci przed nosem okiennice! Do diabła z babami! Te przeklęte stworzenia mają czasem dziwnie złe serca!

Na sali biesiadnej wzmagął się gwar. Do uszu przyjaciół dobiegały urywki śpiewanej przez jakąś kobietą piosenki:

„O, okrutna gitano... czemuś porzuciła mnie,  
Wtedy gdym, luba, tak bardzo kochała cię...”

Rafael nie mógł dłużej słuchać. Smutek naiwnej ludowej piosenki szarpał jego sercem. Znowu zaczął płakać i jęczeć jak skrzywdzone dziecko.

— Słyszysz — zaczął mówić do przyjaciela — ten nieszczęśliwy kochanek to ja. Nawet nad psem, którego się wychowało, ma człowiek litość i nie wyrzuca go na ulicę. A tymczasem ona... Kocham cię i — już nie kocham! Zdychaj z żalu, jeśli masz chęć! Dziw, że jeszcze nie odebrałem sobie życia!

Po chwilowym milczeniu znowu zabrał głos:

— Ty jeden, mój Firminie, mógłbyś mi dopomóc. Oto dlaczego czekałem dziś na ciebie przed biurem. Wiem, jaki masz wpływ na Marię. Do twego ojca nie śmiałybym się zwrócić z tą prośbą, w twoje ręce z ufnością składam tę sprawę. Nie odwracaj się ode mnie! Zaopiekuj się mną! Skrusz to kamienne serce! Podtrzymaj mnie, bo upadnę i popełnię zbrodnię.

— Dobrze już, dobrze.. Zrobi się, co będzie można, nie płacz tylko! Zobaczą się z siostrą, pomówię z nią o tobie, natrę jej dobrze uszu. No, co? Jesteś zadowolony?

Rafael otarł oczy i uśmiechnął się. Zaczął przynaglać przyjaciela:

— Kiedy chcesz widzieć się z nią?

— Jutro mamy dużo dodatkowej pracy w biurze, związanej z zamknięciem roku handlowego.

— Jutro!!...

Rafael skrzywił się z niezadowoleniem: jeszcze jedna bezsenna noc strawiona na rozmyślaniu i mękach niepewności. Zaczął błagać:

— Firminie, zrób to dla mnie, udaj się tam niezwłocznie, uratujesz mi życie. W biurze nikt nic nie powie, lubią cię wszyscy i cenią.

Wzruszony smutkiem przyjaciela, Montenegro ustąpił. Dziś jeszcze będzie w Marchamalo, skłamię w biurze, że ojciec jego był niezdrów i wezwał go do siebie. Don Ramon jest dobry i nic nie powie.

Zdjęty niecierpliwością, młodzieniec zaczął tłumaczyć Firminowi, że dni styczniowe są krótkie, więc należy śpieszyć się z wyruszeniem w drogę. Montenegro wezwał kelnera żądając rachunku, dowiedział się jednak, że Don Ludwik kazał zapisać wszystko na swój rachunek.

Rafał wyszedł na ulicę, nie chcąc stanąć przed swym chlebodawcą z zapłakanymi oczyma, Montenegro zaś wstąpił na chwilę do biesiadujących i wychyliwszy w ich towarzystwie szklankę wina ulotnił się, jakkolwiek Ludwik usiłował zatrzymać go siłą.

Teraz nic już nie przeszkadzało spełnić danej przyjacielowi obietnicy. Rafał wziął Firmina na swego konia, ażeby go podwieźć do miejsca przeznaczenia. Nie mogąc doczekać się chwili, kiedy ujrzy z dala wysoką wieżę, spinaj wciąż konia ostrogami, zmuszając do szybszego biegu.

— Padnie ci w drodze! — wołał Montenegro trzymając się oburącz przyjaciela. — Nie jesteśmy byle piórkiem.

Rafał jednak myślał tylko o rozmowie, która miała rozstrzygnąć o jego losie.

— Chętnie dowiozłbym cię nawet ognistym wozem Eliasza, abyś tylko jak najprędzej załatwił moją sprawę.

Zatrzymali się w pobliżu winnicy obok przydrożnej oberży.

— Czy mam tu zaczekać na ciebie? — zapytał chcąc jak najprędzej dowiedzieć się o wyniku rozmowy,

Montenegro polecił mu wracać, zwłaszcza że miał zamiar zanoć w Marchamalo. Ruszył dalej pieszo, Rafał zaś zawrócił do domu, wołając z dala, że jutro rano będzie w tym samym miejscu czekać na niego.

Firmin Montenegro przywitawszy się z synem zaczął wypytywać go z niepokojem o nowiny z Jerez.

— Nie ma nić nowego, mój ojczu. Zanoć u was, otrzymałem pozwolenie. W biurze niewiele mam roboty. Stary ucieszył się, lecz się nie uspokoił.

— Widząc cię pomyślałam sobie, że coś się stało, ale widocznie jeszcze owoc nie dojrzał. Wiem jednak, iż dojrzeje... Ja tu wiem wszystko. Mam przyjaciół z innych winnic, przynoszą mi wieści o strajku. W oberży mulnicy rozpowiadają różne dziwy.

Stary Firmin jął rozwodzić się nad tym, że jutro w dolinie Cauliny ma się odbyć wielki wiec. Nikt nie wie, kto go zwołał, jednak wieść o nim podawano sobie z ust do ust. Przybędzie parę tysięcy ludzi — wszyscy robotnicy zatrudnieni w obrębie Jerez i jego najbliższych okolic, nawet ci, którzy pracowali w Maladze.

— Przygotowują prawdziwą rewolucję, mój synu. Głównym przywódcą ruchu jest niejaki „Mądrytzyk”. Każe on robotnikom mordować bogaczy i podzielić między siebie skarby będące w posiadaniu miasta. Przemawia w imieniu Salvatierry zapewniając, iż jest jego agentem. Wielu zaklina się, że widziano Don Fernanda w naszym mieście i że w chwili wybuchu rewolucji ukaże się publicznie. Co sądzisz o tym?

Montenegro potrząsnął przecząco głową.

— Przekonasz się, ojczu, że z wielkiej chmury będzie mały deszcz i wszystko skończy się na krzyku... Byłoby szaleństwem próbować zdobyć miasto, w którym stacjonuje tyle wojska. A historia z Don Fernandem jest również błagą. Pisał do mnie przed paru dniami ani się za

jąknął o tym, że chciałby wrócić do Jerez. Jestem pewny, że nie opuszczał on wcale Madrytu. Zbyt jest rozsądny, aby się kompromitować tego rodzaju wyskokami.

— Podzielał twoje zdanie, mój synu. Mimo to jednak proszę cię bardzo, abyś unikał tych szaleńców, gdyby udało się im wdrzeć do miasta.

Montenegro, rozmawiając z ojcem, oglądał się za siostrą. Ujrzał ją wreszcie wychodzącą z domu. Na widok brata uśmiechnęła się i wydała okrzyk radości. Montenegro spojrział na nią uważnie. Nie dostrzegł nic takiego, co by mogło nasunąć mu podejrzenie, dotyczące tak żalosego zakończenia jej pierwszej miłości.

W ciągu całej godziny szukał sposobności, aby pozostać z siostrą sam na sam. Mimo panowania nad sobą był zmieszany, bladł, czerwienił się i tracił raz po raz wątek rozmowy. Wreszcie stary dozorca wyszedł z domu, aby się spotkać ze swymi przyjaciółmi, którzy mieli mu opowiedzieć o szczegółach jutrzejszego wiecu.

Brat i siostra zostali sami.

Montenegro po krótkim milczeniu zabrał głos:

— Marietto, muszę z tobą pomówić.

— Słucham cię, braciszku. Zgadłam od razu, że przyjechałeś z jakimś zamiarem.

— Nie możemy tu rozmawiać. Ojciec mógłby wrócić niebawem, a to, o czym będziemy mówić, wymaga czasu i spokoju umysłu. Przejdźmy się.

Zaczęli schodzić ze wzgórza w kierunku wysokich drzew, otaczających zielonym półkolem posiadłość Dupontów od strony doliny.

Maria, jakkolwiek pozornie spokojna, była zdenerwowana i chciała jak najrychlej rozpocząć ciężką dla niej rozmowę. Montenegro jednak zwlekał. Stanęli wreszcie przy szerokiej luce w zielonym szpalerze, znajdującym się na wprost oliwkowego lasku. Poprzez jego kędzierzawe

gałęzie przedzierały się złote promienie zachodzącego słońca. Montenegro posadził siostrę na murawie, sam usiadł nawprost niej, tkliwym uśmiechem zachęcając ją do szczerości.

— Powiedz mi teraz, kochana wariatko, dlaczego zerwałaś z Rafaelem, dlaczego odpędziłaś go od siebie jak psa, zadając mu tyle cierpień, że bliski jest w tej chwili samobójstwa.

Maria, zda się, nie chciała ujmować sprawy poważnie, zaczęła bowiem śmiać się głośno. Ale śmiech ten był jakiś wymuszony, a na jej bladej twarzyczce zjawiał się wyraz dotkliwego cierpienia.

— Dlaczego? Dlatego, że go nie kocham. Dlatego że mam go już dosyć. To głupiec, który mi się sprzykrzył. Alboż nie mam prawa kochać tego, który mi się podoba?

— Kłamiesz! Kochasz go jeszcze, widzę to z twojej twarzy. Kłamiesz, że ci się sprzykrzył. Wszystko to kłamstwo, co mi powiedziałaś przed chwilą! Nie jesteś zła, dlaczego więc traktujesz Rafaela z takim okrucieństwem? Przecież kochaliście się od dziecka! Jest coś niezrozumiałego w twoim postępowaniu. Musisz wyznać mi prawdę. Alboż nie jestem twoim najlepszym przyjacielem?

— Imaginacja — odpowiedziała sucho, wstając z miejsca. — Imaginacja! Chcesz prawdy? Wysłuchaj jej: oto mam dosyć miłości, nie kocham nikogo i pragnę przez całe życie nie rozstawać się ani z ojcem, ani z tobą! Ż nikim innym nie będę szczęśliwa. Do licha z miłością!

— Znowu kłamstwo — przerwał jej ironicznym tonem. — Dlaczego zdudził cię nagle człowiek, którego tak bardzo kochałaś? Droga siostrzyczko, pozwól, że nie uwierzę w te wszystkie bajki.

Gdy zaczęła zapewniać go o prawdzie swych słów, Montenegro rozgniewał się.

— Hipokrytka! Nieuczciwa i bez serca kobieta! Czy ty myślisz, dziewczyno, że wolno ci odtrącać od siebie dla prostego kaprysu człowieka, który w tobie tylko widział cały swój świat. Czy wolno ci tak postępować po tylu nocach spędzonych z nim przy świetle księżyca? Po tylu przysięgach na wieczną miłość i wierność! A czy ty wiesz, że niejedna dziewczyna za mniejsze przewiny otrzymała pchnięcie sztyletu w samo serce! Krzycz, mów, co ci się podoba! Ja jestem w tej chwili myślami przy tym biedaku, który przez ciebie rozpacza, który płacze jak dziecko — on, najdzielniejszy mężczyzna w całej Andaluzji. I to przez ciebie! Przez ciebie, która postępujesz gorzej od najniecieńszej gitany!! Ty, chorągiewko na dachu!

Mówiąc o Rafaelu Montenegro uniósł się, zwłaszcza gdy zaczął opisywać jego boleść i rozpacz. Nagle urwał. Milcząca dotąd i zimna, Maria zalała się nagle łzami, z piersi jej wydarły się gwałtowne jęki...

— Biedny, nieszczęśliwy chłopiec — wołała zapominając o wszelkim udawaniu. — Mój drogi Rafael!

— A więc kochasz go, nieprawdaż? — zapytał już nieco łagodniejszym głosem. — Kochasz go? Samaś się z tym zdradziła! Po co więc sprawiasz mu ból? Po co ten rozpaczliwy upór i udawanie, które jest przyczyną jego i twoich łez?

Pochylił się nad siostrą, przemawiając do niej czule i pocieszając z braterską tkliwością. Czuł, że tajemnica, którą Maria kryła zazdrośnie w swym sercu, jest niezwykle poważna.

Ciągle jeszcze szlochała, tuliła się do piersi brata, usta jej jednak milczały. Bała się, że powie za wiele, wołała więc tylko płakać.

— Mów! — wykrzyknął wreszcie zniecierpliwiony. — Mówże coś, na Boga! Kochasz Rafaela, kochasz go więcej nawet, niż potrzeba. Dlaczego więc chcesz go porzucić?

Dlaczego odtrącasz? Twoje milczenie niepokoi mnie i budzi w moim sercu jakieś dziwne obawy. Dlaczego? Dlaczego? Mów! Mów na Boga! Bo inaczej zdolny będę zabić cię!

Potrząsnęła ją tak gwałtownie, że zachwiała się i upadła na murawę, kryjąc twarz w dłoniach.

Słońce zachodziło już opierając swą purpurowozłotą tarczę niemal o linię horyzontu. Ostatnie jego promienie ślizgały się po powierzchni ziemi, kładąc pomarańczowe błyski na korze drzew, na gałęziach tu i tam rosnących krzewów i na smukłej sylwetce leżącej dziewczyny.

— Mów, Mario, mów! — warknął Montenegro. — Powiedz, dlaczego czynisz to wszystko?. Powiedz, jeśli ci miłe życie! Ja oszaleję! Powiedz mi wszystko, mnie, twemu bratu! Twemu Firminowi...

Usłyszał cichy, nieśmiały szept płynący jakby spod ziemi:

— Nie kocham go... lecz go uwielbiam.. Nie mogę go kochać! Nie wolno mi go kochać! Zbyt go uwielbiam, aby uczynić go nieszczęśliwym...

Słowa te, rzekłbyś, dodały jej odwagi. Wyprostowała się i spojrzała bratu prosto w oczy,

— Możesz mnie bić, możesz mnie zabić, nigdy jednak nie będziemy z sobą mówić o Rafaelu. Przysięgam sobie pewnego dnia, że gdybym doszła do przekonania, iż nie jestem godna jego miłości, porzucę go, chociażby serce moje miało pęknąć z żalu. Zbrodnią by było profanować taką miłość jak jego.

Znowu zapadło milczenie. Słońce znikło za horyzontem. Na tle liliowego nieba, wyłoczonego silnie od zachodu, ciemne gałęzie drzew oliwkowych, utworzyły delikatną, lekko falującą na wietrze koronkę,

Montenegro milczał. Był przerażony przecuciem straszliwej prawdy.

— Z tego, coś powiedziała, wnoszę, że uważasz się za niegodną miłości Rafaela. Uciekasz przed nim, w życiu twoim bowiem stało się coś, co mogłoby kiedyś okryć go wstydem, i stać się przyczyną jego nieszczęścia.

— Tak — odpowiedziała nie spuszczać oczu.

— Co to jest? Mów! Chyba brat ma prawo żądać prawdy.

Maria znowu ukryła twarz w dłoniach..

— Nigdy! Nigdy ci nic nie powiem! I tak wiesz za dużo. Jest to tortura, która przewyższa moje siły. Jeśli kochasz mnie naprawdę, uszanujesz moje milczenie i pozostawisz mnie w spokoju. Naprawdę, jest mi on bardzo potrzebny. Znowu ciszę nocy zakłócił jej stłumiony płacz.

Montenegro wydawał się niemniej przybity niż jego siostra. Po wybuchu gwałtownego gniewu poczuł się nagle słaby, złamany, unicestwiony. Zaczął przemawiać do dziewczęcia łagodnie, przywołując jej na pamięć wszystkie drogie ich sercu chwile, jakie spędzili razem. Matka odumarła ich bardzo dawno. Firmin zastępował dziewczynce matkę... Kotysał ją, pieścił, usypiał, a w latach wielkiej biedy oddawał jej kawałek chleba, który dostał od kolegi, łagodząc swój głód myślą, że siostrzyczka przynajmniej nie jest głodna. Gdy już nieco podrosła, on był powiernikiem wszystkich jej dziewczęcych tajemnic... Przed nim spowiadała się zawsze ze wszystkich swoich grzeszków... A teraz? Wołała dręczyć go poczuciem nie dopowiedzianej tajemnicy, niż wyznać mu wszystko.

— Zła, niedobra z ciebie siostra! Jak mało cię znałem Łagodne wyrzuty, jakie jej teraz czynił, wzruszyły ją bardziej niż poprzednie pogroźki.

— Milczałam, nie chciałam nic mówić pragnąc oszczędzić ci cierpienia, wiem bowiem, że prawda będzie dla

ciebie bolesna.. Słodki Jezu! I ja muszę dobrowolnie łamać serce dwom najbardziej przeze mnie kochanym istotom! Wobec tego jednak, że żądasz ode mnie prawdy, braciszku, poznaj ją. Zwierzę ci się ze wszystkiego. Niech się dzieje wola nieba!

Usiadła, twarz jej skamieniała, zamarła. Niemał nie poruszając ustami, jak przez sen, wpatrując się martwym wzrokiem w przestrzeń, zaczęła opowiadać.

Mówiła... mówiła... monotonnym cichym głosem, jakby, opowiadając historię jakiejś innej, obcej kobiety. Przed oczami słuchającego ją brata przesuwaly się obrazy straszliwego dramatu. Orgia nocna w dniu ukończenia winobrania... Siostra, bardziej jeszcze pijana niż inne kobiety, leżąca na podłodze przy tłoczniach... Zjawienie się nędznego rozpustnika, który przyszedł, aby skorzystać niecznie z nieprzytomności swej ofiary.

— Wino! Przeklęte wino! — mówiła gniewnym głosem, zwalając na złocisty trunek całą odpowiedzialność za nieszczęście, jakie ją spotkało.

— Tak jest, wino! — powtarzał za nią Montenegro.

...Opowiedziała mu, z jakim przerażeniem zbudziła się z ciężkiego, pijackiego snu, z jakim oburzeniem i wzdargą odrzuciła od siebie nie kochanego mężczyznę, który skorzystał z jej nieprzytomności i po strasliwym akcie gwałtu stał się jej po prostu wstrętny.

Utraciła w jednej, chwili wszystko. Życie nie miało już dla niej żadnego powabu. Nie mogła należeć do tego, którego kochała. Musiała udawać obojętność, lekkomyślność, musiała zadawać mu. ból, raczej skazać go na cierpienie, niż wyznać mu prawdę.

Wpojono w nią przekonanie, że utrata dziewictwa; nawet nie z własnej winy, pociąga za; sobą utratę prawa do uczciwej miłości i do szacunku ukochanego człowieka

W myśl tych zasad nieszczęście, jakie ją spotkało, uważała za klęskę życiową nie do naprawienia. Nie chcąc upaść w oczach Rafaela, wołała udawać obojętność, niż oszukiwać go lub zasłużyć na jego wzdargę. Nieprawdaż, że nie mogła postąpić inaczej?

Montenegro siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, podobny do trupa raczej niż do żywego człowieka. Nagle, jakby budząc się ze snu, zerwał się z miejsca i wybuchnął jak zwierzę, które wpada we wściekłość na widok grożącego mu niebezpieczeństwa.

— Ach, ty bezwstydną suko! — warknął zdjęty gniewem. — Ty, brudna ścierko! K....!

Ruszył w jej stronę z podniesioną pięścią, jakby zamierzając zadać jej cios. Maria, wyczerpana dopiero co przeżytą sceną, nie miała sił do walki ani do samoobrony.... Nie zmrużyła oka i nie cofnęła się przed napaścią... Czekwała spokojnie.

Ręka, która miała ją uderzyć, opadła bezwładnie. Był to jedyny odruch okrucieństwa. Montenegro nie przypisywał sobie prawa wymierzenia siostrze kary... Przed oczyma jego duszy stanęła nagle postać Salvatierry z jego dobrotliwym, mądrym uśmiechem, pełnym bezgranicznej wyrozumiałości i pobłażania. On wybaczyłby niewątpliwie.

— Ani słowa przed ojcem o tym, co się stało! — rzekł po chwili. — Biedny staruszek umarłby ze zmartwienia.

Maria skinęła głową na znak zgody.

— Ani słowa przed Rafaelem — mówił dalej — pamiętaj o tym na wypadek, gdybyś się z nim spotkała. Znam go. Biedny chłopiec dostałby się przez ciebie na galery.

Ostrzeżenie to było niepotrzebne. Sama postanowiła przecież nie zdradzić się przed nim ani słowem i ucho

dzie w jego oczach raczej lekkomyślną i pozbawioną serca kokietkę.

Montenegro mówił dalej posępnym głosem:

— Będziesz musiała poślubić Ludwika Duponta... Nienawidzi go... Kryje się przed nim od owej nocy...

Unika go... Jest to jednak jedyne wyjście z sytuacji. Nie pozwoli na szarpanie honoru ich imienia. Będzie musiała uczynić to z obowiązku. Ludwik sam przyjdzie prosić ją o rękę.

— Ależ ja go nienawidzę! Brzydę się nim! — wykrzyknęła. — Niech mi się nie pokazuje na oczy!. Nie chcę go widzieć!

Opór jej nic nie zdziałał. Firmin pozostał głuchy na jej błagania. Musiała wypełnić swój obowiązek!

Noc ciemna zawisła nad ziemią. Wrócili do domu, śmiertelnie znużeni i smutni. Szli ledwie powłócząc nogami, jak gdyby jakiś ciężar leżał im na plecach i przytłaczał do ziemi. Przez cały wieczór musieli wobec ojca udawać swobodę i dobry humor.

Przez całą noc nie mogli zmrużyć oka.

Montenegro słyszał, jak Maria przez całą noc przewracała się na swym łóżku z boku na bok i ciężko wdychała.

O świcie udał się do Jerez, nie żegnając się w domu z nikim. Podchodząc do oberży ujrzał Rafaela czekającego nań konno pośrodku drogi.

— Wobec tego, że wracasz tak wcześnie — wykrzyknął biedny młodzieniec w nagłym przyplýwie nadziei — mam wrażenie, że przynosisz mi jakieś dobre wieści. Mów, drogi Firminie, słucham cię.

Montenegro uczynił nadludzki wysiłek, aby odpowiedzieć przyjacielowi z pozornym spokojem.

— Sprawy nie stoją ani źle, ani dobrze, nie ma jednak powodu do rozpacz. Ot, po prostu kaprysy... I tyle...

Postaram się użyć swego wpływu, aby wszystko skończyło się dobrze. Najważniejsze jest, że Maria kocha cię tak samo jak pierwej. Co do tego — nie myślę się. Twarz Rafaela rozpromieniła się.

— Siadaj, drogi Firminie, na mego konika... Już, żywo, hop! Dostawię cię do Jerez w oka mgnieniu! Jesteś geniuszem dyplomacji i wymowy! Wiedziałem, co robię, gdy postanowiłem udać się pod twoje skrzydło!

Pogalopowali w kierunku miasta. Rafaelowi wyrosły skrzydła u ramion. Poganiając konia, śpiewał i śmiał się jednocześnie, Montenegro zaś z trudem tłumił łzy, słuchając radosnej paplaniny biedaka, który cieszył się nadzieją, że zdobędzie na nowo chwilowo utracone szczęście.

Przed bramą miejską przyjaciele uścisnęli sobie dłonie. Rafael udał się do siebie na fermę. Chciał być w domu, wiedział bowiem, że po południu w dolinie Cauliny mają się odbyć wiec.

— Rebelianci mają zamiar podobno strzelać, rabować, palić wszystko na swej drodze. Biada temu, który się zjawi u mnie w złych zamiarach! Zapozna się biedak z moją strzelbą. Zawsze co pan, to pan... A wobec tego, że Don Ludwik jest moim zwierzchnikiem i powierzył mi pieczę nad swym mieniem, muszę bronić jego interesów i — basta!



Montenegro spędził dzień cały przy swoim biurku. Myśl jego jednak była zaprzątnięta zgoła innymi sprawami. Pracował automatycznie, sumował cyfry spoglądając raz po raz na drzwi gabinetu Don Pabla, z którym postanowił rozmówić się bez świadków dziś jeszcze. Znał usposobienie „starego” i wiedział, że nie umie panować nad sobą, Firmin zaś bał się rozgłosu. A więc lepiej będzie, gdy pogada z nim w jego prywatnym, mieszkaniu

Po południu po krótkim spacerze Montenegro skierował się do wspaniałego pałacu pani Elwiry.

Jako starszy urzędnik firmy, wszedł bez przeszkód na wewnętrzne podwórze i kazał się zameldować, Został szefa przy aparacie telefonicznym. Trzymaj przy uchu słuchawkę, notując coś w bloku.

Don Pablo kiwnięciem głowy powitał wchodzącego i wskazał mu fotel, dając znak, aby zaczekał, aż skończy rozmowę. Montenegro, zasiadłszy w fotelu, zaczął rozglądać się po wspaniałym gabinecie, w którym nigdy jeszcze nie był. Pełno tu było rzadkich dzieł sztuki: rzeźb, obrazów, gobelinów i starożytnej broni. Całe pokolenia składały się, aby uczynić z tego pokoju niemal że muzeum zawierające cenne i rzadkie zabytki.

Gdy Don Pablo ukończył wreszcie swą rozmowę, zbliżył się do Montenegro i uprzejmym ruchem ręki zapraszając go do pozostania w pozycji siedzącej zapytał:

— Co się stało, mój chłopcze? Czy przynosisz mi jakieś nowiny? Może dowiedziałeś się czegoś ciekawego o wiecu? Właśnie telefonowano do mnie, że manifestanci ciągną tam ze wszystkich stron. Jest ich blisko trzy tysiące.

— Mało mnie obchodzi ich wiec — odpowiedział Montenegro obojętnym tonem. — Przychodzę w całkiem innej sprawie.

— Jestem bardzo zadowolony, że przestałeś się interesować tym przeklętym ruchem — rzekł Don Pablo sadowiac się wygodnie przy stole. — W swoim czasie miałeś nieco przewrócone w głowie... Tym lepiej, że nie mieszasz się teraz do niczego! Mówię to dlatego, że żywię dużo sympatii dla ciebie i dla twego ojca. I nie chciałbym, żebyś wpadł w brzydką kabałę wraz z tymi, którzy na to zasłużyli w zupełności...

Zatarł ręce, jakby ciesząc się myślą, że buntownicy poniosą zasłużoną karą.

— Jako wielki przyjaciel Salvatierry, możesz mu powinszować, że nie ma go w tej chwili w Jerez, ponieważ byłoby to najprawdopodobniej jego ostatnie wystąpienie na arenie politycznej... Ale... ale... Powiedz mi, mój chłopcze, z czym właściwie przyszedłeś do mnie? .

Montenegro, zmieszany nieco i niezbyt pewny siebie, zaczął mówić ożywiając się powoli i nabierając animuszu. Cała rodzina Montenegroów zaszczycona była od dawna i jest do dziś dnia wyróżniana przez Don Pabla i jego bliskich. Toteż każdy z Montenegroów, poczynawszy od ojca a kończąc na nim samym, stara się złożyć im dowody swej wdzięczności i czci. Znając przy tym zasady Don Pabla, jego pobożność i umiłowanie cnót chrześcijańskich, on Firmin Montenegro junior, w dniu, kiedy ród jego został doświadczony przez los, przyszedł do niego, aby prosić o radę i poparcie.

Dupont, przyglądając się spod oka mówiącemu, zdecydował, że sprawa musiała być istotnie poważna, skoro odważył się przyjść do niego po radę.

— Dobrze — rzekł z odcieniem niecierpliwości w głosie — do rzeczy, do rzeczy i nie traćmy drogiego czasu. Pomyśl tylko, że dzień dzisiejszy nie jest zwykłym dniem. Lada chwila mogą mnie wezwać do telefonu,

Montenegro wahał się jeszcze przez chwilę, w końcu postanowił opowiedzieć Don Pablowi wszystko.

Wybuchowy temperament Don Pabla poniósł go. Nie zdołał opanować swego oburzenia i przerywał opowiadanie okrzykami gniewu. Gdy Montenegro zamilkł, wybuchła burza. Egoizm wziął górę nad cnotami chrześcijańskimi. Don Pablo myślał tylko o sobie i o wstydzie, jakim Don Ludwik okrył ich nazwisko, oraz o obeldze,

jaką zadał jemu, swemu kuzynowi, wnosząc hańbę pod jego dach.

— Coś podobnego w Marchamalo! — wykrzyknął zrywając się z fotela. — Moją posiadłość uczynić przybytkiem rozpusty! Orgia i wyuzdanie o kilka kroków od kaplicy, domu Bożego, w którym uczeni księży wygłaszali tyle świętych sentencji!

Dławiło go oburzenie. Zakaszłał trzymając się kurczowo brzegu stołu, wyglądał tak, jakby święte oburzenie miało go za chwilę położyć trupem. Potem zaczęły się wyrzekania natury handlowej: takie cudne wino, takie drogie wino zostało w jego nieobecności tak zmarnowane. Bo i kto miał się na nim poznać?! Ta pijana, niemyta, ciemna jak tabaka w rogu, banda obdartusów. Zmył dobrze głowę kuzynowi za marnowanie wina, aż tu nagle — nie do wiary! — nowa historia, gwałt na bezbronnej kobiecie w czcigodnym domu głowy rodu Dupontów! Mój Boże, taki wstyd dla całej rodziny!

— Użał się nad mym losem, mój Firminie — jęknął żałośliwie. — Ciężki krzyż zsyła na mnie Wszechmocny Pan. Zdawałoby się, że mam wszystko, czego dusza zapragnie: bogactwo, matkę — świętą niewiastę, bogobojną żonę, uległe dzieci, a jednak szczęście na tym padole nigdy nie jest całkowite. I na słońcu bywają plamy. Plamą na słońcu mego szczęścia są moje kuzynki — córki markiza — i nieszczęsny Ludwik, opętany najwyraźniej przez szatana. Nasz ród jest pierwszy ze wszystkich, lecz ta szalona trójka uwzięła się, aby serca nasze brać na tortury i szarpać je męczarniami wstydu i udręki. Ulituj się nade mną, Firminie, nade mną, najnieszczęśliwszym z chrześcijan na tej ziemi, jakkolwiek nie użałam się na Swój los i, mimo wszystko, chwalę i wielbię mego Pana!

Tak przejął się rolą nieszczęśliwej ofiary losu, błagającej o współczucie, że omal nie uklęknął przed Montene

grem składając ręce jak do modlitwy. Był przy tym tak śmieszny, że mimo całej powagi chwili Montenegro musiał parokrotnie powściągać uśmiech.

Don Pablo padł na fotel i ukrywając twarz w dłoniach powtarzał monotonnym i smutnym głosem: „Rodzina! Rodzina! Rodzina!” Podniósłszy wzrok na Firmina, spotkał się z jego pełnym zdziwienia spojrzeniem. Można było wyczytać w nim wyraźne pytanie, kiedy ten pseudonieszczęśliwy człowiek przestanie błagać o współczucie dla siebie, a zacnie użalać się nad większą może jeszcze ofiarą losu, która siedziała przed nim.

— Ale, ale powiedz mi jednak, co mogę uczynić w tym wypadku? — zapytał w końcu z pewnym zainteresowaniem. Montenegro zdecydował się i wypalił:

— Gdybym wiedział, co o można uczynić, z pewnością nie przyszedłbym naprzykrzać się panu swoją osobą. Jestem tu, aby prosić o radę: chrześcijanina i człowieka honoru. Jesteś pan głową rodziny mającym specjalne prawa, no i posłuch wśród swoich. Wobec tego, że posiadasz autorytet, spełnij dobry uczynek i wróć nam honor.

— Głowa rodu! Głowa rodu! — powtarzał ironicznie Don Pablo pograżając się w zadumie. Po chwili milczenia zaczął mówić o Marii. Popelniła ciężki grzech i powinna odkupić go długą skruchą i modłami. Jedyną łagodzącą okolicznością jest to, że znajdowała się w stanie niepoczytalności... Ale, mimo wszystkie tłumaczenia i wykrety, grzech pozostał grzechem. Należałoby teraz pomyśleć o zbawieniu duszy nieszczęśliwej starając się dopomóc jej w tym. Najlepiej zrobi wstępując do klasztoru.

— Nie myśl, że chcę ją zamknąć w pierwszym lepszym. O nie! Pomówię o tym z moją matką i bądź pewny, że zajmujemy się tym z całą serdecznością. Siostra twoja

będzie mogła wstąpić do klasztoru dla kobiet z towarzystwa, wyposażymy ją... Cztery tysiące durosów — pięć, Jeśli zajdzie potrzeba... Wiedz, że pieniąż nie jest dla mnie wszystkim. Zdaje mi się, że znalazłem dobre wyjście. W klasztorze siostra twoja, oczyści duszę. Ja będę mógł znowu spokojnie przyjeżdżać do winnicy, nie obawiając się spotkania z nieszczęsną istotą, która popełniła najohydniejszy z grzechów. Ona zaś będzie żyła sobie jak wielka pani, w wygodach i dostatku, ba, będzie miała nawet służbę! To trochę lepsza pozycja niż gotowanie obiadów dla robotników w Marchamalo.

Montenegro powstał z miejsca. Był blady, brwi miał Ściągnięte gniewem.

— To wszystko, co możesz mi pan powiedzieć? zapytał głuchym głosem.

Ton, jakim zadał to pytanie, zdziwił Don Pabla.

— Jak to? A więc uważasz, że tego jeszcze nie dosyć? Jakie więc lepsze wyjście możesz mi zaproponować?

Oślupiały, nie chcąc wierzyć temu, co zaświtało mu nagle w głowie, dodał:

— Chyba że może ułożyłeś sobie plan małżeństwa między moim kuzynem a twoją siostrą?!

— Małżeństwo takie byłoby zadośćuczynieniem sprawiedliwości. Oto jest jedynie logiczne i naturalne wyjście z zawikłanej sytuacji. Tego wyjścia wymaga honor, jest to jedyne wyjście, jakie winien zaproponować tak dobry chrześcijanin, jakim pan jesteś.

— Ta, ta, ta! — wykrzyknął Don Pablo z nowym wybuchem oburzenia. — Wy, szalone głowy, koniecznie chcecie nagiąć cnoty chrześcijańskie do waszej mody. Znacie religię tylko powierzchownie, jedynie z paru ważniejszych jej formułek, którymi ciskacie nam w twarz, gdy są one wam potrzebne do poparcia sprawy. Musimy

być dobrymi chrześcijanami: przebaczać urazy, udzielać jałmużny, dbać o zbawienie duszy nie tylko swojej, lecz również bliźnich naszych. Z tym wszystkim jednak każdy z nas winien pilnować miejsca, jakie mu Bóg wyznaczył w społeczności: nie możemy przekraczać barier dzielących jedną klasę społeczną od drugiej. Nie powinniśmy obalać tych przegródek w imię fałszywie rozumianej wolności.

Montenegro czynił wysiłki, aby panować nad sobą.

— Siostra moja — powiedział spoglądając zuchwale na Don Pabla — jest mimo wszystko dzielną i uczciwą dziewczyną, mój ojciec to najsympatyczniejszy i najspokojniejszy robotnik w całej okolicy, ja z kolei nigdy nikomu nie uczyniłem nic złego i sumienie mam czyste. My, Montenegrowie, jesteśmy biedni, lecz nikt nie ma prawa gardzić nami ani pozbawiać nas honoru, czynić z nas ofiarę swych egoistycznych pseudowolnomyślnych zachcianek. Nikt! Słyszysz mnie, Don Pablo?! I nikt, kto się na to odważy, nie uczyni tego bezkarnie. Jesteśmy nie mniej warci od najlepszych rodzin, a siostra moja, jakkolwiek jest biedna, może z podniesionym czołem wejść do rodziny wprawdzie posiadającej miliony, ale liczącej w swym gronie takich gagatków jak Ludwik, a pośród kobiet takie panie jak „małe margrabinki”. W innych okolicznościach Don Pablo wybuchnąłby na pewno nieokiełznanym gniewem na takie dictum) zuchwałego urzędnika, uśmierzył jednak swój wybuch. Groźnego szefa onieśmielił wzrok młodzieńca i... głos, w którym czał się powściągnany gniew.

— Pomyśl tylko, mój przyjacielu — odpowiedział dziwnie spokojnym tonem — pomyśl tylko, co ty wygadujesz! Nie przeczę, że mój kuzyn i tamte dwie kobiety to

wielcy grzesznicy. Dużo wycierpiałem przez nich! Lecz on nosi moje nazwisko, a one nazwisko mej małżonki. Choćby przez wzgląd na to, że są to moi krewni, powinieś mówić o nich z większą rezerwą... Zresztą kto jest bez winy? MariaMagdalena była gorsza od owych pań, a mimo to została świętą, a św. Augustyn... w młodości swej... Ostry dzwonek telefonu przerwał nagle zawiły wykład o żywotach Świętych Pańskich w ogóle, a świętego Augustyna w szczególności. Don Pablo pośpieszył do aparatu, na parę minut przyłgnął uchem do tuby telefonu, wydając radosne okrzyki. Widocznie nowiny, jakich się dowiedział, były bardzo pomyślne. Gdy wrócił do stołu, przy którym rozmawiał z Firminem, jak gdyby już wcale nie pamiętał, co sprowadziło młodego urzędnika do jego domu.

— Ciągną na Jerez, Firminie — wykrzyknął wesoło. — Alkad komunikuje mi, że manifestanci z Cauliny idą na miasto. W pierwszej chwili będzie trochę strachu, lecz" potem: bum, bum! pif! paf! — dadzą im lekcję, która bardzo się im przyda: ciężkie roboty, dla jednych, powróż dla drugich... Staną się potem przezorniejsi i dadzą nam żyć przez jakiś czas... Czekaj, muszę kazać zamknąć bramę pałacową i okiennice parterowych okien. Jeśli nie chcesz tu pozostać, musisz iść i to prędko.

Don Pablo mówił z przejęciem, mając zaprzątniętą myśl jedynie sprawą starcia z manifestantami. Pchał Montenegra w stronę drzwi nie pamiętając już wcale o głównym temacie ich rozmowy.

— A więc co postanowimy, Don Pablo?

— Ach tak! Twoja sprawa... a właściwie... tej dziewczyny. Zobaczymy — przyjdź innego dnia. Pomówię o tym z moją matką. Tak jest, klasztor to najlepsze wyjście, wierzaj mi.

Don Pablo zauważył wyraz oburzenia i buntu na twarzy Firmina, wrócił więc do poprzedniego, bardzo uprzejmego tonu.

— Wyrzeknij się lepiej, mój drogi, myśli o małżeństwie! Oszczędź nas! Alboż nie dosyć mamy smutków? Córki markiza... Ludwiczek... A teraz na domiar złego ta szalona propozycja, aby Dupont poślubił córkę dozorca! Przypuszczałem, że więcej masz dla nas szacunku! Trochę litości, mój przyjacielu, trochę litości!

— Tak jest, Don Pablo, lituję się nad panem — rzeki ironicznie Montenegro zatrzymując się w drzwiach. — Tylko litować się można nad takim człowiekiem jak pan Między pańską religijnością a moją jest wielka różnica.

Don Pablo zapomniał nagle o wszystkich swych kłopotach i zrobił kilka kroków w tył. Gniew, który w nim wzbierał już od dawna, zerwał tamy.

Ironia Firmina dotknęła go boleśnie. I to jeden z jego urzędników ośmielił się na coś podobnego.

— Moja religijność! Moja religijność! — wrzasnął groźnie. — Co możesz mówić ty o mojej religijności? Jutro w biurze podyskutujemy na ten temat... Jeżeli nie w tej chwili...

Montenegro nie dał mu skończyć.

— Trudniej będzie z tym jutrem — rzekł spokojnie. — Nie zobaczymy się jutro, a może nigdy już więcej. Teraz również trudno byłoby dyskutować — śpieszy mi się. Żegnaj, Don Pablo! Nie przyjdę już więcej przeszkadzać ci, nie będziesz już nigdy użalał się przede mną na twe nieszczęścia. To, co trzeba będzie uczynić, uczynię sam i bez niczyjej pomocy.

Opuścił pośpiesznie pałac. Gdy znalazł się na ulicy, zaczynało już szarzeć.

## ROZDZIAŁ IX

W godzinach popołudniowych pierwsze grupy robotników zaczęły ściągać w dolinę Cauliny. Manifestanci podobni byli do stad ciemnego ptactwa zlatującego się ze wszystkich stron świata.

Tajemniczy apel biegł z ust do ust, z oberży do mleczarni, z mleczarni do wiosek, płynął polami, łąkami, jak okiem sięgnąć, wszędzie, gdzie tylko widniały biedne lepianki. A wszyscy ich mieszkańcy śpieszyli na wyznaczone miejsce zbiórki, pełni wiary w to, że godzina zemsty, wybiła.

Idąc rzucali w stronę miasta dzikie spojrzenia. Zemsta ludu była bliska. Białe, wesołe miasto, miasto bogaczy miało wkrótce zapłonąć i rozsypać się w gruzy przy krwawym świetle luno pożarnej.

Wszyscy świeżo przybyli gromadzili się"po jednej stronie drogi, na płaszczyźnie usianej tu i tam sterczącymi krzakami. Pasące się tam byki cofnęły się dalej, zdjęte lękiem przed ciemną falą coraz to liczniejszego tłumu.

Już przeszło cztery tysiące manifestantów zgromadziło się w dolinie. Ilekroć nadciągał nowy oddział, jego członkowie zapytywali tych, którzy już byli na miejscu:

— Co ma być dalej?

Zagadnięci zamiast odpowiedzi spoglądali na pytających wzrokiem, w którym wyczytać można było to samo pytanie. Nikt nie wiedział, po co się zebrano, ani — kto był inicjatorem wiecu.

Do wsi dotarła wieść, że w niedzielę w godzinach popołudniowych wybuchnie wielka rewolucja. Na tę wieść wszystko, co żyło, zaczęło się zbroić w kosy, sierpy, widły, sztylety, staroświeckie pistolety i ruszyło na miejsce zbiórki.

Opowiadano sobie, że inicjatywa rewolucji pochodzi od „Madrytczyka”, młodego cudzoziemca, który zjawił się nagle w okresie strajku i zaczął podjudzać robotników płomiennymi mowami. Nikt go nie znał, był to jednak znakomity mówca i człowiek nie byle jaki, jeśli miał takich przyjaciół, jak na przykład Salvatierra.

Godziny płynęły za godziną, dzień chylił się ku końcowi, a nikt z wiecujących nie wiedział jeszcze dokładnie, ani na co czeka beczynn timer, ani jak długo będzie czekać.

Ojciec Zarandilla zdjęty ciekawością przechodził od grupy do grupy, słuchając tego, co i gdzie mówiono. Mimo protestów starej Jadwigi, mimo rady Rafaela, żeby nie szukał guza tam, gdzie może znaleźć i kulę, wszystko puścił mimo uszu i wyruszył z fermy w poszukiwaniu wrażeń. Chciał przyjrzeć się z bliska, jak wygląda rewolucja, której twórcami są biedacy. Przede wszystkim zaś, gdyby doszło szczęśliwie do podziału ziemi pomiędzy robotnikami,, chciał być obecny przy wcieleniu w życie najgorętszych jego marzeń.

Niemile uderzył go chaos, jaki panował dokoła: żadnej organizacji, żadnego planu, nic...

— Byłem niegdyś żołnierzem, moje dzieci — zaczął perorować — i wojowałem. To, co się teraz przygotowuje, ma być wojną... Mamy się bić? A gdzie jest wasz sztandar? Gdzie jest wasz generał?

Daremnie szukał wzrokiem, daremnie wypytywał wszystkich dokoła — nie było generała ani sztantaru!

— Żle! Żle! — pomrukiwał. — Czas wielki wracać na fermę. Stara miała rację: można oberwać kijem po łbie...

Drugim „wszędobylskim” był Alcaparron, który myszkował tu i tam słuchając tego, co mówili zebrani.

Robotnicy drwili z niego niemiłosiernie, proponując mu wzięcie udziału w walce na strzelby i karabiny, z chwilą gdy dojdzie już do zdobywania miasta.

Alcaparron z gestem największego przerażenia zaczynał tłumaczyć, że z żadnego jeszcze Cygana nie wyrósł dobry żołnierz.

— Ale za to z każdego z was jest morowy złodziej, przyłączysz się więc chyba do grupy, która ruszy na rabowanie miasta — sypały się drwiny.

Alcaparron też uśmiechnął się przebiegle — gdy była mowa o rabunku, zaczął odruchowo zacierać ręce. Jeden z byłych robotników Matanzueli rzekł do niego:

— Słuchaj, Cyganie, jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną, możesz pomóc tej nocy śmierć Marii. Weź tę kosę i rozpruj nią brzuch Don Ludwikowi.

Alcaparron odtrącił jednak podawaną sobie broń i usunął się, aby ukryć łzy, które nagle popłynęły mu po twarzy.

Zapadał wieczór. Manifestanci, znudzeni wyczekiwaniem, zaczęli burzyć się i krzyczeć:

— Gdzież jest ten, który ma objąć dowództwo? Czy mamy czekać tu przez całą noc? Gdzie się podział Salvatierra?

Niech tu przyjdzie... Bez niego nie ruszamy się z miejsca!

Najbardziej rzucał się Juanon, olbrzym z Matanzueli.

— Gdzie jest „Madrytczyk”? Szukajcie go!

Dokoła krzyczącego olbrzyma zaczął się skupiać zdezorientowany tłum, czując w nim siłę i materiał na przyszłego dowódcę z twardą pięścią i szybką decyzją.

Znaleziono wreszcie „Madrytczyka” i pieniący się z niecierpliwości Juanon zaczął wypytywać go, co będzie dalej.

Towarzysz z dalekiego miasta odpowiadał mu potokiem mętnych obietnic.

— Gdzie przede wszystkim jest Salvatierra? — nastawał Juanon.

„Madrytczyk” nie widział go co prawda, lecz wie na pewno, że wielki wódz rewolucji jest w mieście i ma czekać rebeliantów przy bramie miejskiej. Wie również, że wojsko jest zrewoltowane i że w ostatniej chwili przyłączy się, do oddziałów robotniczych. Postanowiono, iż oni to otworzą przed wywrotowcami bramy i że oni również wypuszczą na wolność osadzonych w więzieniu towarzyszy.

Juanon, słuchając mówiącego, drapał się w czoło, jakby chcąc dokładniej wniknąć w treść jego słów, w końcu wykrzyknął:

— Dobrze już! Niech i tak będzie! Przede wszystkim trzeba postanowić, czy ruszamy na miasto stawiając wszystko na kartę, czy wracamy do domu pod ciepłą pierzynę.

Oczy jego błysnęły posepnym ogniem decyzji. Z fatalizmem fanatyka postanowił wziąć na siebie odpowiedzialność za wyniki rewolty, którą przygotowywał nie on, o której wiedział tyleż prawie, co cały ten ciemny, zmęczony wyczekiwaniem lud.

— Towarzysze! — wykrzyknął gromkim głosem. — W Jerez są ci, którzy wiedzą, czego chcą, i których możemy uważać za duszę naszego przedsięwzięcia. W Jerez są nasi towarzysze, którzy padli ofiarą początkowej ruchawki. Dalej do Jerez uwolnić więźniów! A potem — śmiało dokończmy dzieła! Salvatierra czeka na nas w Jerez!

— Idę z tobą, Juanonie, wobec tego, że tam czeka nas Salvatierra.

— Kto w piersi swej nie czuje serca tchórza, niech rusza za mną! — darł się Juanon, jakkolwiek nie był pewny, dokąd powiedzie swych towarzyszy.

Tłumy rewolucjonistów zaczęły skupiać się dokoła samozwańczego przywódcy, jednak więcej jeszcze było takich, których ogarnęło zwątpienie.

Tłum podzielił się. Jedni, wygrażając pięściami tworzyli zwarte szeregi bojowe, inni — poszli w rozsypkę. Z beznadziejnie spuszczoną głową odwrócili się plecami do obiecanego miasta i do przywódców, ruszając w drogę powrotną do domu.

Juanon w obawie, że reszta pójdzie za ich przykładem, zaczął naglić wołając:

— Na Jerez! Na Jerez!

Oddziały rewolucjonistów ruszyły w drogę. Pozostało ich zaledwie około tysiąca. Byli to przeważnie robotnicy miejscy i część tylko rolnych, najbardziej rewolucyjnie usposobionych.

Zbuntowane przeciw swym chlebodawcom i władzy, szeregi postępowały w milczeniu. Na każdej twarzy malował się wyraz silnego postanowienia. Każdego, nurtowała myśl: niech się dzieje, co chce, byle prędzej!

Juanon, nie tracąc animuszu, dodawał swym podwładnym energii, wołając co jakiś czas:

— Do więzień, chłopaki! Chodźcie nieść ratunek naszym braciom!

Okrążyli miasto, jakby bojąc się ukazać na szerokich, jasno oświetlonych ulicach. Zamierzali wejść od strony nędznego przedmieścia.

Gdy wreszcie nogi rebeliantów, obute w ciężkie buciska, zadudniły, na bruku ulicznym, w mieście wszczął

się popłoch. Drzwi domów zaczęły zamykać się pośpiesznie, gaszono światła w oknach. Jakaś kobieta stojąca na balkonie jęła drzeć się wniebogłosy:

— Kanalie! Łobuzy! Abyście wszyscy skończyli na szubienicy! Na to tylko zasługujecie!

Cisnęła w sunący środkiem ulicy tłum — wazon od kwiatów. Na szczęście jednak doniczka upadła na bruk z wielkim hałasem i zabiła się nie czyniąc nikomu żadnej krzywdy. To „mała margrabinka” ze swego balkonu, a właściwie z balkonu mieszkania swego świniarza, wyrażała swą pogardę dla hołoty, która śmiała zakłócać sen porządnym ludziom. Niewielu tylko zwróciło uwagę na jej wrzaski, przeważna większość szła dalej, witając jej wybryki pogardliwym milczeniem. Tylko część robotników miejskich poznała „małą margrabinkę”, toteż z ust ich padły w jej kierunku niemniej obelżywe epitety.

— Wściekła suko! Gdyby nam było mniej pilno, przyłożylibyśmy ci dobry plaster do twego bezwstydnego tyłka! Zwarte kolumny rebeliantów znalazły się wreszcie aa Plaža de la Carcel. Było to miejsce egzekucji: tu towarzysze — członkowie związku „Czarnej Ręki” — położyli swe głowy. Plac jednak był zupełnie pusty. W oknach więzienia, dawniej klasztornego gmachu, nie widać było ani jednego światełka. Nawet wartownik ukrył się wewnątrz głównej bramy.

— Nigdzie ani żywej duszy?! Gdzie są ci, co mieli przyjść im z pomocą? Gdzie zrewoltowani żołnierze?

Pytanie to szybko zostało rozstrzygnięte: zza kraty jednego z okien parterowych błysnęła smuga ognia i rozległ się trzask wystrzału, za pierwszym nastąpił drugi, trzeci, ósmy... Najwyraźniej strzelano do tłumy. To żołą

nierze witali „towarzyszy”. Tłum poruszył się niespokojnie i zaczął wołać:

— Nie strzelać! Bracia! Zdradzono nas! Oszukano! Bracia! Nie przychodzimy do was w złych zamiarach.

Bracia jednak byli głusi na ich błagania i nie powstrzymali strzelaniny.

Panika ogarnęła tłum robotniczy. Wszyscy ci bohaterowie, wszyscy nieustraszeni bojownicy wolności cofnęli się gwałtownie, po czym rzucili w rozsypkę, potracając się wzajemnie i tratując, byle być jak najdalej od przeklętych więziennych krat bluzgających morderczym ogniem.

Juanon trzymał się dzielnie i w jednej z bocznych uliczek próbował zgromadzić co dzielniejszych towarzyszy... Liczba ich jednak stopniała do sześciuset.

Klął, lecz nie tracił jeszcze nadziei:

— Gdzie, u diabła, jest „Madrytczyk”? Musi nam wytłumaczyć, jak stoją sprawy.

„Madrytczyk” jednak ulotnił się jak kamfora. Skoro tylko przerażony tłum rzucił się do ucieczki, on pierwszy zawieruszył się w tłumie i znikł bez śladu.

— Zdaje mi się, że wystrychnięto nas na dudków! — rzekł jeden z rewolucjonistów do Juanona.

— I ja podejrzewam, że tak jest — odpowiedział olbrzym. — Co teraz robić? Wobec tego, że weszliśmy już do miasta, ruszajmy na Calle Larga) — do śródmieścia.

Powiódł dalej swe szeregi, które nabrały nieco ducha, widząc, że nikt nie usiłuje ich aresztować ani wstrzymać pochodu. Gdzie jednak byli żandarmi? Dlaczego nie widać było wcale żołnierzy? Strajkujący tłum nabrał ufności łudząc się myślą, że za chwilę ujrzą Salvatierrę kroczącego na ich spotkanie na czele zrewoltowanych oddziałów wojska.

Stanąwszy w dzielnicy zamieszkałej przez bogaczy, zdumieli się stwierdzając, że i tu nie poczyniono żadnych przygotowań mających na celu obronę przed zrewoltowanymi tłumami robotników. Ulice były puste, lecz balkony domów oświetlone, a okna parterowe nie zamknięte na okiennice.

Rewolucjoniści spoglądali z głuchą nienawiścią na « wspaniałe, gmachy, w których przebywali bogacze. Juanon każdej chwili czekał na wybuch. Przygotował się nawet do tego, aby w razie zbyt wielkiego rozpętania namiętności interweniować i złagodzić pierwszy pęd.

Do wybuchu jednak nie doszło. Po chwilowym wahaniu tłum ruszył dalej, jakby w obawie, że spóźni się tam, gdzie na niego czekano.

W chwili gdy mijali Klub Hippy, w oknach ukazały się głowy kilku przedstawicieli złotej młodzieży. We wzroku tych panów można było wyczytać niepokój. Widząc jednak, że zrewoltowani „towarzysze” idą dalej, twarze patrzących rozjaśniły się, a oczy ich błysnęły szyderczym ogniem. Nabrali nagle zaufania, że oni, a nie tłum, będą zwycięzcami.

— Niech żyje rewolucja! — wykrzyknął jakiś bardziej krewki demonstrant, rzucając wyzwanie burżujom.

Wyglądający oknem członkowie klubu schowali głowy, śmiejąc się jednak wesoło. Najwidoczniej, jak zwykle, wszystko miało się skończyć na okrzykach.

Wkrótce manifestanci znaleźli się na Nowym Placu. Widząc, że wódz ich przystanął, otoczyli go zwartym tłumem.

— A teraz co mamy robić, dokąd pójdziemy?

— Naradźcie się i idźcie, dokąd dusza zapagnie! — odpowiedział posępnym tonem. — Ja tam wolę iść na zieloną trawkę albo pluć i łapać!

To mówiąc owinął się derką i zamarł w rozpaczliwym bezruchu.

Tłum rozproszył się. Podzielono się na oddziały, ruszając „na robotę”. Miasto było w ich rękach. Nareszcie można będzie coś uszczknąć dla siebie. Ruszono w kierunku teatru, w którym, jak wiadomo, gromadzą się tłumy bogaczy. Tu będzie żniwo! Jednakże jaskrawe światła latarni płonących przed wejściem onieśmieliły rebeliantów. Zdjął ich, zda się, lęk na widok tajemniczego i groźnego w swej tajemniczości potwora, który przyczał się tam, za czerwonymi portierami przedsionka. Zaczekają na „burżujów”, przytrzymają ich lepiej przy wyjściu.

Kilku panów spośród zgromadzonej w teatrze publiczności na wieść o nocnym ataku rewolucjonistów ukazało się we drzwiach teatru. Jeden z nich, w płaszczu i cylindrze, odważył się nawet podejść do tłumy kryjącego się w cieniu kolumnady.

Rzucono się na niego gwałtownie, reszta widzów na ten widok wpadła do wnętrza.

Ten, którego wzięto za „burżuję”, nic sobie nie robił z napaści rebeliantów. Stał spokojnie, spoglądając im prosto w oczy, i powstrzymał ich gniewny odruch słowami:

— Towarzysze! Sam jestem robotnikiem, podobnie jak wy!

Spod płaszcza wysunęło się dwoje silnych, twardych, zgrubiałych rąk, z paznokciami zniszczonymi od pracy fizycznej. Zaczęto dotykać szorstkich dłoni, aby się przekonać, czy są to ręce robotnicze.

— Ma odciski — rzekł któryś z ekspertów — to nasz! Uspokoili się.

— Tak jest — odpowiedział młodzieniec. — Wasz jestem, stolarz. Lubię jednak ubierać się tak, jak się ubierają panowie, i zamiast spędzać wieczory w szynku, spē

dzam je w teatrze. Każdy ma swoje upodobania, nieprawdaż?

Rozczarowanie, jakiego doznali widząc, iż pierwsza ofiara ich gniewu nie była „burżujem”, ochłodziło do reszty słomiany ogień ich zapału... Znowu szeregi ich załamały się... Coraz więcej uciekinierów ruszało do domów, dając za wygraną w walce z bogaczami.

Niewielka tylko ilość najbardziej zawziętych szła dalej, zdenerwowana pustkami, jakie panowały na ulicy, głuchym spokojem miasta, ciszą i tym, że nigdzie nie widzieli „bogaczy” rozbijających się bezczelnie jak w normalnych czasach po mieście.

Nagle w jednej z wąskich bocznych uliczek grupka robotników natknęła się na młodzieńca, który, sądząc z ubrania, na pewno był „panem”.

— Ręce! Pokaż swoje ręce! — wrzasnęli gniewnie potrząsając nad jego głową trzymanymi nożami.

— Moje ręce! — odpowiedział młodzieniec gniewnym głosem. — Po co mam je wam pokazywać? A może mi się nie podoba pokazać ich?! Co!



Jeden z napastników szarpnął go gwałtownie za ramię i dotknął ręki młodzieńca.

— Nie ma odcisków! Ręce gładkie! — wykrzyknął z ponurą radością w głosie.

Tłum cofnął się, aby wziąć rozpęd., spokój młodzieńca jednak trzymał ich jeszcze na wodzy.

— Tak jest. Ręce moje są gładkie, co nie przeszkadza temu, że jestem tak samo robotnikiem jak wy. Salvatierra również ma gładkie ręce. Czy myślicie, że przez to jest gorszym rewolucjonistą niż wy?!

Już, już uzbrojone ręce miały dosięgnąć zuchwalca,, gdy z mroku nocy nadpłynął donośny głos Juanona:

— Zostawcie go w spokoju! — wykrzyknął. — Znam go i odpowiadam za niego. To przyjaciel towarzysza Fernanda. Jest zwolennikiem naszej Idei.

Napadniętym przez robotników mężczyzną był Montenegro. Słyszając zapewnienie Juanona dali mu spokój, zwłaszcza że u wylotu uliczki spostrzegli nową ofiarę.

— Pokaż ręce! Ręce! — rozległy się wściekle okrzyki.

Nowa ofiara tłumu wyglądała najwyżej na lat osiemnaście. Był to błady i nędznie ubrany młodzieniec w wysokim, sztywnym kołnierzyku i jaskrawym krawacie... Typowy biuralista zarabiający grosze

Płakał i błagał o litość, z przerażeniem spoglądając na noże i inne narzędzia mordu, którymi wygrażano mu przed samym nosem.

— Wracam z biura... miałem dyżur... a przy tym bilans... Zarabiam tylko dwie pesety na dzień... panowie, nie więcej niż dwie pesety... Nie zabijajcie mnie! Wracam do domu... czeka na mnie matka... Aj! Aj!

Rozległ się straszliwy krzyk bólu i przerażenia... potem stuk upadającego ciała, połączony z głuchym trzaskiem.

Rzekłbyś, że nagle 'rozbito duży garnek...

Nieszczęśliwy urzędniczym leżał na ziemi na wznak...

Montenegro i Juanon podbiegli do grupy morderców. Ofiara ich konała. Głowa tonęła w kałuży czarnej, szybko krzepnącej krwi, nogi konwulsyjnie kopały ziemię... Biedak wydawał ostatnie tchnienie... Straszliwy, ostry jak brzytwa, nóż ogrodniczy otworzył mu czaszkę.

Bydlęta w ludzkim ciele cieszyły się swym dziełem:

— Patrz, patrz! To sługus burżuazji! Umiera jak kurczę z poderżniętym gardłem! Teraz kolej na jego panów!

Juanon zaczął kląć i wymyślać:

— Do tego tylko jesteście zdolni — wy, tchórze! Przeszliście spokojnie koło klubów, w których bawili się bogacze, wasi wrogowie, a jeden tylko osioł wzniósł okrzyk

na cześć rewolucji, reszta nie odważyła się zdobyć nawet na to! Nie mieliście jednak iskierki litości dla dziecka, które pracowało równie ciężko jak wy! Nie wysłuchaliście błagań biednego urzędnika, który zarabiał tylko dwie pesety na dzień i z tego musiał jeszcze utrzymywać matkę! Bydlęta! Oby Bóg dał, żebyście wszyscy wraz ze mną trafili jak naprędzej w ręce sprawiedliwości. Nie chcę ujść tego losu, nie! Zasłużyłem nań, uwierzyłem bowiem w to, że wy możecie dokonać w życiu czegoś dobrego!

Oddalił się pośpiesznie, jakby nie chcąc mieć do czynienia ze zbrodniarzami. Ci ze swej strony zaczęli pośpiesznie rozbiegać się na prawo i lewo,, otrzeźwieni gorzką prawdą, jaka padła z ust Juanona.

Montenegro pozostał sam. Ogarnęło go nagle przerażenie: okna domów bowiem zaczęły się otwierać. Obawiał się, by nie posądzono go o morderstwo. Sam również rzucił się do ucieczki i przystanął dopiero w znacznym oddaleniu od miejsca wypadku.

Miasto zaczynało się budzić z odrętwienia. Tu i tam rozlegał się tętent kopyt końskich — to konnica wyruszała na miasto. Wkrótce błysnęły bagnety piechoty i w kilka minut zbrojne kompanie załazy ulice miasta. Teraz dopiero miała popłynąć krew. Jeden trup na ulicy zadecydował o walce zbrojnej — władze mogły zupełnie prawnie wystąpić z całą surowością przeciw rebeliantom.

Rozpoczęło się polowanie na ludzi. Za każdym węglem ulicy czaiła się żandarmeria lub piechota. Konnica zaś snuła się po mieście aresztując podejrzane osobistości.

Montenegro szedł spokojnie. Nikt go nie zaczepiał. Miał na sobie przyzwoite Ubranie, wojsko zaś szukało dla siebie zera wśród nędzarzy i różnych obdartusów. Raz wraz spotykał grupy aresztowanych rebeliantów lub ludzi posądzonych jedynie o rebelię. Otoczeni oddziałem

zbrojnych szli pokornie do więzienia. Wobec przepelnienia cel, musiano internować aresztowanych w koszarach, Montenegro oszołomiony tym, co mu się przesuwała przed oczami, opuściwszy pałac Bon Pabla, szukał jedyne go człowieka, na którym mu w tej chwili zależało. Wkroczenie strajkujących robotników, sceny uliczne, których był świadkiem, wszystko to odsunęło na razie jego osobiste sprawy na drugi plan. Teraz jednak, kiedy wszystko się zakończyło zupełnym niepowodzeniem, podniecenie minęło i wróciła świadomość osobistych krzywd i bólów. Znowu ruszył na poszukiwanie jego.

Wreszcie na Nowym Placu los uśmiechnął się doń.

Pośrodku placu rozległ się pijacki wrzask:

— Niech żyją żandarmi! Niech żyją uczeni ludzie!

To Ludwik Dupont darł się wniebogłosy, ledwie mogąc utrzymać się na nogach. Za nim kroczył Chivo i kelner dźwigając flaszki z winem i szklanki.

Ludwik na widok Montenegra rzucił mu się w objęcia.

— Co za dzionek! Nieprawdaż, że piękny! Zwycięstwo!!

Krzyczał z taką dumną miną, jakby on sam tylko, bez niczyjej pomocy, rozproszył strajkujących robotników.

Dowiedziawszy się, że ta kanalia idzie na miasto, ulokował się wraz z Chivą w restauracji „Pod Góralem” i kazał pozamykać dobrze wszystkie drzwi, aby mu nieprzeszkadzano. Trzeba było napić się przed przystąpieniem do akcji czynnej. Teraz dopiero wyruszyli z Chivą, do walki, z rewolwerem w jednej ręce i nożem w drugiej. Niestety jednak, na ulicach gospodarowało już wojsko. Niech tam! A zresztą:

— Ja również dopomogłem żołnierzom w aresztowaniu co najmniej tuzina tych ptaszków — mówił płaczą

cym się językiem. — Niech żyje żandarmeria! Niech żyją bogacze!

Czując, że wysycha mu w gardle, skinął na Chivą,

który podbiegł do swego pana, podając mu usłużnie dwie szklanki wina.

— Pij! — rzekł Ludwik do przyjaciela lat dziecięcych.

Montenegro zawahał się.

— Nie chce mi się — rzekł wreszcie głuchym głodem. — Chcę tylko rozmówić się z tobą i to natychmiast... Temat będzie bardzo ciekawy...

— Doskonale! Rozmawiajmy nawet przez trzy dni z kolei, jeśli tak ci się będzie podobało... Przede wszystkim jednak

— obowiązek. Muszę poczęstować tych pocziwców, którzy wraz ze mną uratowali Jerez od zagłady.

Właśnie w tej samej chwili przejeżdżał ulicą oddział kawalerii. Ludwik, trzymając w ręku szklankę, podszedł do oficera, ten jednak gardząc poczęstunkiem, nie raczył obejrzeć się nawet na maniaka.

Nie zraziło to jednak pijaka, przeciwnie,, zdarł z głowy kapelusze i podrzucając go w powietrze, zaczął drzeć się, co sił starczyło:

— Niech żyje piękna kawaleria!

Potem nagle poważniejąc i przyciskając ręce do serca, dodał:

— Niech żyje wojsko!

Montenegro chciał jednak postawić na swoim, toteż uzbroidł się w cierpliwość i szedł za nim jak cień. Ludwik zatrzymywał się przy kompaniach żołnierzy i częstował ich winem:

— Brawo! Brawo! Niech żyje kawaleria! I piechota... i artyleria, jakkolwiek wcale jej tu nie widzę! Szklanę wina... pan pozwoli, panie poruczniku!

Oficerowie jednak, zdenerwowani głupią historią jeszcze głupszej rewolucji, odpędzali od siebie pijaka.

— Precz! Nie wolno nam pić pod bronią!

— Skoro nie chcecie, czy też nie możecie — nastawał z pijackim uporem — ja wypiję za wasze zdrowie! Niech żyją dzielni wojacy! Śmierć łotrom!

Ludwik, zmęczony swym niepowodzeniem, postanowił zakończyć kampanię. Miał czyste sumienie, mógł teraz zakończyć noc w restauracji „Pod Góralem”.

Gdy się już znaleźli w gabinecie przed całą baterią butelek, Montenegro zagał rozmowę.

— Muszę z tobą pomówić w pewnej delikatnej materii.

— Tak, tak... pamiętam, wspominałeś mi już o tym... Mów, mów! — bełkotał pijackim głosem, zasypiając co chwila.

— Sprawa to bardzo delikatnej natury, Ludwiku... Chcę pomówić bez świadków...

— Co? Chivo przeszkadza ci? — wykrzyknął, szeroko otwierając oczy. — Chivo jest drugim mną. Nie mam żadnych przed nim tajemnic. Gdyby kuzyn mój, Don Pablo, zjawił się tutaj i chciał mówić ze mną, Chivo zostałby również przy rozmówce. Mów bez lęku, mój drogi! To studnia — nie człowiek!

Montenegro musiał ustąpić. Zaczął mówić, na razie jeszcze bardzo oględnie, półsłówkami i domyślnikami, tak aby tylko Ludwik zrozumiał go.

— Wiesz, co mnie tu sprowadza? Chciałem zapytać cię, czy wspomnienie owej nocy po zakończeniu winobrania w Marchamalo pozostało ci jeszcze w pamięci? Otóż... Chcę się z tobą porozumieć, zażądać od ciebie naprawienia krzywdy... którą owej nocy wyrządził... Zawsze uważałem cię za przyjaciela, mam tedy nadzieję, że postąpisz jak na przyjaciela przystało., Gdyby bowiem stało się inaczej.

Mimo całej siły woli Montenegro nie zdołał zapanować nad wybuchem nienawiści, jaką zabłysły jego oczy.

Ludwik, chcąc ukryć swe zmieszanie, udawał bardziej pijanego, niż był istotnie. Chivo zaś, do ostatniej chwili cichy i milczący, zdecydował się zabrać głos.

— Co to jest? Pogrożki! To wzbronione! Smarkaczu jeden! Nikt nie ma prawa powiedzieć złego słowa na Ludwika tam, gdzie jest Chivo!

Montenegro podniósł się gwałtownie z miejsca i zmierzył brutala ostrym spojrzeniem.

— Milczeć! — rzekł zimnym głosem. — Schowaj swój język do... kieszeni lub gdzie indziej... Jesteś tu niczym. Aby ze mną mówić, musisz mieć na to zezwolenie.

Zabijaka osłupiał ze zdumienia na widok takiego zuchwalstwa, Montenegro tymczasem zwrócił się do Ludwika:

— I ty uważasz się za odważnego! A tymczasem nie zrobisz kroku bez twego cienia! Dzielny mężczyzna! Zuch! A gdy kto chce pomówić z nim w dyskretnej materii, ten zuch boi się pozostać sam na sam ze swym starym znajomym.

Zasłużyłeś na to, by ci ciocia sprawiła krótkie, dziecięce majteczki.

Ludwik otrząsnął się z pijackiej drzemki i stanął dumnie przed Firminem. Montenegro dotknął jego słabej struny.

— Wiesz, mój chłopcze, że jestem dzielniejszy od ciebie, że cały Jerez drży przede mną. Zobaczysz, czy ja potrzebuję cudzej pomocy, czy nie. Chivo, marsz stąd!

Zawadiaka mruknął gniewnie i nie usłuchał rozkazu.

— Powtarzam ci: wynoś się! — krzyknął gniewnie. Chivo opuścił gabinet i dwaj przyjaciele usiedli przy stole. Ludwik przybrał minę pełną rezygnacji, otwierał szeroko oczy, wyobrażając sobie, że spiorunuje Montenegro wzrokiem.

— Jeśli chcesz, każdej chwili możemy bić się z sobą, tylko nie tu! Właściciel jest moim przyjacielem i nie chciałbym narażać go na przykrości.

Montenegro wzruszył ramionami.

— O tym potem. A teraz do rzeczy! Wiesz, jaką krzywdę mam na myśli? Tak? A więc, jak zamierzasz naprawić ją? Ludwik zmieszał się jeszcze bardziej i zaczął się usprawiedliwiać.

— Uznaję swą winę, lecz zgubiło mnie wino, którego za dużo wypilem owego wieczora... Potem przypadek... i moja dobroć... Gdybym nie został w Marchamalo, aby dopilnować interesów kuzyna, nic by się w ogóle nie stało. Jako człowiek honoru i przyjaciel twojej rodziny nie uchylę się od moich obowiązków. Dysponuj mną! Bierz, ile ci się zamarzy, czerp z mojej kasy... Najlepiej będzie, gdy wspólnie ustalimy wysokość sumy... Z posagiem siostra twoja znajdzie zawsze męża! Krzywisz się! Dlaczego? Alboż powiedziałem jakieś głupstwo? A więc inne wyjście. Wyślij Marię do Jerez! Stworzę jej tam królewski żywot! Kocham ją naprawdę bardzo!... Będzie przeze mnie tak szanowana, jakby była prawowitą moją małżonką... I to nie! A więc proponuj wyjście sam i skończmy już raz z całą tą historią.

— Och! tak! Skończmy raz! Szkoda próżnych słów! Mniej słów, bo każde słowo to tortura, dla mnie. Otóż masz jutro udać się do twego kuzyna i oznajmić mu, że jako człowiek honoru postanowiłeś pojąć siostrę mą za żonę. Jeśli da swe zezwolenie — dobrze, jeśli nie — mała bieda, krótki żal. Ożenisz się mimo wszystko i postarasz się o to, by żona twoja nie czuła się przy tobie zbyt nieszczęśliwa.

Ludwik podskoczył na krześle, oburzony skandaliczną propozycją.

— Ależ, mój przyjacielu! Mam się zenić? Tylko tyle? Rzeczywiście nie jesteś zbyt wymagający!

Zaczął rozwodzić się nad tym, że kuzyn nigdy nie da mu zezwolenia na to małżeństwo i że takie wyjście może pokrzyżować zupełnie jego plany matrymonialne, którymi chciał podratować swą grubo nadszarpiętą fortunę.

— Nie, nie, Firminie, małżeństwo z twoją siostrą byłoby szaleństwem nie do darowania!

— Tak jest, ale szaleństwo to popełniłaby moja siostra — nie ty! Ładna partia! Zostać żoną takiego hultaja jak ty!

Małżeństwo to byłoby z jej strony jedną ofiarą więcej. Patrzysz na mnie ze zdziwieniem? Nie rozumiesz mnie?

Myślałeś, że mi pilno do powinowactwa z tobą!

o nie, mój drogi! Gdyby nie ta nieszczęśliwa noc, na klęczkach błagałbym Marię o upamiętanie, jeżeliby kiedykolwiek przyszła jej do głowy myśl poślubienia ciebie. Teraz jednak sprawa przedstawia się inaczej. Małżeństwo to jest dla niej i dla mnie kwestią honoru. Musi być żoną tego, kto popełnił na niej akt gwałtu. Powiesz, że nikt o tym nie wie, ty sam wygadasz się kiedyś w napadzie pijackiej szczerości. Nie! Nie! Jedynie małżeństwo może rozstrzygnąć tę sprawę.

Ludwik bronił się jak osaczone zwierzę.

— Gniew i uraza oślepiają cię, Firminie. Ja patrzę trzeźwiej... Wszystko, tylko nie małżeństwo. Rodzina wyrzeknie się mnie, wszyscy będą drwić, cała przyszłość

i kariera będzie przekreślona raz na zawsze.

Montenegro nie ustępował jednak ani na krok.

— Ożenisz się z moją siostrą — oświadczył. — Spełnisz swój obowiązek. W przeciwnym razie jeden z nas musi zejść z tego świata.

Fanfaron puszyl się, zwłaszcza że czuł za drzwiami obecność wiernego Chivy.

Bodega  
Autor instytucja sprawcza  
Blasco Ibanez Vicente

Nawigacja

Wszystkich stron:

Szukaj w utworze

Dodaj zakładkę

z komentarzem

Strona informacyjna

## ROZDZIAŁ X

Stary Firmin wyprowadził się z winnicy w Marchamalo dopiero przed trzema miesiącami, a jego przyjaciele z trudem go poznawali, tak bardzo się zmienił. Siadywał teraz całymi godzinami przed skromną chatką, w której mieszkał wraz ze swą córką na jednym z przedmieść Jerez.

— Biedny człowiek! — mawiano, o nim. — Cień tylko pozostał z dawnego ojca Firmina.

Wpadł w apatię graniczącą z idiotyzmem. Mógł całymi godzinami nie poruszać się wcale, milczał, głowę miał spuszczoną na piersi, jakby przytłaczał go ciężar wspomnień. Gdy córka zbliżała się do niego, aby go wprowadzić do izdebki albo mu oznajmić, że obiad jest już gotów, budził się jakby ze snu. Rozglądał się nieco przytomniej dokoła, po czym wbijał w córkę surowe spojrzenie.

— Zła kobieta! — mruczał. — Przeklęta samica!

To ona, tylko ona ściągnęła na całą ich rodzinę nieszczęście. Gniew tego starca, tego ojca starej daty, gniew silny i nieublagany, duma mężczyzny, który zawsze uważał kobietę za istotę niższą, wszystko sprawiło, że był istnym katem Marii. Ona również osłabła. Bardzo osłabła.

Oczy jej zapadły i zapuchły od łez. Zmuszona do czynienia cudów oszczędności, aby ratować się od nędzy, w oczach ojca widziała jedynie śmiertelną urazę, a z ust jego słyszała tylko złorzeczenia.

'Myśli biedaka koncentrowały się całkowicie i stale na owej strasznej nocy nieudanego buntu strajkujących robotników.

Na nocy tej kończyło się dlań w ogóle życie. Słyszał jeszcze głuche echo uderzeń w bramę wjazdową Marchamalo, do której o świcie dobijał się jakiś nieznaną gość. Sam wstał z łóżka i z nabitą strzelbą w rękę otworzył okno, aby sprawdzić, z kim ma do czynienia...

... Był to jego syn, jego Firmin, bez kapelusza, z rękami unurzany w krwi, ze śladami podrapań na twarzy — wyglądał tak, jakby stoczył walkę z całą bandą napastników.

Opowieść jego była krótka: oto zamordował Don Ludwika i siłą utorował sobie drogę z restauracji, raniąc jednocześnie wiernego towarzysza hulaki, nie odstępującego swego pana ani na krok. Siady zadrapań i lekkie skaleczenie — to pamiątka po stoczonych z mścicielami Ludwika walce. Teraz musi uciekać, aby nie wpaść w ręce władz. Jego wrogowie domyślają się na pewno, że zbiegł na razie do Marchamalo i lada chwila naślą tu na pewno konnych żandarmów. Nastąpiła chwila gorączkowego niepokoju i niezdecydowania. Chwila ta wydała się staremu wiecznością. Dokąd uciekać? Zaczął wysuwać kolejno szuflady swej komody, wyciągając z niej wszystkie swe oszczędności.

— Bierz, mój synu... weź wszystko!

Napełnił mu kieszenie garściami durosów i peset, oddając wszystko, co uskładał sobie na czarną godzinę w ciągu długich lat pracy. Potem powiódł go pośpiesz

nie na dwór, aby wskazać najbezpieczniejszą drogę do ucieczki.

— Spieszmy, mój synu, jeszcze prawie noc, możemy wydostać się z winnicy przez nikogo nie postrzeżeni. Mam plan. Musimy zobaczyć się z Rafaelem. Liczy on jeszcze wielu przyjaciół wśród przemytników, dawnych swych kolegów. Odstawi cię aż do Gibraltaru drogą przez góry. Stamtąd będziesz mógł udać się na okręcie, gdzie ci się tylko podoba. Świat jest wielki.

Ojciec i syn przez całe dwie godziny pędzili co tchu w kierunku Matanzueli, nie czując wcale zmęczenia. Gnał ich strach. Biegli manowcami, kryli się w krzakach lub rowach, gdy tylko do uszu ich docierało dalekie echo głosu ludzkiego lub tętent kopyt.

Straszna była to droga! Te dwie godziny uczyniły z krzepkiego jeszcze mężczyzny niedołężnego starca. Co prawda morderstwo nie zawsze hańbi, lecz kiedy syn objaśnił mu powody, dla których podniósł na Ludwika rękę, stary Firmin doznał wrażenia, że umiera po raz drugi już w ciągu tych dwóch przeklętych godzin. Nogi ugięły się pod nim. Musiał skupić całą siłę woli, aby nie upaść pośrodku drogi. A więc to jego córka — przyczyną tego całego nieszczęścia?! Przeklęta suka! Teraz dopiero ocenił należycie postępowanie syna i zaczął mu dziękować w prostych, lecz pełnych głębokiej wdzięczności wyrazach:

— Firminie, synu mój, postąpiłeś tak jak należało. Nie było innej rady... pozostała jedynie zemsta. Ty jesteś najlepszy i najszlachetniejszy z całej rodziny. Lepszy jesteś ode mnie — starego osła, który nie potrafił upilnować swojej córki. Ich wtargnięcie do Matanzueli było niemniej tragiczne. Rafael osłupiał na wieść o zamordowaniu jego pana, a wprost nie wierzył swym uszom, że mordercą jego był Firmin Montenegro.

Biedny stary widział, jak syn jego puścił się galopem w drogę. Potem przygarbiony i złamany nagle spadł nań starością, wrócił do winnicy. Rzekłbyś, iż porzucając rodzinne strony syn zabrał z sobą życie ojca.

Z następnych wydarzeń pozostało mu jedynie wrażenie jakiegoś koszmarnego snu. Przypominał sobie, że niezwłocznie porzucił Marchamalo, aby zamieszkać na jednym z przedmieść Jerez, w nędznej lepiance należącej do krewnej jego nieboszczki żony. Po tym, co zaszło, nie mógł przecież pozostawać w Marchamalo. Między jego rodem, a rodem jego pana legła nieprzebyta zaporą — przelana krew, musiał więc usunąć się w porę.

Don Pablo wyznaczył mu wprawdzie jakiś zasiłek mający zapewnić mu egzystencję, jakkolwiek uważał, że stary zawinił najwięcej. Wszystko to, co się stało, było skutkiem jego niedbalstwa, nie umiał bowiem wpoić w swe dzieci zdrowych zasad prawdziwie chrześcijańskiej moralności. Stary Montenegro odmówił przyjęcia zapomogi.

— Śliczne dzięki!

Był z całym uznaniem dla miłosierdzia Don Pabla, lecz wolałby raczej umrzeć z głodu, niż przyjąć bodaj jedną pesetę od kogoś z Dupontów.

W kilka dni po ucieczce syna odwiedził starego Rafael. Nie był już na posiadzie i opuścił fermę, a teraz przychodzi, aby go zawiadomić, że Firmin jest już w Gibraltarze i wkrótce uda się do Ameryki Południowej.

— Ciebie również dosięgnął jad przeklętego, trującego gada, który nas zgubił — rzekł do Rafaela stary Firmin z pełnym smutku uśmiechem.

Rafael był przygnębiony i posępny. Rozmawiając ze swym chrestnym przed drzwiami chatki, rzucał dokoła niespokojne spojrzenia, jakby w obawie, aby nie ujrzeć nagle Marii. Gdy z Firminem przedzierali się przez góry

do kryjówki przemytników, dowiedział się prawdy... Całej prawdy!

— Ach, chrestny! Cóż to był za cios! Zdawało mi się, że tego nie przeżyję... A potem ta myśl, że nie mogę się zemścić! I ja służyłem wiernie temu nędznikowi! I pomyśleć tylko, że on zeszedł już z tego świata... I że nie moja ręka przyczyniła się do tego! A teraz nie mogę już go wskrzesić, aby po raz drugi położyć trupem! Jak często musiał ten łotr, ten nędznik drwić sobie w duchu ze mnie, głupiego, który w świętej naiwności nie domyślał się prawdy. Teraz nie chcę już pracować, bo i po co? Co przyjdzie komu z uczciwości? Zostanę znowu przemytnikiem. Nie poprzestanę jednak na tym! Chcę wypowiedzieć wojnę połowie świata: bogaczom, tym, w których ręku jest władza, tym, którzy rozkazują wojsku siać grozę i zniszczenie i pomagają możnym tego świata poniewierać nędzarami. Bogacze przekonają się, jak nielitościwe i dzikie zwierzę rozpętali we mnie nieopatrznie, rozsypując w gruzy moje nadzieje... Kontrabanda — to dla mnie jedynie rozrywka. Nieco później, po ukończeniu zbiorów, zapłoną stodoły fermy, struty przeze mnie inwentarz zostanie zdziesiątkowany. Juanon i inne nieszczęśliwe ofiary, oczekujące w murach więzienia szubienicy, znajdą mściciela...

Stary, słuchając jego wywodów, kiwał potakująco głową. Przyznawał Rafaelowi rację. Gdyby był nieco młodszy, banda jego chrześniaka powiększyłaby się jeszcze o jedną osobę, bez wahania bowiem przyłączyłby się do niej. Rafael nie odwiedził więcej swego chrzestnego. Czynił wszystko, aby uniknąć spotkania z Marią. Czuł, że gdyby ją ujrzał nagle, zdolny byłby zamordować ją... albo rozplakać się jak dziecko.

Niekiedy zjawiała się u Firmina jakaś stara Cyganka lub przygodny sprzedawca tytoniu i wręczając mu trochę pieniędzy, mówił:

— Macie, ojczce, to dla was! Rafael wam to przysłał.

Stary brał pieniądze, potem oddawał je w milczeniu swej córce.

Takie wiódł teraz życie biedny starzec. Żył jedynie wspomnieniami, zobojętniały na wszystko, co go otaczało, i na to, co mówiono w jego obecności. Pewnego dnia zbudziło go z odrętwienia ponure milczenie, jakie zawisło nad miastem. Dnia tego miała się odbyć ogzekucja, a skazańcami było tych pięciu spośród robotników, którzy postanowili siłą zdobyć Jerez. ,

Proces odbywał się w przyspieszonym tempie, władzom zależało na rychłym i surowym ukaraniu przestępców, chciano dać mieszkańcom miasta przykład grozy.

Z biegiem czasu istotny stan rzeczy w dniu „rewolucji” został dziwnie spaczony. Niewinne skądinąd wystąpienie robotników rozdmuchano do rozmiarów rewolucji, której towarzyszyły „ofiary w ludziach”.

Nawet morderstwo Ludwika, choć wszyscy wiedzieli, kim był morderca, przypisano rewolucjonistom. Nikt nie miał odwagi protestować. Ci nawet, którzy na własne oczy widzieli grupy robotników przechodzące koło domów bogaczy w pełnym porządku i bez żadnych wybryków, milczeli.

Sędziowie gromadnie skazywali nieszczęśliwych więźniów na ciężkie roboty. Pomędzy skazanymi na śmierć znajdowali się: dwaj mordercy biednego urzędniczyny, Juanon, Manolo z Trebujeny i Bakałarz.

Większość, mieszkańców miasta z domyślnym uśmiechem przyjęła wiadomość, że „Madrytczyk” dostał tylko

kilka lat ciężkich robót, jakkolwiek on był projektodawcą napadu zbrojnego na miasto.

Juanon i jego towarzysze czekali na wykonanie wyroku z rezygnacją. Zawód, jakiego doznali w dniu, w którym miały się ziścić ich najpiękniejsze nadzieje, obrzydził im życie.

Stary Firmin nie był obecny przy wykonaniu wyroku. Zdumiała go tylko dziwna cisza, jaka nagle zaległa ulice. Miasto jakby wstydziło się tego, co ma się stać... Ale po chwili zapomniał o swym wrażeniu i przestał się nad nim zastanawiać. W parę dni potem odebrał od syna list aż z BuenosAires. Montenegro, jak się zdawało, wierzył w lepszą przyszłość. Pisał, że na razie musiał przeżyć niejedną ciężką chwilę, lecz teraz pracą i oszczędnością dojdzie na pewno

do jakiego takiego dobrobytu. List ten dodał Firminowi ducha, otrząsnął go z przygnębienia i martwoty: stary miał teraz cel w życiu. Zaczął pisywać do syna listy i wyczekiwać na odpowiedź.

Pewnego dnia doznał wielkiej radości. Siedział w słońcu przed drzwiami domu, nagle ujrzał przed sobą jakąś postać męską. Podniósł głowę i wydał okrzyk radości:

— Don Fernando!

Był to istotnie jego dawny przywódca i bóstwo, Don Fernando Salvatierra, lecz jakże postarzały i smutny! Spoza błękitnych szkieł okularów wзираły jakieś znużone i przygasłe oczy. Rzekłbyś, wszystkie nieszczęścia, jakie nawiedziły miasto, legły ciężarem swym przede wszystkim na nich.

Odzyskał wolność, ale wiedziano doskonale, że w tej chwili trudno mu będzie znaleźć dla siebie przytułek. Wiedziano i to, że najgorętsze nawet jego mowy nie znajdują w tej chwili życzliwego echa. Gdy powrócił do Jerez, jego dawni przyjaciele stronili od niego w obawie, że obco

wanie z nim skompromituje ich. Inni znowu spoglądali nań z taką nienawiścią, jak gdyby posądzono go o to, że zza krat więziennych on właśnie, nie ktoś inny, wzniecił bunt wśród robotników.

Stary Firmin zachował się inaczej. Na widok przyjaciela zerwał się gwałtownie z ławy i padł w jego ramiona z głuchym szlochaniem:

— Ach, Don Fernando! Don Fernando! Gdybyś wiedział!...

Salvatierra zaczął go uspokajać. Wszystko było mu wiadome. Ha! Trudno! Musi trzymać się mocno — ot, padł ofiarą ohydnej korupcji socjalnej, jak zresztą wielu innych równie nieszczęśliwych. Świat jest wielki. Może zacząć wraz ze swymi nowe życie, tam chociażby, gdzie syn jego już znalazł dla siebie chleb. Dlaczego nie miałby iść za przykładem Firmina?

Salvatierra zaczął teraz często odwiedzać swego przyjaciela. Nagle znikł z miasta.

Prawie miesiąc po zniknięciu Salvatierry, Maria stanawszy pewnego popołudnia na progu swej lepianki omal że nie zemdląła ze wzruszenia. Nogi ugięły się pod nią, w uszach jej nagle zadzwoniło, cała krew przy płynęła do twarzy zalewając ją łuną rumieńca, a potem nagle śmiertelna bladeść okryła jej lica. Ujrzała przed sobą Rafaela, który owinięty w swój płaszcz, zda się, oczekiwał na nią. Chciała uciekać, zaszyć się w najciemniejszy kąt izdebki.

— Mario! Droga, kochana Marietto!

Przemawiał takim samym słodkim i błagalnym głosem, jak wtedy, gdy spotykali się z sobą, rozmawiając przez okienną kratę. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, cofnęła się ode drzwi i zaczęła iść w jego stronę bardzo nieśmiało, wpatrzona pełnymi łez oczyma w tego, który Kochał ją niegdyś naprawdę.

On był również smutny. Rysy jego nabrały jakiejś melancholijnej powagi.

— Mario, dwa słowa tylko... Nie zabiorę ci wiele czasu. Kocham cię i ty również mnie kochasz. Dlaczego mielibyśmy pędzić resztę naszego życia w wiecznym gniewie i bólu? Jeszcze przed kilku dniami byłem brutalem, który, gdyby cię spotkał na swej drodze, na pewno usiłowałby cię zabić. Porozmawiałem jednak z Don Fernandem i jego wielka mądrość i dobroć uratowała mnie i... ciebie. Dość już głupiej zazdrości o tego, który nie żyje i nie zmartwychwstanie, a którego nigdy nie kochałaś. Dość urazy, jaką żywiłem do ciebie za nieszczęście wynikłe nie z twej winy.

Zaczął roztaczać przed nią swe plany na przyszłość: uciekną daleko... Byle nie widzieć dłużej przekłętego kraju, który tak zniechęcił, że nie chciał się nawet mścić za swoje krzywdy.

Zabiorą z sobą ojca i udadzą się do Firmina. Ma dosyć pieniędzy, wystarczy im na koszty podróży. Znał z opowiadań Don Fernanda zamorskie kraje... Tam podobno każdy, kto chce pracować, znajdzie zajęcie i zarobek. Tam więc będą mogli korzystać z wolności i poić się szczęściem. Zapomną o przeszłości, w nowym świecie rozpoczną nowe życie, a ojciec przy ich boku zazna spokojnej starości.



Maria słuchała z zachwytem słów Rafaela. Och! Uciec! Uciec z tego przeklętego miasta! Pozostawić daleko poza sobą wszystkie ciężkie wspomnienia! Gdyby ten, który był sprawcą jej nieszczęścia, żył jeszcze, trwałaby w swym postanowieniu. Była bowiem przeświadczona, że ten tylko mógłby zostać, jej mężem, który posiadał kwiat jej niewinności. Ale ponieważ zbrodniarz nie żyje, a Rafael, mimo iż wie o wszystkim, przebaczył jej, nie chce się dłużej wahać. Tak, uciekną stąd i to jak najprędzej.

Rafael wtajemniczył ją w swe zamiary. Porozumiał się z Don Fernandem, który przyrzekł mu wpłynąć na starego Firmina, obiecał mu również listy polecające do Ameryki. Za parę tygodni będą już mogli wsiąść na okręt w Kadyksie. — Zaraz po przybyciu tam pobierzemy się — ciągnął dalej. — Pqstaram się dowieść ci, że nie ma już we mnie ani śladu urazy. Dość tego wszystkiego! Don Fernando miał słuszność: grzech cielesny nie jest jeszcze wszystkim... Miłość i dusza — to grunt. Czy serce twoje należy jeszcze do mnie? Tak? A więc nie pragnę niczego więcej... Mario, pójdziemy w życie z podniesioną głową, dziś dopiero zaczniemy prawdziwe życie... dziś dopiero zaczyna się nasza miłość. Daj mi pocałunek... pierwszy pocałunek... Przytul mnie do serca, daj mi dowód, że naprawdę jesteś moja, że będziesz dla mnie podporą wtedy, gdy się wezmę z życiem za bary!

Gorący uścisk połączył młodą parę. Stojąc w progu, nędznej chatki, podali sobie usta, a w pocałunku tym nie było cienia zmysłowej namiętności — serca ich w tej chwili rozmawiały z sobą. Stali tak długo złączeni uściskiem, nie bojąc się ludzi ani złych języków: miłość, ich, pozbawiona nawet cienia hipokryzji, była im tarczą.

W Kadyksie Salvatierra odprowadził na statek swego starego przyjaciela Firmina Montenegro udającego się do Ameryki wraz z Rafaelem i Marią.

Żegnali się z głębokim smutkiem w sercu, przeczuwając, że nigdy więcej już się nie spotkają. Częste podróże to — zbyt kosztowna przyjemność dla takich jak oni biedaków.

Salvatierra czuł, że oczy jego napelniły się łzami. Żegnał oto ostatnich już bliskich sobie ludzi. Pozostanie wkrótce zupełnie sam... A właściwie z tłumem, dla którego

pracował przez całe życie, z którym chciał spoić się w jedną wielką całość, a który nie znał go wcale.

W kilka dni po wyjeździe Firmina spadł na niego ostatni cios: doniesiono mu, że jego wierny przyjaciel Matacardillos, właściciel oberży „Pod Krukami”, był umierający. „Tym razem już naprawdę” — pisała rodzina chorego błagając Sahratierę, aby zechciał przyjechać do nich i osłodzić biedakowi ostatnie chwile. Salvatierra pośpieszył do Jerez, a stamtąd pieszo ruszył do Matanzueli. Gdy jednak stanął w oberży, dowiedział się, że jego przyjaciel zmarł przed kilku godzinami.

Był to dzień niedzielny. W jednej z izb małej oberży leżał na nędznym pościeli obrzękły trup. Nikogo nie było przy zwłokach, muchy tylko snuły się po jego zsiniałej twarzy. Przed domem wdowa i dzieci — spokojni i zrezygnowani, jak to zwykle bywa wtedy, gdy się już jest od dawna przygotowanym do katastrofy. Krzatali się, jakby się nic nie stało, obsługując gości. Robotnicy z Matanzueli w bardzo licznym gronie popijali siedząc półkołem przed oberżą, a Sahratiera stanął na progu. Wzrok miał utkwiony w smutnie roztaczającej się przed nim perspektywie olbrzymiej doliny, pustej dziś zupełnie wobec dnia świątecznego.

Czuł się samotny, bezgranicznie samotny. Teraz czuł, że już wszystko było ostatecznie skończone. Stracił ostatniego towarzysza lat dziecińczych. Z tych wszystkich, którzy wraz z nim walczyli w górach za wolność, narażając się na karę ciężkich robót albo i śmierć, nie miał już nikogo. Jedni uciekli za morze, nędza bowiem deptała im po piętach, inni spoczywali w łonie matki ziemi, nie mając nawet tej pociechy, by się doczekać panowania Sprawiedliwości i Równości... Ile wysiłków, ile bezowocnych ofiar! Nie zdołali nawet nic zasiać dla przyszłości... Nowe

generacje nie liczą się wcale ze starymi rewolucjonistami, nie chcą wziąć w spadku ze zmęczonych i osłabłych rąk swych poprzedników ani ich nienawiści, ani też nadziei.

Salvatierra spoglądał ponurym wzrokiem na siedzących w pobliżu robotników. Nie poznawali go albo też udawali, że go nie poznają. Ani jedno spojrzenie nie skierowało się w jego stronę. Rozmawiali o egzekucji dokonanej na pięciu delikwentach oskarżonych o wzięcie udziału w nocnym ataku na Jerez. Rozmawiając byli jednak zupełnie spokojni. Zdawałoby się, że rozmowa dotyczy jakichś głośnych bandytów, których imiona fantazja tłumów otaczała nimbem sławy. Ożywili się jedynie w chwili gdy rozmowa zesłała na to, w jaki sposób delikwenci przyjęli wyrok. Juanon i Manolo z Trebujeny szli na miejsce kaźni bez fanfaronady, z wielkim spokojem i godnością. Dwaj mordercy zachowywali się brutalnie, jak na takich jak oni brutalni przystało. Rozmawiający zaczęli głośno śmiać się na wspomnienie Bakałarza, który drżał ze zdenerwowania i krzyczał: „Niech żyje Rewolucja!”, aby dodać sobie w ten sposób odwagi...

Do Salvatierry podszedł Zarandilla, który z każdym dniem widział gorzej. Nie poznał więc ojca rewolucji, dopóki mu miejscowa służba nie objaśniła, kim był ów nieznan przybysz.

Dawny administrator Matanzueli zaczął wypytywać Salvatierrę o Rafaela, narzekając na zmiany, jakie nastąpiły po wyjeździe młodszego odcień kolegi. Matanzuela przeszła na własność Don Pabla Duponta. Powierzył on administrowanie fermą mężczyźnie gwałtownemu i brutalnemu, który ze wszystkimi obchodził się bardzo źle. Ale robotnicy byli, mimo wszystko bardziej zadowoleni ze swego losu niż poprzednio i chwalili sobie wielce

nowego pana. W ogóle nastrój wśród robotników zmienił się bardzo. Teraz większość ich poznała już Salvatierrę, w obawie jednak o swoją skórę udawali, że nigdy go przedtem nawet nie widzieli. Obawiali się kompromitacji. Zresztą obecnie robotnicy stanowili zupełnie inny rodzaj pracowników, na który Zarandilla nie mógł patrzeć bez zdziwienia. Matanzuela była dla nich nieledwie rajeni, a dobroczynny Dupont — niezrównanie hojnym człowiekiem. Pomysłowy Don Pablo obrał sobie nowy system: ci spośród robotników, którzy zechcieli pozostać w sobotę na fermie, aby być nazajutrz na nabożeństwie, mogli po obiedzie popić sobie trochę w oberży — tego dnia on za nich płacił. Don Pablo był, jak to sam o sobie mówił — „współczesnym wiernym”. Wszystkie środki uważał za dobre, byle tylko zmierzały do zbawienia.

— Lubi robotników na swój sposób, oni zaś dają się lubić, kolejno modlą się i piją pokpiwając po trosze ze swego pana z błazeńską powagą i nazywając go między sobą „idiotą”.

Widząc, że Zarandilla rozmawia z Salvatierrą, kilku robotników zdjętych ciekawością, zbliżyło się do nich. Zwartym kołem otoczono znakomitego bojownika wolności, a jeden z ludzi zaczął mówić z nietajoną ironią w głosie:

— Jeżeli Don Fernando biega po polach, aby, jak to dawniej było, wywołać ruchawkę, traci tylko czas na marne.

Ludzie są teraz nieufni jak koty, które, sparzywszy się na gorącym mleku, uciekają od zimnego. Życie robotników w chwili obecnej nie jest uczta, jednakże żyją jakoś i mają się lepiej od owych biedaków, którzy zapoznali się ze strykiem w dniu egzekucji.

— My starzy — ciągnął dalej chłopfilozof — znamy pana dobrze, pana i pańskich towarzyszy. Wiemy, że nie

robiliście nic dla interesu jak wielu innych „ideowców”, i wiemy, że wiele musieliście znieść w swoim życiu... Lecz wiemy o tym my, spójrz pan jednak na tych młodych.

Tu wskazał grono młodzieży robotniczej, która siedziała przy stole, coraz to rzucając na Salvatierrę zuchwałe spojrzenia, jakby mówiąc:

— Taki sam łgarz jak inni, gorszy jeszcze, bo tamci przynajmniej gniją już za swe „idee” w cmentarnej ziemi, a ten chodzi sobie dalej po świecie. My pragniemy mniej słów, a więcej chleba! Dostyć już głupiego sentymentalizmu! Pójdę za tym, który mi da dobrze jeść. Prawdziwym przyjacielem biedaków jest nasz pan, który płaci. A gdy mu się zechce dołożyć coś jeszcze w postaci poczęstunku, tym lepiej. Co zresztą może obchodzić tego błazna los robotnika, skoro będąc gołym jak mysz kościelna ubierał się jednak „z pańska” i ręce ma nie spracowane. Rzecz zrozumiała! Ot, po prostu chciał żyć na ich koszt, głosząc wielkie słowa. Szarlatan taki jak wszyscy spośród nich.

Salvatierra wpatrując się w twarze młodzieży robotniczej czytał, zda się, z nich te słowa, stary wieśniak rozprawiał zaś w. dalszym ciągu:

— Po co zdierać sobie zdrowie i siły, Don Fernando, poświęcając się dla biedaków? Nie warto! Skoro są zadowoleni ze swego losu, o cóż więcej chodzi? Zresztą my wszyscy dostaliśmy niedawno dobrą nauczkę. Pan, który jesteś taki uczony, postaraj się zjednać dla swej sprawy żandarmów, a gdy ci się to uda, nie obawiaj się, wszyscy pójdziemy za tobą. — Napelił winem szklankę i podał ją Salvatierrze. — Napij się pan i przestań zabijać się w pogoni za niemożliwością i mrzonką. Co jest na świecie prawdą? Przyjaciele? To hipokryci! Krewni? Nuda i powszedniość! Rewolucyjna gadanina, podział ziemi? Kłamstwo! Lep na głupców! Tylko wino jest coś warte!

Tylko ono daje nam rozkoszne chwile radości. Pij, Don Fernando! Wino, którym cię częstuję — to nasze wino: zarobiliśmy je. Nie kosztuje drogo — mamy je za cenę jednej mszy, nie więcej.

Salvatierra, niewzruszenie dotąd spokojny, zadrzał z gniewu. Porwała go chęć odtrącenia podanej sobie szklanki, tak by upadła na ziemię i rozbiła się na kawałki. Przeklinał w duchu złościstą truciznę, która niby złośliwy demon brała dusze tych nieszczęśników w niewolę, upadlając je, czyniąc z nich przestępców, tchórzy i wariatów. Oni to własnym potem i trudem wytwarzali ten podstępny trunek, którym posługiwali się bogacze, aby zabić w nich poczucie godności, łudząc ich kłamliwym weselem, jakie stwarzały winne opary. Wszyscy ci biedacy byli większymi niewolnikami teraz niż kiedykolwiek. Sami kręcili na siebie bat, sami kuli kajdany, które możni tego świata przeznaczili dla nich. Zawsze byli głodni, oszukiwano bowiem ich głód iluzją chorobliwego, dosytu! I oni mogli śmiać się i drwić z niego?! Oni doradzali mu uległość, sztychli z jego szlachetnych wysiłków, 'chwalili swych gnębicieli?! Lecz czy dlatego niewola ich miała być wieczna? Ta przelotna radość zaspokojonego chwilowo zwierzęcia nie zadowoli przecież wielkich pragnień głodnego ducha ludzkiego.

Gniew Salvatierry łagodniał powoli. Czuł, że odradza się w nim wiara i nadzieja.

Wieczór zapadał wprawdzie i zbliżała się noc, lecz po nocy nastaje przecież dzień! Zmierzch wielkich idei nie mógł trwać wiecznie! Sprawiedliwość i Wolność drzemały jeszcze co prawda w sumieniach ludzkich, ale zbudzą się kiedyś, zbudzą na pewno. A wtedy wybije prawdziwie uroczysta godzina wielkiej Rewolucji Społecznej!

































































































